



De. II. 4

UNIwersytet WarsZawski.

„Wznosi się Uniwersytet nad wszystkie inne szkoły, jak cedry Libanu nad inne choć potężne drzewa i ten nad niemi góruje, że tam się uczniowie na ludzi, tu się ludzie kształcą na mężów, już nie przynaglani szkolnym musem, lecz szlachetnem duszy i rozumu uniesieniem.“ Te piękne słowa wyrzeczone zostały imieniem Cesarza i Króla Aleksandra I przez ministra wyznań i oświecenia publicznego, Stanisława Potockiego, przed laty blisko dziewięćdziesięciu, przy inauguracyi pierwszego w stolicy Królestwa Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego.

„Nowy ten Zakład Naukowy, zadatek nowego życia narodowego, nowo to otworzony przybytek tej dawnej oświaty, którą Polska długo jaśniała, przez którą w potęgę wzrosła i tyle się chrześcijańskiemu zasłużyła światu, nowy przybytek tej wielkiej zachodniej cywilizacyi, którąśmy niegdyś z taką chwałą pielegnowali u siebie, z taką zasługą krzewili wśród dalszych krajów i plemion.“ Te wyrazy podniosłe wygłoszone zostały z urzędu przez rektora Józefa Mianowskiego, przed laty z górą czterdziestu, przy otwarciu odnowionej przez Cesarza Aleksandra II wtórej w Królestwie wszechnicy polskiej, Szkoły Głównej Warszawskiej.

Od tej pory inne nastały warunki, jak we wszelkich dziedzinach życia publicznego w Królestwie Polskiem, tak w wychowawczej wogóle a uniwersyteckiej w szczególności. Na miejscu tamtych obu zakładów polskich stanął i trwa inny, oparty na odmiennej zgoła podwalinie, Cesarski Uniwersytet Warszawski. Trwa i działa podziśdziem w kierunku i sposobie całkowicie też

odmiennym od onych zasad wytycznych, jakie tamtych jego dwóm poprzednikom, z powołanej strony polskiej a wraz z ramienia rządu krajowego, ongi wyznaczone były. Społeczeństwo polskie odtąd nie miało sposobności bliższego wyłuszczenia swoich doświadczeń, wrażeń i sądów o niniejszej mianowicie, ostatniej instytucyi uniwersyteckiej. Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby ono nie uświadamiało sobie z całą jasnością swego stosunku do tej instytucyi, aby nie posiadało w tej mierze wyrobionego oddawna, jednomyślnie powziętego i zatwierdzonego zdania. Rzecz z rozlicznych względów wydaje się stosowną użyczyć nareszcie publicznego wyrazu ustalonej opinii krajowej w tak doniosłym przedmiocie edukacyjnym i uwzględnić niektóre przynajmniej najoczywistsze przesłanki faktyczne, w których, między innymi, bierze ona swe źródło. Taki jest cel spostrzeżeń poniższych o dzisiejszym Uniwersytecie warszawskim. Pragną one w dostępnych granicach, na gruncie możliwie rzeczowym, przyłożyć się do wyświetlenia materyi, która nie od dzisiaj dopiero, lecz od długiego szeregu lat jest przedmiotem milczącej uwagi i troski całego naszego oświeconego ogółu.

Zacznijmy od spostrzeżeń najprostszych, od rzeczy, które z samej swojej natury są po za wszelką dyskusyą. Jakikolwiek byłyby charakter, organizacya, kierunek i stopień jakiegokolwiek bądź na świecie uniwersytetu, czy to w Warszawie, czy w Moskwie, Paryżu lub bodaj w Bombaju, zawsze pierwszą, kardynalną jego racyę bytu będzie stanowiło: ażeby on przedewszystkiem zaspokajał odpowiednie istotne potrzeby kraju i rozwijał się w miarę ich rozwoju, t. j. ażeby przedewszystkiem w należyтым zakresie i treści dostarczał wykształcenia wyższego tej młodzieży, dla której właściwie istnieje, młodzieży krajowej. Jeśli temu niezbędnemu, elementarnemu warunkowi nie czyni zadość, uniwersytet nie ma zgoła racyi bytu; jeśli nie czyni mu zadość we właściwej mierze, wypada go zreformować. Obaczmy, jak u nas się dzieje.

Mieliśmy, jak się rzekło, w Królestwie trzy instytucye tego rodzaju: Uniwersytet Królewsko-Warszawski, przemianowany pod koniec na Aleksandrowski, od 1816 (1818) do 1830 roku; Szkołę Główną, od 1862 do 1869 r. i Uniwersytet obecny, od 1869 r. do chwili dzisiejszej.

Uniwersytet Królewsko-Warszawski, po latach trzynastu, a właściwie — gdyż długo kompletowały się wydziały — po niespełna dziesięciu latach istnienia, liczył w roku wykładowym 1829,30 — 773 akademików. Byli to bez żadnego wyjątku *wyłącz-*

nie Polacy; wśród nich ogółem czterech Polaków-Żydów na wydziale lekarskim¹⁾.

Szkoła Główna, która zresztą, jak wiadomo, nie doczekała się pełnego wykończenia swojej organizacyi naukowej, zaraz w pierwszym roku swego istnienia, 1862/3, liczyła 728 uczniów. W następnym roku szkolnym, 1863/4, w najkrytyczniejszych dla kraju chwilach, ta cyfra spadła do 649. Lecz już w roku wykładowym 1864/5 podniosła się do 859, w roku 1865/6 — do 1278, w r. 1866/7—do 1302 uczniów. W r. 1867/8, przy wprowadzanych już do Szkoły nowych dotkliwych przeobrażeniach oraz wobec urzędowej zapowiedzi zupełnego jej zwinięcia, frekwencya spadła do liczby 1151. Byli to, z wyjątkiem dwóch lub trzech osób, *wyłącznie* Polacy; wśród nich liczba Polaków-Żydów wynosiła około 10%²⁾.

Cesarski Uniwersytet Warszawski w chwili otwarcia przyjął z b. Szkoły Głównej 860 studentów i prócz tego 213 nowowstępujących maturzystów z gimnazyów; razem liczył w pierwszym roku szkolnym 1869/70 — 1073 studentów. W roku 1870/1 liczył 1020 studentów, w 1871/2 — 823, w 1872/3 — 720, w 1873/4 — 651, w 1874/5 — 530, w 1875/6 — 467, w 1876/7 — 445.

Tak niesłychany, bezprzykładny spadek, który w przeciągu lat ośmiu obniżył frekwencyę prawie do jednej trzeciej w porównaniu z przeciętną Szkoły Głównej i zdawał się zagrażać Uniwersytetowi zupełnym zanikiem, w tem miejscu został powstrzymany. W r. 1877/8 liczba studentów wynosiła 523, w 1878/9 — 535. Odtąd, powoli wzrastając, po dalszych kilkunastu latach dosięgła mniej więcej tysiąca, ze znacznemi atoli wahaniami: tak w roku szkolnym 1893/4 wynosiła 1097, zaś w następnym 1894/5 spadła znów do 883³⁾.

Atoli nawet taki bardzo względny wzrost frekwencyi ogólnej należało przyjmować nieinaczej, jak *cum beneficio inventarii*. Zaznaczył się on w rzeczy samej, poczynając od 1877/8 r. Owóż nasamprzód od tego właśnie czasu, t. j. od wprowadzenia w ro-

¹⁾ „Sprawa o stanie Uniwersytetu Król.-Warsz. z roku 1829/30, zdana przez rektora“; „Lista imienna uczniów Król.-Warsz. Uniwersytetu w roku bieżącym szkolnym 1829/30.“

²⁾ „Listy imienne Szkoły Głównej“; „Cyrkularze Okręgu Naukowego Warszawskiego“ za lata 1862—8.

³⁾ „Spisy imienne“; „Akty uroczyste“; „Sprawozdania“ ogł. w „Wiadomościach Uniwersyteckich“ za lata 1869—97.

ku 1876 rosyjskiej reformy sądowej w kraju tutejszym, zaczęła napływać na wydział prawny Uniwersytetu warszawskiego znaczna ilość studentów Rosyan, reflektujących na objęcie posad w nowych instytucjach sądowych, zamkniętych dla Polaków. Zarazem około tego czasu ujawnił się już dostatecznie wpływ przepisów o stypendyach rządowych i przywilejach wyjątkowych dla urzędników rosyjskich, służących w Królestwie Polskiem i ich rodzin. Nareszcie około tego samego czasu weszły w życie przepisy specjalne o dopuszczeniu do Uniwersytetu warszawskiego wychowawców szkół duchownych i seminarjów prawosławnych. Nadomiar zaś we wszystkich rzeczowych i innych jeszcze kierunkach uwydatniła się nader znamienne intensywna działalność A. I. Apuchtina, piastującego od początku ósme lat dziesiątka godność kuratora Okręgu naukowego warszawskiego. On to, między innemi, „w widokach wzimocnienia żywiołu rosyjskiego na Uniwersytecie tutejszym,“ zyskiwał w Radzie Państwa, jakoteż w ministerjach oświaty i skarbu coraz nowe ulgi i zasiłki edukacyjne dla synów Rosyan, urzędujących w Królestwie Polskiem¹⁾. On również, za pośrednictwem generał-gubernatora Hurki oraz dzięki energicznemu poparciu oberprokuratora św. Synodu rz. r. t. Pobiedonoscewa, uzyskał całkiem wyjątkowe—bo przeciwne ogólnie obowiązującemu w całym Cesarstwie zakazowi,—zezwoleństwo ministerjalne na przyjmowanie do Uniwersytetu warszawskiego wszela-

¹⁾ Ustawa o przywil. służby cywil. w gub. Zachodn. i Król. Polskiego, 25 czerw. 1886, § 48; uchwała Rady Państwa o wsparciu edukacyjnem dla osób służących w Okr. nauk. warsz., 13 czerw. 1889, i t. d. Osobna wzmianka należy się wsparciom stypendyalnym, mającym swoją ciekawą historję: B. Komitet do spraw Królestwa Polskiego uchwałą z d. 18 kwietnia 1867 r. był¹⁾ wyznaczył kredyt 11 tysięcy rs. rocznie na stypendya dla studentów Rosyan urodzonych w Królestwie, studyujących w Cesarstwie, lecz wyraźnie tylko *aż do utworzenia* w Warszawie uniwersytetu rosyjskiego (t. j. faktycznie do 1869 r.). Tymczasem kredyt ten następnie bez żadnej prawnej zasady został kontynuowany i obracany na tenże cel w Uniwersytecie warszawskim. Dopiero w 1887 r. ówczesny minister finansów, r. t. Wysznegradzkij, postrzegłszy tę nieprawidłowość, uzyskał postanowienie Rady Państwa, uznające, iż ów kredyt „utracił moc“ jeszcze w 1869 r., i zalecające niezwłocznie jego skreślenie od 1 stycznia 1888 r., stwierdzając w ten sposób zupełną prawną bezzasadność dokonanych z tego tytułu w ciągu lat 18 (1869—1888) wypłat stypendyalnych blisko 200 tysięcy rs. Dodać zresztą potrzeba, że r. t. Apuchtin mimo to potrafił uzyskać przywrócenie tego kredytu, odtąd przynajmniej na legalnej podstawie. Por. „Sborn. postan. minist. ośw.“ X (1894), № 541.

kich seminarzystów prawosławnych, opatrzonych w „świadczenia właściwej władzy eparchialnej i gubernatora o pożądanem ich sprawowaniu się pod względem politycznym ¹⁾.“ W istocie liczba samych tylko tych seminarzystów wynosiła w tym czasie przeciętnie około $4\frac{1}{2}\%$ ogółu studentów warszawskich; nadto odpowiedni przyrost coroczny okazywał się jeszcze znacznie wyższym, a mianowicie przekraczał 7% (np. w r. 1896 na ogólną liczbę 280 nowowstępujących studentów było już 20 seminarzystów, t. j. $7,1\%$). Popierana takimi środkami celowa akcja uniwersytecka A. L. Apuchtina przyniosła też odpowiednie owoce, które w ostatnim pięcioleciu jego rządów kuratorskich wyraziły się pod postacią następujących, ustosunkowanych wedle wyznań, cyfr procentowych: w 1893 r. na Uniwersytecie warszawskim prawosławni stanowili $17,6\%$ ogółu studentów, w 1894 — $17,7\%$, w 1895 — $19,26\%$, w 1896 — $21,4\%$, w 1896 — $21,3\%$. Odpowiednie cyfry katolików w tym samym okresie pięcioletnim stanowiły $57,87\%$, $57,51\%$, $54,67\%$, $53,7\%$, $55,7\%$. Żydzi stanowili równocześnie w przecięciu około 20% , w 1897 r. — $19,2\%$; ewangelicy przeciętnie — około $3\frac{1}{2}\%$ ²⁾.

Z powyższych cyfr wyznaniowych, biorąc nadto pod uwagę miejsce pochodzenia studentów, można z dostateczną ścisłością wydobyć stosunki narodowościowe i namacalnie stwierdzić system kierowniczy, urabiający je w tempie forsownem wedle swoich widoków. Można mianowicie dopatrzeć się na pierwszy rzut oka, że, bez względu na nikłe wahania z roku na rok, naogół wśród studentów Uniwersytetu warszawskiego forsownie dokonywał się stały przyrost systematycznie popieranego żywiołu rosyjskiego i wogóle przychodzącego z Cesarstwa, oraz równoległy stały ubytek wypieranego systematycznie żywiołu polskiego i krajowego.

W wyżej wymienionym punkcie chronologicznym ujawniła się wprawdzie w tej mierze pewna stosunkowa folga. Ujawniła się ona jednak nietylko względem samego wskazanego systemu, który pozostał i nadal w niewzruszonej mocy, ile względem nie-

¹⁾ Raporty ministra oświaty, 6 grud. 1884, 24 czerw. 1886; por. „Sborn. postan. minist. ośw.“ IX (1893), № 156, X (1894), № 264; wyjątkowość tego środka była tembardziej bijącą w oczy, że przed pięciu dopiero laty była zapadła Najwyżej zatwierdzona uchwała Oddzielnego Komitetu sekretarza stanu Wałujewa, 1 kwiet. 1879, wyraźnie i bezwarunkowo zamykająca wstęp na uniwersytety rosyjskie seminarzystom prawosławnym, jako nieposiadającym dostatecznego wykształcenia naukowego.

²⁾ Dane urzędowe, jak wyżej.

jakiego zwolnienia tempa jego zastosowania. Ustąpienie z kuratorstwa warszawskiego r. t. Apuchtina w 1897 r., po siedemnastoletniej wyteżonej działalności, nie mogło nie mieć narazie pewnych chwilowych skutków dodatnich. Przyczyniły się tu zresztą niektóre uboczne, zgoła incydentalne czynniki. Tak np. napływ seminarzystów prawosławnych do wszechnicy warszawskiej został poniekąd przynajmniej pomiarowany, skutkiem skierowania ich do innych także uniwersytetów „kresowych“, upośledzonych tymczasem, na podobieństwo warszawskiego, przez obowiązkowe przyjmowanie tej szczególnej kategorii akademickiej, t. j. do jurjewskiego i tomskiego. Z innej znów strony, skutkiem otwarcia w 1898 r. Politechniki warszawskiej, część słuchaczy Rosyan zaczęła odpływać do tego zakładu, z pewną ulgą dla odpowiedniego stosunku procentowego na Uniwersytecie. Skądinąd jeszcze, skutkiem nowych utrudnień hakatystycznej natury, zaprowadzonych na uniwersytetach niemieckich dla Polaków poddanych rosyjskich, znaczna część naszej młodzieży, udająca się dotychczas na studia do Niemiec, znalazła się pod przymusem wstępowania na unikany przez nią Uniwersytet warszawski. Te i niektóre inne jeszcze okoliczności czasowym swoim zbiegiem spowodowały ostatnimi laty niejaką względną poprawę samej liczebności frekwencyjnej, jakoteż jej ustosunkowania wyznaniowo-narodowościowego na Uniwersytecie warszawskim. W ostatnim tedy pięcioleciu liczono tu ogółem: w 1900/1 r. — 1168, w 1901/2 r. — 1284, w 1902/3 r. — 1323, w 1903/4 r. — 1472, w 1904/5 r. — 1485 studentów. W tych zaś liczbach ogólnych stanowili w odpowiednich latach kolejnych: prawosławni — 18,6%, 18,3%, 18,7%, 17,4%, 16,6%; katolicy — 63,1%, 65,7%, 64,6%, 66,3%, 66,4%; żydzi — 14,1%, 12,7%, 12,4%, 12,3%, 12,5%; ewangelicy przeciętnie — około 4%¹⁾.

Jeśli teraz wziąć na uwagę bądźto powyżej skonstatowane normalne cyfry wcześniejsze, wyrażające właściwy bilans konsekwentnych od początku dążeń polityki uniwersyteckiej, uwiecznionych dyrektywą kuratorską A. L. Apuchtina, bądź też nawet tylko te ostatnie najświeższe a nieco pomyślniejsze dane cyfrowe, — (jakkolwiek sam ów pomyślniejszy ich charakter posiadać może jedynie względne znaczenie incydentalne, bez żadnego głębszego gruntu i rękojmi, bo bez nieodzownej radykalnej zmiany całego uświęconego systematu, kierującego z jednakową ciągle

¹⁾ Dane urzędowe, j. w., za lata 1900—5.

konsekwencyą współczesnym stanem rzeczy na Uniwersytecie warszawskim), — to w każdym razie wypadnie dojść do wyników, dużo dających do myślenia. Płynie stąd bowiem, z niewielką w szczegółach odmianą, ten sam niewątpliwy wniosek podwójny o frekwencji uniwersyteckiej warszawskiej: popierwsze, żywioł czysto rosyjski i wogóle zakrajowy osiągnął tu liczebnie stanowisko niewspółmiernie wydatne; powtóre, żywioł polski, który w b. Uniwersytecie Aleksandrowskim oraz b. Szkole Głównej *wyłącznie* był reprezentowany i obejmował pełne 100% uczniów, został tu niewspółmiernie upośledzony liczebnie i sprowadzony obecnie na Uniwersytecie warszawskim, nawet przy najpochlebniejszym rachunku, do jakich 75%, obok 25% żywiołów niepolskich.

W rzeczy samej, ten prosty wniosek i ten oględny rachunek nie mogą ulegać żadnemu sporowi. W początkach istnienia dzisiejszego Uniwersytetu, w drugim roku szkolnym 1870.1 — żeby już nie powoływać się na prowizoryczny stan rzeczy w pierwszym roku, — znajdowało się studentów Rosyan: na wydziale historyczno-filologicznym — 0, na fizyko-matematycznym — 1, na medycznym — 3, na prawnym — 9, razem 13, na ogólną liczbę ówczesną 1020. Obecnie liczba samych studentów prawosławnych, która, bez względu na wahania procentowe, wzrasta bez ustanku w cyfrze absolutnej, wynosi za rok bieżący 1904/5 — 246 na ogólną liczbę dzisiejszą 1485. Innemi słowy, kiedy cały przyrost liczebny podniósł się zaledwo o niespełna $\frac{1}{2}$ pierwotnej cyfry frekwencyjnej, przyrost prawosławnych podniósł się o 20 razy. Pamiętać zaś przytem potrzeba, że prawosławni stanowią niewiecej, jak 5% ludności Królestwa Polskiego, a nadto dla rozlicznych powodów faktycznych mieszczą stosunkowo mniej materiału akademickiego od innych warstw ludności tutejszej. Z drugiej zaś strony należy zwrócić uwagę na inne żywioły, sprowadzane wprost z Cesarstwa na Uniwersytet warszawski, które dawniej wcale nie były tu reprezentowane, jak np. Ormianie. Co się tyczy Polaków, to *minimum* ich wskazuje obecnie liczba studentów katolików, wahająca się w ostatniem dziesięcioleciu między $\frac{1}{2}$ a $\frac{2}{3}$, kiedy na b. Uniwersytecie Aleksandrowskim sama tylko ta liczba katolików stanowiła 99%, zaś w b. Szkole Głównej przeszło 80%. Tu znowu pamiętać potrzeba, że katolicy stanowią przeszło 75% ludności Królestwa Polskiego. Są więc oni w cyfrze frekwencyjnej upośledzeni bezpośrednio o 10—20%. Doliczyć do nich wypada Polaków innych wyznań. Ale tutaj należy zauważyć, iż obecnie, zgoła odmiennie niż za czasów b. Szkoły Głównej,

ze znacznej liczby studentów-żydów poważny odsetek nie może być zaliczony do żywiołu polskiego, między innymi względami już dla tej przyczyny, że jest wśród nich obecnie sporo żydów z głębi Cesarstwa, którzy nawet podobno w Uniwersytecie warszawskim łatwiejszy mają przystęp. To samo daje się poniekąd powiedzieć o ewangelikach, wśród których w ostatnich czasach, zwłaszcza od reformy b. dorpackiego, dziś jurjewskiego uniwersytetu, znajduje się sporo Niemców nadbałtyckich. Jeśli ostatecznie z tem wszystkim zrobić, jak się rzekło, najpochlebniejszy rachunek dla żywiołu krajowego, t. j. do liczby katolików doliczyć przeważną część ewangelików i żydów, pochodzących z Królestwa, wtedy otrzymuje się dla dzisiejszego Uniwersytetu warszawskiego wskazany powyżej najogólniejszy stosunek 25% nie-Polaków i 75% Polaków.

Biorąc teraz za podstawę do porównania ten ostatni stosunek oraz liczby przeciętne z ostatnich lat b. Uniwersytetu Aleksandrowskiego, b. Szkoły Głównej i Uniwersytetu dzisiejszego, otrzymane odpowiednie cyfry frekwencji polskiej na tych trzech kolejno wszechnicach: 750 — dla pierwszej, 1200 — dla drugiej, 1100 — dla trzeciej. Owóż, w roku 1829 Królestwo Polskie liczyło około 4 milionów mieszkańców, w roku 1866 — około 5 1/2 mil., obecnie liczy około 11 mil. Tym sposobem, jeśli uwzględnić sam tylko wzrost ludności, okaże się, że frekwencja polska Uniwersytetu warszawskiego obniżyła się w porównaniu z Aleksandrowskim o przeszło 180%, zaś w porównaniu ze Szkołą Główną — o przeszło 210%. Należy przytem zaznaczyć, iż rzeczywisty spadek stosunkowy jest niewątpliwie jeszcze o wiele znaczniejszy. W rzeczy samej, wzrost frekwencji uniwersyteckiej w całym świecie cywilizowanym odbywa się nietylko w prostym stosunku do wzrostu ludności, lecz o wiele szybciej, w takich np. Niemczech, Francji lub Szwajcaryi o kilka i kilkanaście razy szybciej. Ale niema nawet potrzeby sięgać aż tak daleko, gdyż jest pod ręką przykład dotykający na ziemi polskiej. Galicya ani pod względem materialnym, ani tem mniej pod względem tradycyi kulturalnych nie wytrzymuje żadnego porównania z Królestwem Polskiem; zresztą o przeszło jedną trzecią ustępuje mu pod względem zaludnienia, które nadto prawie w połowie składa się z żywiołów rusińskich, mniej podatnych dotychczas do ukształcenia akademickiego. Mimo to wszystko Galicya posiada obecnie dwa pięknie rozwijające się uniwersytety polskie, krakowski i lwowski, z frekwencją ogólną dochodzącą łącznie na obu w bieżącym roku szkolnym 1904/5 do blisko pięciu tysięcy słuchaczy, co (na

7½ milionową ludność Galicyi) w porównaniu z tegoroczną półtoratysięczną frekwencją ogólną Uniwersytetu warszawskiego (na 11 milionową ludność Królestwa) daje stosunek jak 5 : 1. Jeżeli zaś, przy uwzględnieniu wzajemnej proporcji narodowościowej zaludnienia Galicyi a Królestwa, porównać właściwą frekwencję polską, wykazującą za ostatni rok wykładowy 1904 na uniwersytecie krakowskim 1817, na lwowskim — 1933, razem — 3750 Polaków, z odpowiednią otrzymaną powyżej cyfrą 1100 Polaków na Uniwersytecie warszawskim, w takim razie rzeczony stosunek jeszcze bardziej się pogorszy i przedstawi się ostatecznie jak 7 : 1.

Niezadowolający stan frekwencji Uniwersytetu warszawskiego przedstawia zjawisko nazbyt rażące, aby mogło ono całkowicie ująć uwagi samych nawet władz kompetentnych. Było też ono niejednokrotnie przedmiotem urzędowych rozpamiętywań, aczkolwiek — oprócz chyba jednostronnych środków wyjątkowych, poprzednio wzmiankowanych, spowodowanych raptownym spadkiem w pierwszym okresie istnienia Uniwersytetu, a skierowanych do forsownego zwiększenia frekwencji czysto rosyjskiej, — nie wywołało dotychczas żadnej owocniejszej inicjatywy. Między innymi, ministerium oświaty jeszcze w odezwie z d. 30 czerwca 1895 r. do b. kuratora r. t. Apuchtina takie w tym względzie wyraziło uwagi: „Ostatniemi czasy dostrzeżono nader znaczny wzrost liczby studentów na dwóch uniwersytetach stołecznych (petersburskim i moskiewskim) oraz Św. Włodzimierza (kijowskim) i równoległe zmniejszanie się liczby studentów na uniwersytetach prowincjonalnych... W celu zapobieżenia takiemu wpływowi do wyżej wymienionych uniwersytetów oraz w celu ustalenia równomierniejszej frekwencji na innych uniwersytetach, być może okazałoby się użytecznem ustanowić prawidło, iż do każdego uniwersytetu mają wstępować młodzieńcy, posiadający dyplomy albo świadectwa dojrzałości z gimnazyów odpowiedniego okręgu naukowego. Tak np. do Uniwersytetu warszawskiego mogłyby wstępować tylko osoby z gimnazyów okręgu naukowego warszawskiego oraz z gubernii mińskiej, wileńskiej i grodzieńskiej.“ Atoli Rada uniwersytecka warszawska, wezwana przez b. kuratora r. t. Apuchtina do wydania opinii o rzeczonyj odezwie ministerjalnej, oświadczyła się stanowczo przeciw wyrażonemu w niej projektowi. „Obowiązkowe wstępowanie młodzieży gimnazyalnej do najbliższych uniwersytetów — tak bezwzględną swoją opozycję przeciw projektowi ministra uzasadniał na posiedzeniu Rady profesor ekonomii politycznej i statystyki, znany skądinąd

z charakteru swojej działalności dyrektor Komitetu statystycznego warszawskiego, — może sztucznym sposobem wytworzyć centry narodowościowe, co zupełnie nie jest do życzenia dla względów czysto państwowych. Okoliczność niepomysłna, która osłabia napływ uczącej się młodzieży do Uniwersytetu warszawskiego, na tem mianowicie polega, iż Rosyanie urodzeni w Kraju Przywiślańskim po ukończeniu kursu nauk w Uniwersytecie warszawskim pozbawieni są pełnych przywilejów służbowych, przyznanych osobom pochodzenia rosyjskiego, które ukończyły kurs nauk w uniwersytetach Cesarstwa: a zatem to ograniczenie powinno być zniesione.“ Innemi słowy, rz. r. st. G. T. Simonenko, dotychczasowy od lat już dwudziestu kilku profesor ekonomii politycznej i statystyki na Uniwersytecie warszawskim, więc niemal od początku jego istnienia naoczny świadek i wpływowy uczestnik stosowanego tu systematu uniwersyteckiego, jest zdania, że zamało jeszcze na wszechnicy tutejszej hamowano żywioł polski, zamało popierano rosyjski. Dodać zaś należy, że ostatecznie w rzeczy samej ministerjum oświaty cyrkularzem z lipca 1899 r. zaleciło maturzystów Okręgu naukowego wileńskiego kierować nie do Uniwersytetu warszawskiego, lecz do moskiewskiego, petersburskiego i jurjewskiego ¹⁾. Niema oczywiście żadnej potrzeby dodawać bliższego komentarza ani do osobliwej w tej sprawie argumentacyi ani do osobliwej konkluzyi dzisiejszego warszawskiego profesora ekonomii politycznej i statystyki. I jakkolwiek w zasadzie nastręczałoby się niejedno zastrzeżenie przeciw bezwarunkowemu skrępowaniu młodzieży w wyborze wszechnicy, to jednak zaprzeczyc niepodobna, że głębsza myśl, tkwiąca w osnowie poruszonej przez samo ministerjum oświaty kwestyi formalnej, rozwinięta należycie w duchu liberalnym i roztropnym, t. j. w duchu organicznego zespolenia Uniwersytetu warszawskiego z przyrodzonym materiałem akademickim Królestwa i Litwy, byłaby ze wszech miar na miejscu właśnie w danym wypadku, wobec anormalnych stosunków, panujących pod względem rodzaju frekwencyi na wszechnicy tutejszej. A dla charakterystyki tych stosunków, obok stwierdzonego powyżej ogólnego zjawiska odplywu rdzennego żywiołu polskiego a napływu zakrajowych,

¹⁾ „Wyciąg z protokołu posiedzenia Rady Uniwersytetu warszawskiego“ z d. 12 wrześn. 1895 r., ogł. w „Wiadomościach Uniwersyteckich“, 1896 r. № 3; cyrkularz minist. ośw. 17 lip. 1899, № 15773, „Prawit. Wiestn.“ 20 lip. 1899, № 146, por. „Żurn. minist. ośw.“ 1900, czerw., str. 98.

przydać jeszcze wypada w szczególności, że między innymi, jak przekonać się można dowodnie choćby ze „Spisów imiennych“ za ostatnie lata, napływają tu obecnie studenci: z Pskowa, Kurska, Kaługi, Niżnego Nowgorodu, Wiatki, Ufy, Samary, Astrachania, Orenburga, Złatousta, Baku, Kerczu, Teodozyi, Kutaisu, Tyflisu, Erywania, Krasnojarska i Taszkentu. Aliści jasną jest rzeczą, że o trwałem wyprostowaniu podobnych stosunków, a zwłaszcza o pożytecznem rozwinięciu tamtej myśli zasadniczej mogłaby być mowa nieinaczej, jak na podstawie gruntownej i wszechstronnej reformy samych podstaw obecnego ustroju Uniwersytetu warszawskiego.

Dotychczas braliśmy pod uwagę jeden tylko, co prawda bardzo wybitny, najelementarniejszy czynnik ilościowy: samą frekwencję uniwersytecką. Obok niego atoli należy uwzględnić inny jeszcze miernik, równie niezbędny i zasadniczy, a nawet w niniejszym wypadku o wiele głębszego jeszcze znaczenia, miernik jakościowy: t. j. rzeczywistą wytwórczość wychowawczo-naukową Uniwersytetu warszawskiego, a tem samem rzeczywistą jego dla kraju owocność cywilizacyjną. „Z owoców ich poznać je.“ Nigdzie chyba to słowo ewangeliczne oczywistszego nie może mieć zastosowania, jak właśnie w tej najwznioślejszej dziedzinie duchowej, gdzie się uprawia najwyższe zdobycze myśli ludzkiej i na jej szczyty prowadzi młode dusze ludzkie. Przyłóżmy obecnie, wedle najskromniejszej bodaj skali porównawczej, ten mianowicie miernik do dzisiejszej wszechnicy warszawskiej, uważanej z punktu widzenia owocności trudów bezpośredniej jej poprzedniczki, b. Szkoły Głównej. Szkoła Główna istniała wszystkiego przez lat siedm. Powstała w chwili strasznego dla kraju przesilenia, trwała pośród najbliższych, najcięższych onego przesilenia następstw i skutków. Jednakowoż można i należy stwierdzić, że krótka i utrudniona jej działalność okazała się w wysokim, w nadspodzianie wysokim stopniu rzeczywicie dla kraju owocną. Ograniczymy się narazie do dwóch tylko dyscyplin naukowych, ogólniejszego poniekąd, a stąd przystępniejszego charakteru społecznego, do dwóch wydziałów: historyczno-filologicznego i prawnego. Zwrócimy nadto uwagę na tę okoliczność, że w obu tych dziedzinach stosunki życiowe, jakie zaraz po opuszczeniu progów b. Szkoły Głównej czekały byłych jej wychowanców, ułożyły się wyjątkowo niepomysłnie. Z jednej strony, dla historyków i filologów Polaków, z chwilą wprowadzenia nowych zasad kierowniczych w przywróconym Okręgu naukowym warszawskim, została zamknięta niemal zupełnie właściwa przeszłość za-

wodowa, jaką mogli mieć na widoku, kiedy wstępowali do Szkoły. Z drugiej strony, prawnicy Polacy trafiali na reformę sądową 1876 r. w kraju tutejszym, która zmuszała ich nazajutrz po ukończeniu studyów uniwersyteckich do podjęcia dodatkowych wysiłków celem przyswojenia sobie całych wielkich obszarów nowego dla nich prawa materialnego i procedury oraz celem zupełnego opanowania w nowym dla nich zakresie języka urzędowego rosyjskiego, odtąd w piśmie i mowie obowiązującego w nowych instytucjach sądowych; tem samem zaś zostali oni oderwani od pracy naukowej na tem polu, gdzie mieściło się właściwe ich ukształcenie akademickie. Mimo to wszystko, w samych tylko obu rzeczonych dziedzinach b. Szkoła Główna zdołała wydać długi szereg bądź zgoła niepospolitych ludzi, bądź też wyjątkowo użytecznych pracowników. Stąd wyszli pisarze i uczeni, jak Sienkiewicz, Prus, Świętochowski, Chmielowski, Dygasiński, Rembowski, Grabowski, Święcicki, Chlebowski, Gomulicki, Rzętkowski, Malinowski, Baudouin de Courtenay, Dunin, Kraushar, Gloger, Roszkowski, Niemirowski, Parczewski i bardzo wielu innych. Przyśledując teraz z kolei z analogicznym sprawdzianem do dzisiejszego Uniwersytetu warszawskiego jako spadkobiercy b. Szkoły Głównej, spostrzegamy, że istnieje on od lat trzydziestu sześciu. Istnieje tedy przez okres już przeszło pięćkroć dłuższy od całego trwania tamtej Szkoły. Istnieje pośród zwyczajnych, pokojowych warunków społecznych. Ale napróżno przeglądamy z największą uwagą trzydzieści sześć odpowiednich „Spisów imiennych“ uniwersyteckich: nie znajdujemy w nich nic albo prawie nic, co można by przeciwstawić tamtej świetnej liście nazwisk zasłużonych dla piśmiennictwa, dla nauki, dla kraju, która stanowi dyplom niespożytej zasługi b. Szkoły Głównej. Podobnież w całym świecie cywilizowanym podobnymi dyplomy zasługi, nie samą jeno rzemieślniczą, obowiązkową swoją produkcją, szczycą się wielkie instytucje uniwersyteckie; i niemasz wszechmicy, która by nie posiadała podobnej złotej karty swoich znakomitych wychowauców. Takiej karty, takiego dyplomu nie wykazuje podziśdzień obecny Uniwersytet warszawski. Funkcyonował on poprostu bez przerwy przez lat trzydzieści sześć, jako jedno podrzędne wśród wielu innych narzędzie pomocnicze ogólnopauństwowej akcji unifikacyjnej oraz jako zwyczajna machina biurokratyczno-egzaminacyjna, ustawiona w kraju tutejszym; przykładał się po swojemu do wypełniania właściwości krajowych w zajętej przez siebie dziedzinie oraz wydawał corocznie pewną ilość mniej lub więcej wykwalifikowanych zawodowców — i na tem koniec.

Reasumując powyższe wyłączenia czysto faktyczne, ograniczające się dopiero do prostego wskazania widomych niewątpliwych skutków, a nie tykające jeszcze właściwej przyczynowej strony zjawiska, i wracając do pierwotnego punktu wyjścia, t. j. do postawionego u góry pytania: czy dzisiejszy Uniwersytet warszawski w swoim zakresie wykształcenia wyższego zaspokaja w dostatecznym stopniu istotne potrzeby kraju naszego? — nie pozostaje nic innego, jak już na podstawie tych oczywistych przesłanek rzeczowych skonstatować z całą pewnością, iż odpowiedź musi pod każdym względem wypaść przecząco.

Z rzetelnym smutkiem przychodzi skonstatować pewnik tak niepomyślny, a wręcz nieodparty, bo dyktowany wyłącznie wymową cyfr i faktów. Zaraz też rodzi się stąd następne nieuniknione pytanie: na jakiej podstawie został osiągnięty i w ciągu kilku dziesięcioleci coraz mocniej pogłębiany na jedynej w kraju wszechnicy rezultat tak bardzo ujemny, tak mało przynoszący jej zaszczytu, wiodący do takiego zwłchnięcia jej natury i obniżenia poziomu, i koniec końcem podający poważnie w wątpliwość samo już nawet właściwe jej ogólne posłannictwo uniwersyteckie? Gdyż jasnym jest, że żadna instytucja tego rodzaju, żadna wogóle wszechnica nie może bezkarnie, bez ciężkiej ujmy dla samej siebie, wyosobnić się, odstrychnąć, odciąć z taką bezwzględnością od wielkiego, cywilizacyjnie dojrzałego społeczeństwa, wśród którego istnieć i działać jej przeznaczone, i od bezpośrednio ją poprzedzających, ustalonych w niem zdrowych tradycji kulturalno-universyteckich. Rozmaite zapewne być mogą zakresy, nastroje i warunki kolejnych wszechnic, pod rozmaitą konstelacją dziejową w takim społeczeństwie istniejących: — lecz sama istota ich posłannictwa jedna jest i jedną pozostać musi; ono dopiero, w ten jedyny sposób pojęte, czyni je prawdziwie godnymi wysokiego wszechnicy imienia; ono daje im zaszczytne prawo obywatelstwa w powszechnej *Respublica litterarum*; i ono też nakazuje im, jak owym szlachetnym zapaśnikom, o których mówi Platon i Lukrecyusz, odbierać od poprzedników i oddawać następcom jasną pochodnię czystej wiedzy i światła. *Et quasi cursores lampada tradunt*. Niepodobna, zaiste, uwierzyć, aby od takich obowiązków, od takiej solidarności mógł i powinien był uchylać się nawet dzisiejszy Uniwersytet warszawski, przy jakiegokolwiek bądź, najniepomyślniejszej skądinąd konjunkturze społecznej byłby on swego czasu powołany do życia. I doprawdy, raczej wypadłoby mniemać, że w teorii, w początku przynajmniej, on się do takiej łączności najwyraźniej, najdosłowniej przyznawał. Istnieje mianowicie w tym

względzie zupełnie osobliwe, jedyne w swoim rodzaju świadectwo. „Uniwersytet — tak brzmiała przemowa inauguracyjna pierwszego rektora, księdza Wojciecha Szweykowskiego, kanonika katedry plockiej, na uroczystości otwarcia Królewskiego Uniwersytetu warszawskiego na dniu 14 maja 1818 r., — niema oznaczonego stopnia, do którego ma doprowadzać swoich słuchaczy; im wyżej ich posuwa, tem większą jest to dla niego zaleta. Niema on innych granic w dawaniu nauk, chyba te, które Wszchemocny Stwórca stworzeniom rozumnym w znak podległości zakreślił. Uprawą i bogactwem tych krain są wyobrażenia. Te hodować, rozkrzewiać i uszlachetniać, jest zadaniem uniwersytetu. Ktoby chciał ścieśniać i ograniczać państwo wyobrażeń, ten by zniszczył jego jestestwo.“

„Uniwersytet — tak głosiła przemowa inauguracyjna pierwszego rektora, rzeczywistego radcy stanu Piotra Aleksiejewicza Ławrowskiego, b. profesora charkowskiego, na uroczystości otwarcia Cezarskiego Uniwersytetu warszawskiego, na dniu 24 października 1869 r., — niema dla swoich słuchaczy ściśle określonej granicy; im wyżej podnosi się ta granica, tem większą jest jego zasługa. Właściwie nie zna on innych kresów w rozwoju nauki, prócz tych, które istotom rozumnym wskazał Wszchemocny Stwórca. Treść i bogactwo tych dziedzin stanowi myśl. Ją uprawiać, udoskonalać, uszlachetniać — oto powszechne zadanie uniwersytetu. Zatem ścieśnienie lub ograniczenie myśli w dziedzinie nauki byłoby w sprzeczności z istotnem powołaniem uniwersytetu.“

„W rzeczach naukowych — tak ciągnął dalej rektor i ksiądz kanonik Wojciech Szweykowski — nie zna uniwersytet wyższego nad własny sąd, chyba sąd świata uczonego, a i od tego wolno mu się jeszcze do potomności odwołać... Takie jest wyobrażenie uniwersytetu z natury; takie jest naszego z ustanowienia.“

„W sprawach nauki — tak kontynuował rektor i rz. r. st. Piotr Aleksiejewicz Ławrowski — nie zna uniwersytet wyższego wyroku nad wyrok świata uczonego; lecz i ten wyrok nie jest dlań jeszcze wydanym w ostatniej instancji; istnieje sąd potomności, który wagę i moc dla uniwersytetu posiada. Takie, moi panowie, jest znaczenie uniwersytetu z jego istoty; takie jest ono również z woli i rozporządzenia władzy.“

Okazuje się tedy, że dzisiejszy Uniwersytet warszawski pierwotnie nie wypierał się bynajmniej solidarności duchowej ze swymi poprzednikami; że nawet objawiał ją w osobliwszej, niepraktykowanej gdzieindziej postaci; że aż zanadto odbierał pochodnię¹⁾.

¹⁾ O tym nieprawdopodobnym plagiacie akademickim można się dowodnie przekonać z większemi szczegółami z porównania obu tekstów w „Ob-

Skoro zaś tak sobie poczynął względem tamtej dawniejszej *alma mater*, skąd wyszli krewcy wychowańcy Lacha – Szyrmy i Lelewela, czyliż był istotnie zmuszony wypowiadać wojnę tej najbliższej, skąd wyszli spokojni uczniowie Mianowskiego i Dutkiewicza? Skoro tak dosłownie, aż trochę bezceremonialnie, przyswajają sobie napozór wskazania wytyczne Uniwersytetu Aleksandrowskiego, czyliż naprawdę był zniewolony odzegnywać się od wytycznych zasad Szkoły Głównej? Czyliż w rzeczy samej – abstrahując już nawet od wyższych względów ogólnych słuszności, prawności i celowości kulturalno-społecznej i polityczno-dziejowej, — istniały do tego rzeczywiste powody, chociażby tylko oficjalne, w samej sankcyi prawodawczej, dzisiejszy Uniwersytet stanowiącej, z brzmienia, treści i ducha zawarte, które nakazywałyby zerwać wszelką nić łączności organicznej w rozwoju wykształcenia wyższego w Królestwie Polskiem pomiędzy dzisiejszą a poprzedzającą generacją, pomiędzy dzisiejszą instytucją uniwersytecką a wszystką poprzedzającą tradycją edukacyjną kraju naszego?

Niestety, w takim właśnie kierunku podążała godna ubolewania praktyka życia uniwersyteckiego, przedewszystkiem odpowiedzialna za wykazany niepomysłny obrót rzeczy uniwersyteckich: ale o takie powody nie pytała wcale i zgoła bez nich się obeszła, gdyż takich powodów nie było. Nie było ich nietylko w naturze położenia, lecz nawet w genezie, w motywach, w tekście ani w myśli samego prawa, — aczkolwiek to prawo, stanowiące przed trzydziestu kilku laty, w epoce przejściowej i anormalnej, musiało pod każdym względem wiele pozostawiać do życzenia i nie mogło w należytej mierze odpowiadać przyrodzonym potrzebom krajowym, uważanym ze stanowiska stałych warunków i wymagań prawidłowego społecznego rozwoju. A przecież to prawo, jakkolwiek skutkiem tego domagałoby się dzisiaj kardynalnego przeobrażenia, było jednak w istocie jeszcze bardzo dalekiem od tej jednostronnej praktyki, jaka samowolnie z niego wyszła, od tej niczem nieuzasadnionej interpretacyi, jakiej ono stało się przedmiotem. Podobnego rodzaju praktyka i interpretacya, być może, byłaby jeszcze dała się wyprowadzić wśród okoliczności odmiennych ze słynnego własnoręcznego dekretu Cesarza Mi-

chodzie uroczystey inauguracyi Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego,“ Drukarnia Rządowa 1818, oraz w „Cyrkularzu Okręgu naukowego warszawskiego,“ 1869, № 10, str. 389 i nast.

kołaja I na protokóle Rządu Tymczasowego Królestwa z d. 24 października 1831 r. z powodu zamknięcia b. Uniwersytetu Aleksandrowskiego. Zamknięto wtedy uniwersytet w Warszawie i więcej go nie otwierano. To było przynajmniej logiczne. To był pewien jasny, określony system. Ale nie ten system z przed trzech ćwierci wieku obowiązywał, obowiązywać był powinien od lat trzydziestu sześciu w kraju tutejszym. Okazał się on nie tylko nieodpowiadającym interesowi kraju i duchowi czasu, lecz nieodpowiadającym nawet interesowi i intencji rządu. To też przed laty trzydziestu sześciu, po stłumieniu powstania, nie do tamtego systematu wrócił Cesarz Aleksander II i jego ówcześni doradcy, lecz zainaugurowali zgoła odmienny, podyktowany nie przez względność, lecz przez odpowiednio pojętą potrzebę własną. Ten mianowicie i tylko ten system powinien być przynajmniej, ze stanowiska już nie krajowego, ale wprost rządowego, znaleźć ścisłe zastosowanie w popowstańczem Królestwie Polskiem, nie okrawany ani ograniczany w kierunku wstecznym przez ręce do tego nieuprawnione, lecz raczej przeciwnie, w duchu liberalnym rozszerzany i udoskonalany, w miarę naturalnego postępu stosunków krajowych. Do tego zaś systematu nie daje się żadną miarą zastosować cała dotychczasowa długoletnia praktyka i interpretacya w rzeczach uniwersyteckich, o których mowa. Żadną miarą nie daje się ona wyprowadzić z tych wszystkich, najbardziej nawet krytyce podlegających, lecz jedynie obowiązujących właściwe władze edukacyjne, czynności i uchwał prawodawczych, które doprowadziły swego czasu do przekształcenia b. Szkoły Głównej na dzisiejszy Uniwersytet warszawski.

W rzeczy samej, jak wiadomo, zarówno miejscowa reforma uniwersytecka, jak i wogóle cała dokonana podówczas reforma wychowania publicznego w Królestwie, polegała przede wszystkim na zasadach wytycznych, wyrażonych w odpowiednich memoriałach hr. Milutyina. Wiadomo również, że autorowi tych memoriałów wszystko raczej można zarzucić, tylko nie zbytnią wyrozumiałość dla odrębnych potrzeb Królestwa, ani też zbytnią życzliwość dla odrębnych tytułów kulturalno-dziejowych społeczeństwa polskiego. Owóż w rzeczonych wywodach tego męża stanu, napewno jaknajmniej uprzedzonego na korzyść kraju i ludności tutejszej, a jaknajbardziej troskliwego o ogólnorosyjski interes państwowy i rządowy, czytamy dosłownie: „Pozostaje do rozwiązania (między innemi) pytanie zasadnicze, które nasuwa cała dotychczasowa historia wychowania publicznego w Królestwie Polskiem: czy dla rządu jest do życzenia rozwój wykształcenia wyż-

szego w Polsce, czy też należy powrócić do poprzedniego systemu, za którego ten rozwój był ścieśniany?... W odpowiedzi na to pytanie należy, jak się zdaje, bezwarunkowo wyrzec się starego systemu z trzeciego i czwartego dziesiątka lat, a natomiast, biorąc za punkt wyjścia Ustawę 1862 roku (t. j. uzyskaną przez margr. Wielopolskiego Ustawę o wychowaniu publicznem z d. 29 maja 1862 r.), urzeczywistniać, oraz w miarę możliwości rozwijać wszystkie onej przepisy, sprzyjające podniesieniu poziomu ukształcenia w Polsce... Wyrzekając się niewykonalnej w praktyce myśli, jakoby nauka rządowa mogła zostać w Polsce przewodnikiem przekonań politycznych, rząd powinien ze wszelkich miar starać się o pomyślność (*preuspiejanie*) Uniwersytetu warszawskiego¹⁾ i innych szkół krajowych: i należy tuszyć, że takie bezinteresowne sprzyjanie rozwojowi nauki w Polsce okaże się jednocześnie systematem najdogodniejszym dla widoków politycznych Rosyi... Istnienie w Warszawie wyższego zakładu naukowego, który młodzieży polskiej dostarczałby wiedzy uniwersyteckiej, przyniesie nadto korzyść niewątpliwą z tego jeszcze względu, że niechybnie odciągnie z uniwersytetów rosyjskich znaczną część młodzieży polskiej, obecnie do nich napływającej. Dawniejszemi czasy rząd uznawał za potrzebne kierować młodych Polaków do naszych uniwersytetów, w nadziei, że utracą oni tutaj swoją nadmierną wyłączność narodową. Atoli w rzeczywistości nietylko te oczekiwania zawiodły, lecz nawet objawiły się skutki wprost przeciwnie.“ W konkluzji ostatecznej, w zakresie zajmującego nas obecnie przedmiotu, hr. Milutyn sformułował wnioski następujące: „Nie mieszać do wykładu żadnych celów politycznych... Sprzyjać wszelkiemi środkami rozwojowi wykształcenia wyższego i wogóle nauki poważnej; w tym zaś celu sprzyjać ile można pomyślności Uniwersytetu warszawskiego. Dać językowi rosyjskiemu miejsce honorowe między przedmiotami wykładowemi, wyrzekając się atoli myśli natężonego zruszczenia młodzieży polskiej.“

W takim też duchu wydany został reskrypt Najwyższy na imię b. Namiestnika hr. Berga z d. 11 września 1864 r. o wychowaniu publicznem w Królestwie Polskiem. „Uznałem za potrzebne — tak otwiera się reskrypt rzeczony — skorzystać z pier-

¹⁾ T. j. Szkoły Głównej, gdyż memoriał był pisany latem 1864 r.

²⁾ Hr. Milutyn „Ogólna zapiska, wyjaśniająca urządzenie wydziału naukowego w Królestwie Polskiem,“ ogl. w „Przeglądzie Słowiańskim“ (Petersburg, 1892), II, str. 300 i nast.

wszych dni odradzającego się w Polsce pokoju, ażeby odnowić (*wozobnowit*) przerwane przez zamieszki starania Moje względem lepszego i prawidłowego urządzenia wydziału naukowego w Królestwie.“ W dalszym ciągu z naciskiem zaznaczona zostaje ścisła, nieprzerwana łączność tych „odnowionych“ starań z poprzedzającymi, podjętymi w tym samym kierunku, których owocem była Ustawa o wychowaniu publicznem w Królestwie Polskiem z maja 1862 r. oraz w szczególności zawarta w jej artykułach 220 i następujących organizacja Szkoły Głównej. „Zasadnicze podwaliny Ustawy 1862 r. — głosi reskrypt 1864 r. — powinny i nadal ściśle być zachowane, jako niewzruszony punkt wyjścia.“ Co się tyczy „w szczególności szkół średnich i wyższych,“ to w nich „władze naukowe, nie pozwalając ani sobie, ani nikomu zamieniać tych ognisk nauki na narzędzia dla osiągnięcia celów politycznych, powinny mieć na widoku wyłącznie bezinteresowną służbę dla celów oświecenia, udoskonalając nieustannie system wychowania publicznego w Królestwie Polskiem oraz podnosząc poziom wykładowy.“ Innemi słowy, prawodawca uznał narazie za konieczne wprowadzić bardzo ważne, dotkliwe i radykalne zmiany w wykonaniu poczętych w pomyślniejszej porze zamierzeń, dotyczących wychowania publicznego wogóle i wyższego w szczególności, w Królestwie Polskiem, lecz bynajmniej przez to nie myślał wyprzeć się tych wyższych zasad, tego liberalnego i przewidującego ducha, jaki z inicjatywy Aleksandra Wielopolskiego od początku tym zamierzeniom przewodniczył i głębszą, trwałą ich wartość stanowił. W tej samej myśli rozkazywał reskrypt Namiestnikowi „wziąć pod rozwagę jaknajrychlejsze przekształcenie Szkoły Głównej na Uniwersytet warszawski, z rozciągnięciem na takowy, stosownie do warunków miejscowych, *przywilejów*, udzielanych przez ogólną Ustawę uniwersytecka rosyjską.“ Przez postanowienie Namiestnika, na zebraniu połączonych Komitetu Urządzącego i Rady Administracyjnej na d. 4 października 1864 roku, ten obowiązek z kolei został włożony na Dyrektora Głównego prezydującego w Komisji Rządowej oświecenia, Wittego. Na żądanie znów Dyrektora, wyrażone w odezwie z d. 29 października t. r., członkowie Szkoły Głównej wygotowali niezwłocznie projekt ustawy uniwersyteckiej, noszący datę d. 5 stycznia 1865 r. ¹⁾

¹⁾ „Projekt ustawy Uniwersytetu warszawskiego wraz z motywami, z polecenia JW. Dyrektora Gł. Prezyd. w Kom. Rz. Ośw. Publ. przez członków Szkoły Głównej ułożony“ (1865).

Ten projekt zasługuje ze wszech miar na uwagę, jako wyraz dojrzałej, choć niezupełnie zresztą swobodnej opinii najpowołanych z techniczną stroną sprawy, oraz z temi „warunkami miejscowemi,“ jakie nakazywał uwzględnić w tym wypadku reskrypt Najwyższy. Należy zresztą podnieść, że rzeczony projekt, wypracowany przez profesorów Szkoły Głównej — (nie bez dotkliwego odczuwania pewnych deprymujących wpływów ze strony Dyrektora Komisji Oświecenia, Wittego), — ściśle zapatrywał się na wskazówki, wyrażone w reskrypcie, a nawet pod niejednym względem okazał się w swoich dezyderatach poniekąd wstrzemięźliwszym od pewnych punktów odpowiedniego projektu, wypracowanego przez hr. Milutyna i sekretarza stanu Hilferdinga, gdzie np. między innymi proponowane było przywrócenie fakultetu teologicznego na wzór b. Uniwersytetu Aleksandrowskiego, co przecie z rozlicznych względów wydać się musiało niepożądanem. Ostatecznie jednak projekt profesorów polskich nie uzyskał aprobaty Komisji Rządowej Oświecenia publicznego. Natomiast w Komisji wyrażone zostało przez ks. Czerkasskiego, najwpływowszego natenczas w tych rzeczach, zdanie następujące, znowuż podwójnie interesujące, z uwagi na wiadomą, tak bardzo nieprzychylną dla Królestwa ogólną tendencję polityczną tego wybitnego działacza: „W Warszawie może z pożytkiem dla Rosyi i dla Kraju Przywiślańskiego istnieć jedynie uniwersytet rosyjski, oparty na szerokich zasadach, gdzie w systemacie wykładowym byłyby zachowany *obszar dostateczny* dla powszechno-słowiańskich i *czysto polskich* gałęzi wiedzy. Taki uniwersytet mógłby na brzegach Wisły mieć samodzielne znaczenie naukowe.“ Jak widać, ks. Czerkasski w swojej znanej ostrej tendencji jednoczącego działacza posunął się o duży krok zarówno po za pojęcie hr. Milutyna jakoteż po za sam reskrypt prawodawczy, skoro od uniwersytetu polskiego, o jakim dotychczas jedynie była mowa, wręcz przerzucił się na rosyjski: lecz nawet on nie decydował się jeszcze bynajmniej przemyśliwać o tej zupełnej rusyfikacji Uniwersytetu warszawskiego, jaka w następstwie, bez żadnej podstawy zasadniczej ani prawnej, w drodze prostej, stopniowej a całkiem dowolnej praktyki miała zostać uskutecznioną. Po dojściu tymczasem sprawy reorganizacji Szkoły Głównej do petersburskiego Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, ówczesny minister oświaty, hr. Tołstoj, potwierdził „zasadność opinii wyrażonej przez ks. Czerkasskiego w Komitecie Urządzącym Królestwa Polskiego, iż przekształcenie Szkoły Głównej na Uniwersytet będzie miało

owocne następstwa wtedy jedynie, jeżeli... Uniwersytet warszawski będzie rosyjskim, z kierunkiem powszechno-słowiańskim, gdzie *niezbędne specjalne katedry polskie również znajdą dla siebie miejsce należyte...* Przymieszanie profesorów Rosyan z urodzenia do profesorów polskich na Uniwersytecie warszawskim uchroni go od wrogich dla rządu postępów. Jeżeli... profesorami mianowani będą *nie sami tylko Polacy, lecz oraz Rosyanie*, w takim razie urządzenie Uniwersytetu w Warszawie bodaj czy będzie wzbudzało obawy pod względem politycznym." Protokół dzienny Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, zawierający powyższe oświadczenie ministra hr. Tołstoja, uzyskał na d. 8 marca 1867 r. aprobatę Najwyższą, a tem samem moc prawa.

Z takich zasad powinna była wyjść, w dostatecznie już chyba pogorszonych i niepomyślnych dla kraju warunkach, Ustawa erekcyjna Uniwersytetu warszawskiego z d. 20 czerwca 1869 r. i w ich duchu przynajmniej powinna była zostać tłumaczoną i stosowaną. Stało się jednak inaczej. I tym razem, jak potylekroć, jak zbyt często, uwydatniły się fatalne skutki biurokratycznego traktowania żywych zagadnień społecznych, przyczem są one przeprowadzane kolejno po wielolicznych szczeblach biurokratycznej drabiny, stopniowo coraz bardziej oddalane od pierwotnych swoich założeń, aż nareszcie podlegają doraźnemu rozwiązaniu a następnie chronicznej praktyce równającej się zupełnemu wypaczeniu tamtych założeń i samej natury danego zagadnienia. Podobnie działo się i w wypadku niniejszym, gdzie zapiska hr. Milutyna, uwagi ks. Czerkasskiego, deklaracya hr. Tołstoja, skazówki hr. Berga, dyrektywa kuratora Wittego, a wreszcie praktyka A. L. Apuchtina wyobrażały takie właśnie schodzące w dół szczeble tej odwróconej drabiny Jakóbowej. Tak więc już przy urządzeniu Uniwersytetu warszawskiego owe „czysto polskie gałęzie wiedzy," o których mówił nawet ks. Czerkasskij, owe „specjalne katedry polskie," o których mówił jeszcze hr. Tołstoj, zostały zupełnie przeoczone, ulotniły się jakoś bez śladu. Były one przecie bardzo jasno a bardzo skromnie wyszczególnione w projekcie profesorów Szkoły Głównej *sub titulo*: „historya i dogmatyka prawa polskiego," „prawo administracyjne krajowe," „język i literatura polska," „historya polska." Zresztą nawet niezależnie od tej luki kardynalnej, w samym już zakresie dyscyplin, że tak powiemy, neutralnych, urządzenie 1869 r. wykazywało dotkliwie braki, niepoehlebnie świadczące o rozwadze tych jej redaktorów, którym wykończenie tej strony technicznej było powierzone. Dość powiedzieć, — żeby trzymać się, jak dotychczas, w granicach dwóch

tylko wydziałów, — iż przy ustanowieniu rzeczy wykładowych na wydziale prawnym zupełnie zapomniano o takich przedmiotach pierwszorzędnych, jak prawo kanoniczne, prawo handlowe i wekslowe, prawo hipoteczne; na historyczno-filozoficznym — o takich, jak gramatyka porównawcza języków indoeuropejskich, paleografia, archeologia, historia sztuki. A przecie znowu wszystkie te przedmioty były dokładnie wyszczególnione w projekcie profesorów Szkoły Głównej. Rzecz prosta, że ustanowienie uniwersyteckie, które przed trzydziestu kilku laty tak dalece nie było na wysokości swego zadania, obecnie tembardziej pozostało w tyle za postępem czasu i samej nauki, nie mówiąc już o postępie coraz mocniej odzywających się, a zgoła tu nieuwzględnionych, elementarnych potrzeb społeczeństwa miejscowego.

Lecz niedość na tem. Jeśli początki instytucji pozostawiały dosyć do życzenia, dalsze jej rozwinięcie bynajmniej nie wyszło jej, nie mogło wyjść na dobre. Kilkudziesięcioletnia gospodarka, w błędnym z gruntu prowadzona duchu, nie mogła przysporzyć Uniwersytetowi warszawskiemu istotnej powagi i waloru. Zapewne, w tym długim okresie czasu kosztował on państwo sporo pieniędzy. Kiedy przed kilku laty na tem samym miejscu wyrażone zostały niektóre w tej mierze uwagi krytyczne, pośpieszono zaraz z kompetentnej strony uniwersyteckiej odpowiedzieć właśnie wskazaniem na odpowiednie pieniężne nakłady państwowe. Dowiedzieliśmy się wtedy, o czem zresztą nie wąpiliśmy zgoła, od ówczesnego p. o. rektora, G. E. Zengera, późniejszego ministra oświaty a niepospolitego zresztą znawcy humanizmu polskiego, — iż Uniwersytet warszawski obecnie, blisko pół wieku po powstaniu Szkoły Głównej, jest znacznie od niej bogatszy pod względem materyalnym i pod względem urządzeń pomocniczych, jakie ma na swoje usługi. Dowiedzieliśmy się, że b. Szkoła Główna posiadała tylko 24 urządzeń naukowo-pomocniczych, których obecny Uniwersytet liczy aż 38; że gdzie tamta miała w swoim budżecie do rozporządzenia tylko 8590 rubli, — ten ma aż 48700 rubli; że na nowy gmach biblioteczny asygnowano ze skarbu 400 tysięcy, zaś na nowe kliniki 287800 rubli. *) Nie możemy wprawdzie przesądzać, o ile nawet pod tym względem optymistyczny raczej pogląd ówczesnego rektora dałby się pogodzić z całkiem odmienną opinią, wyrażoną ledwo o parę lat przedtem przez równie kompetentnego przedsta-

*) Artykuły G. E. Zengera o „Uniw. warsz.” ogł. w „Warszawskim Dniwniku,” październik 1898.

wiciela Uniwersytetu. „Rozpatrując w szczególności Uniwersytet warszawski — wyrażał się dosłownie b. rektor Kowalewski na powołanej wyżej sesji Rady uniwersyteckiej z d. 12 września 1895 r.,—przekonywamy się, iż prezencja profesorów jest bez porównania mniejszą, niż we wszystkich uniwersytetach Cesarstwa. Urządzenia naukowo-pomocnicze znajdują się w stanie nader nie zadowalającym (*niebłagoustrojennie*) i domagają się najistotniejszej naprawy. Wobec tego dziwić się niepodobna, że rodzice, którym znane jest tak niepożądane (*niezawidnoje*) położenie Uniwersytetu warszawskiego, nie życzą sobie wychowywać w nim swoich dzieci, jako w instytucji nader dalekiej od ideału.“ Ale nie myślimy bynajmniej na podstawie tak pesymistycznego wyznania jednego rektora podawać na tym punkcie w wątpliwość bardziej optymistycznych obliczeń porównawczych następnego rektora, i owszem chętnie gotowiliśmy najzupełniej zawierzyć temu ostatniemu, iż dzisiejszy Uniwersytet warszawski jest dużo, jest nieskończenie bogatszy materialnie od ubogiej Szkoły Głównej. To dobrze: tylko jaki stąd płynie wniosek? Toć w tamtej ubogiej Szkole przed kilkudziesięciu laty frekwencja polska była absolutnie wyższa, była stosunkowo dwakroć z górą wyższa, niż w bogatym Uniwersytecie dzisiejszym. Toć tego niepokojący bilans cywilizacyjny nie może się mierzyć z tamtej cennym i obfitym plonem wychowawczym. Te fakty przed chwilą niezbitnie stwierdziliśmy. Teraz, oświeceni przez niniejszą urzędową informację rektorską, możemy wskazać niesporne tych faktów przyczyny. A mianowicie, teraz mamy stwierdzone urzędownie, że nie mogą one spoczywać w dziedzinie materialnej. Gdybyż przynajmniej było na odwrót, gdyby b. Szkoła Główna była o tyleż zasobniejszą w środki materialne, o ile wyższą była jej siła przyciągająca i jej kulturalna wydajność, tłumaczenie byłoby proste. Aleć właśnie słyszymy, że rzeczy mają się wręcz przeciwnie. Czemuż więc do tamtej skromnej świątyni nauki ciągnęły tłumy młodzieży krajowej, które teraz nie dają się pociągnąć przez tyle obfitsze zasoby dzisiejszej wszechnicy? czemuż tam tak piękne było żniwo na upośledzonej glebie, tutaj na użyźnianej kosztownie taka zasmucająca nieplodność? Skoro zaś przyczyny tego zjawiska nie leżą wcale w dziedzinie materialnej, przeto muszą całkowicie leżeć w dziedzinie duchowej. Inaczej zresztą być wcale nie może. Cyfry budżetowe mogą być miarą pomyslności przedsiębiorstw finansowych; nie mogą być miarą, mogą być tylko jednym z czynników rozwoju wielkiej instytucji wychowawczej i naukowej. Miarę pomyslności i rozwoju takich instytucji stanowi przedewszystkiem

duch w nich panujący. Owóż okazuje się, iż duch, który ożywił b. Szkołę Główną, potrafił — pomimo niedostatku środków materialnych, w nader krótkim czasie, nadto w czasie nadzwyczajnego społecznego przełomu — pomyślnie pokierować jej bytem i działalnością. A zarazem okazuje się z całą oczywistością, jak dalece obrót niepomysłny, jaki wzięły odtąd miejscowe sprawy uniwersyteckie — pomimo obfitości środków materialnych, w pięćkroć dłuższym okresie czasu, nadto w okresie zupełnej ciszy społecznej, — znalazł się w ujemnej zależności od ducha panującego na dzisiejszym Uniwersytecie warszawskim.

Nie naszą zresztą jest rzeczą wdawać się na tem miejscu w szczegółowy rozbiór budżetu uniwersyteckiego, jakkolwiek zarówno w swojej całości jakoteż w pojedynczych pozycjach dochodowych i rozchodowych mógłby on z rozlicznych względów nastroczać niejedną uzasadnioną uwagę krytyczną. Dosięga on ostatnimi czasy poważnej kwoty 700—800 tysięcy rs. rocznie, w czem obok specjalnych wpływów uniwersyteckich przeszło 200 tysięcy rs., mieści się zasiłek rządowy ze skarbu około półmiliona rubli rocznie. Kwota ta ulega nader znacznym wahaniom, niepraktykowanym na podobną miarę na uniwersytetach zachodnich. Dość powiedzieć, że np. ogólna kwota zasiłku rządowego, będąca w rozporządzeniu Uniwersytetu warszawskiego na r. 1901/2 wynosiła blisko 590 tysięcy rs., zaś w r. 1903/4, więc przy zwiększonej frekwencji, wynosiła niespełna 450 tysięcy rs., czyli spadła nagle prawie o jedną trzecią. Zauważyć tu też należy, że opłata od słuchaczy została w r. 1888/9 podniesioną w dwójnasób, i stanowi obecnie część wpływów bardzo poważną, stokilkadziesiąt tysięcy rs. rocznie; przyczem stosunkowo nader ograniczona liczba studentów, około stu, więc niespełna 8%, zwolnioną bywa od opłaty, — kiedy natomiast w takim np. uniwersytecie lwowskim liczba słuchaczy zwolnionych całkowicie od opłat wynosi około 900, czyli 30%, a wraz ze zwolnionymi w połowie od opłat, wynosi prawie 50% ogółu słuchaczy, co wszak niewątpliwie wydaje się być lepiej zgodnem z bezinteresownym charakterem pożądanej dla najszerszych warstw ludności edukacji uniwersyteckiej.¹⁾ Tym sposobem tłumaczy się owo tak dziwne, zgoła nieznanne zagranicą, i wprost

¹⁾ Uchwała Rady Państwa, 1 maja 1888 r. o podniesieniu opłaty studentów na Uniw. warszawskim do rs. 100 rocznie, „Sborn. postan. minist. ośw.,” X, № 679. Zaznaczyć należy, że na uniwersytetach galicyjskich opłata od studentów na rozlicznych fakultetach wynosi od 10—20 zlr. za semestr, t. j. od 15—30 rs. rocznie.

gorszące zjawisko, że w kraju tutejszym samo społeczeństwo w drodze zasiłków dobroczynnych musi troskać się o „wpisy dla niezamożnych studentów,” od których bez względu na ich niezamożność te zdwojone wpisy są bez pardonu ściągane do kasy uniwersyteckiej.

Lwią część etatu uniwersyteckiego, t. j. dwie trzecie (około 300 tysięcy rs. za r. 1903/4 wraz z dodatkami) pochłaniają pensye ciała wykładowego. Pozostawiając narazie na boku interesującą kwestyę, o ile przy tym podziale zostaje istotnie ubezpieczonem w należytym stosunku, na miarę proporcji stosowanej we wszechnicach zagranicznych, uposażenie właściwych instytutów uniwersyteckich, — godzi się zwrócić uwagę, w jakim to właściwie kierunku zwracała się główna z tej strony troskliwość względem uposażenia nietyłe rzeczy, co osób. W zapisce generał-adjutanta Hurki, wniesionej na posiedzeniu Komitetu ministrów 17 marca 1885 r. wyrażoną była z naciskiem konieczność „pociągania“ (*privleczeniija*) na Uniwersytet warszawski profesorów Rosyan „całkowicie dobrze myślących“ (*blagonadiożnych*), albowiem „tylko oni mogą stanowić silny przewodnik zarówno wiedzy, jakoteż kierunku pożądanego w duchu państwowym“: owóz za „najważniejszy,” jedynie skuteczny środek „pociągający“ uznał b. generał-gubernator dalsze podniesienie uposażenia pieniężnego tej kategorii sił wykładowych. Równocześnie b. generał-gubernator z całą stanowczością oświadczał się przeciw zaprowadzeniu na Uniwersytecie tutejszym instytucji prywat-docentur, chociażby nawet w zakresie dopuszczonym przez okrojoną Ustawę uniwersytecką ogólnorosyjską 1884 r., albowiem „na Uniwersytecie warszawskim podobna instytucja została by niechybnie przepełnioną przez osoby pochodzenia polskiego,.. i można twierdzić z absolutną pewnością, że audytorya polskich prywat-docentów i profesorów byłyby zapełnione po brzegi, audytorya zaś profesorów rosyjskich świeciłyby pustkami.“ Wraz ze zwiększeniem prostego pieniężnego wynagrodzenia, żądaniem na podstawie takich argumentów dla rosyjskich profesorów i płatnych docentów (zamiast niebezpiecznych prywat-docentów), żądaniem zostało jednocześnie znaczne pomnożenie środków pieniężnych Inspekcji uniwersyteckiej, nadzorującej sprawowanie się studentów, albowiem „Uniwersytet warszawski odczuwa nadzwyczajną potrzebę (*krajnie nuždajetsia*) szczególnie wzmocnionej Inspekcji.“ ¹⁾ W rzeczy samej, dzięki temu wy-

¹⁾ Wypis z Żurnalu Rady Państwa w Departamencie Ekonomii państwowej, 27 marca 1889; „Sborn. postan. minist. oświaty,” XI (1895), № 120.

mownemu wstawienictwu generał-adjutanta Hurki, które zresztą było tylko dosłownem wyłuszczeniem motywowanych wywodów, wygotowanych w tej sprawie przez Specyjalną Naradę Uniwersytetu warszawskiego, nastąpiło odpowiednie dalsze powiększenie uposażeń miejscowego ciała wykładowego. Należy bowiem zaznaczyć, że te uposażenia już wcześniej były znakomicie podwyższone, a mianowicie prawie podwojone w porównaniu z b. Szkołą Główną: tak więc profesor zwyczajny w Szkole Głównej był pobierał 1600 rs., w Uniwersytecie zaś odtąd — 3000 rs.; nadzwyczajny w pierwszej 1000 rs., w drugim — 2000 rs.; adjunkt i docent w pierwszej 700 rs., w drugim — 1200 rs. Zapewne, że w ten sposób, w połączeniu z przywilejami emerytalnymi oraz ze specyjalnymi ulgami, zwalnającymi od posiadania stopni naukowych niezbędnych gdzieindziej dla objęcia katedry, można było w zwałszem tempie osiągnąć wskazany cel wytyczny „przyciągania“ profesorów rosyjskich *en masse* na Uniwersytet warszawski. Rzecz prosta jednak, że zapomocą środków takiego kalibru było niepodobniestwem osiągnąć innego, wyższego celu, jaki na całym świecie stawiają sobie tego rodzaju zakłady: podniesienia swego rzeczywistego poziomu i autorytetu naukowego; a tem mniej—owego celu najpierwszego, nierozłącznie związanego z tamtym: owocnej służby dla rodzimego swego społeczeństwa. Takie cele pieniędzmi osiągnąć się nie dają. Skromne aż nadto było uposażenie profesorów b. Uniwersytetu Aleksandrowskiego, ale ci profesorowie nazywali się: Joachim Lelwel, Kazimierz Brodziński, Feliks Bentkowski, Ludwik Osiński, Fryderyk Skarbek, Jan Wincenty Bandtkie, Wacław Maciejowski, Romuald Hube. Skromne było aż nadto uposażenie profesorów b. Szkoły Głównej, ale ci profesorowie nazywali się: Dutkiewicz, Wołowski, Chałubiński, Hirschfeld, Girsztowt, Szokalski, Plebański, Holewiński. Mniemamy, że niewyszczególniając nawet imienia obecnych profesorów Uniwersytetu warszawskiego, nie popełnimy względem nich niesprawiedliwości ani nietaktu, jeśli wyrażymy więcej niż uzasadnione przypuszczenie, iż—(abstrahując oczywiście od obiektywnych postępów ogólnej techniki naukowej w minionym odtąd półwiekowym blisko okresie)—o subiektywnem porównaniu reprezentowanego przez nich poziomu wykładowego i zasługi społecznej Uniwersytetu dzisiejszego z uwydatnionym dostatecznie przez powyższe imiona poziomem i zasługą dwóch poprzednich wszechnic polskich nie może absolutnie być mowy.

Takie najniezawodniejsze, pewnikowe przypuszczenie dałoby się zresztą bez wielkiego oczywiście trudu bliżej uzasadnić przez

głębsze wejście w szczegóły dzisiejszej działalności uczącej i uczonej Uniwersytetu warszawskiego w rozlicznych specjalnych gałęziach wiedzy. Lecz ograniczając się bodaj tylko do pobieżnego rzutu oka na dwie wyżej dotknięte dyscypliny naukowe, możnaby już znaleźć dosyć i zanadto tematu do niepokiesających rozmyślań. W tych dwóch dyscyplinach, historyczno-filologicznej i prawnej, sporo jawnych luk, sporo fatalnych przeoczeń i skrzywień programowych w porównaniu z b. Szkołą Główną istniało wszak, jak zaznaczyliśmy, od samego początku, od samego ustanowienia Uniwersytetu. Dość powiedzieć, że na obu tych wydziałach od pierwszego zamachu zniesiono poprostu aż sześć katedr, inne zaś od właściwych im treści czysto polskich oderwano doszczętnie a tem samem zgoła zwichnięto. Owóż, który z tych rażących braków po dzień dzisiejszy dostatecznie wypełniono? z tych dotkliwych zboczeń które podziśdzień należyte naprawiono? Po trzynastu latach istnienia Uniwersytetu, na mocy uzupełniającej ustawy § 14 uchwały Rady państwa z d. 24 stycznia 1882 r. zaprowadzono na wydziale historyczno-filologicznym katedrę „filologii słowiańskiej w zakresie literatury polskiej,“ powierzając ją znakomitemu uczonemu polskiemu, — lecz po to jedynie, aby natychmiast wbrew brzmieniu artykułu Ustawy uniwersyteckiej, wbrew jasnemu znaczeniu uchwały Rady Państwa, wbrew imiennej nominacji monarszej, wbrew stanowczemu zdaniu inicjatora tej sprawy ówczesnego generał-gubernatora hr. Albedyńskiego, a natomiast w myśl życzenia i presyi ówczesnego kuratora A. L. Apuchtina, z aprobaty ministra oświaty hr. Deljanowa, zmienić język wykładowy tej katedry, zmienić osobę wykładającego, zmienić całkowicie rzecz samą i uczynić ją, tę rzecz minimalną, ten drobny okrucz z własnego ongi zastawionego tak bogato a opróżnionego, zabranego stołu, uczynić uciekającym od ust tantalowym przysmakiem, bezwartościową pustą fikcją¹⁾. Albo znowu po dwudziestu czterech latach, rozejrzawszy się nareszcie w krzyżących brakach czysto praktycznych, zawodowych, na wydziale prawnym, na mocy odezwy ministerium oświaty z d. 23 lipca 1893 r. zaprowadzono tymczasowy wykład prawa handlowego i wekslowego, — lecz tego, zdałoby się, dość chyba neutralnego i niewinnego przedmiotu nie decydując się powierzyć w ręce, broń Boże, prawnika polskiego, choć tylko taki mógłby posiadać dostateczną w teorii i praktyce znajomość obowiązującego w Kró-

¹⁾ „Sborn. postan. minist. oświaty,“ VIII (1894), str. 399 i nast.

lestwie Polskiem a zgoła nieznanego w Cesarstwie Kodeksu handlowego francuskiego, załatwiono się w ten sposób, że poprostu narzucono ten wykład dodatkowo profesorowi procedury cywilnej, będącemu zarazem docentem prawa cywilnego, — potrójna kumulacja wykładowa, wprost bezprzykładna i niemal niepodobna do wiary a jednak aż podziśdzień w dalszym ciągu stosowana na wydziale prawnym Uniwersytetu warszawskiego. Tak przedstawiają się dwie najznamienniejsze „reformy“ postępowe, dokonane na obu fakultetach w ciągu lat kilkudziesięciu. Po za tem inne sprawy wykładowe najpierwszej wagi bądź utrzymane zostały w pierwotnym stanie upośledzenia, bądź też z biegiem czasu większemu jeszcze uległy pogorszeniu. Tak stało się z prawem kanonicznem, którego najelementarniejsze bodaj zasady, pierwszorzędnego znaczenia w życiu społeczeństwa katolickiego, nieodzowne chociażby tylko w samej praktyce sądów konsystorskich, lokowane niegdyś z łaski po kątach wykładu encyklopedyi prawa za czasów ś. p. dziekana Kasznicy, potem — wykładu prawa cywilnego prof. Holewińskiego, obecnie zgoła są bezdomne na fakultecie prawnym jedynej wszechnicy Królestwa Polskiego, t. j. kraju z ogromną przewagą ludności rzymsko-katolickiej. Prawo państwowe powszechne i rosyjskie wykładane jest od lat z górami dwudziestu na sposób coraz bardziej niezadowolający, i to nietylko pod względem naukowym, lecz i wychowawczym, bo na sposób coraz bardziej wręcz tendencyjny, przez profesora stawiającego sobie za zadanie swojej działalności profesorskiej systematyczne poniżanie w umysłach swoich słuchaczy i wprost obrzydzanie im nietylko wszelkich najcelniejszych instytucyi i najdosłojniejszych myślicieli prawnopolitycznych „zgniłego Zachodu“ (co *notabene* odbywa się zapomocą bajecznie prostej metody podsuwania tym myślicielom jaknajbardziej płaskich konceptów, obalanych następnie zwycięsko przez najbardziej płaską, czysto formalną i literalną „krytykę“ profesorską), — lecz oraz i przede wszystkim nienawistnej „Teokracji zachodniej,“ t. j. Kościoła rzymsko-katolickiego (co znowu dokonywa się zapomocą tanich wyinków z Drapera albo niemających żadnego związku z wykładanym przedmiotem anegdota o Aleksandrze VI i Borgiach), wieńcząc rzecz całą *comme de rigueur* entuzyastyczną apoteozą wschodnich i bizantyńskich pojęć i urządzeń kulturalnych, religijnych i politycznych.¹⁾ Ekonomię polityczną i statystykę od dłuż-

¹⁾ Rezerwujemy sobie podać osobno do wiadomości publicznej szczegółową analizę naukową tego osobliwego „Kursu prawa państwowego“ na pod-

sze go jeszcze czasu w równie niezadowalającym sposobie wykładu łącznie wspomniany powyżej Główny redaktor Komitetu Statystycznego, nietyle uczonego badacza ile wybitny działacz administracyjny, którego działalność fachowa była swego czasu poddana trafnej a druzgocącej krytyce ze strony najpowołanego rzeczoznawcy polskiego, ś. p. Jana Blocha.¹⁾ Encyklopedia nauk prawnych i politycznych jakiś czas, zwyczajnym na wszechnicy warszawskiej sposobem kumulacyjnym, była zwalona na profesora historii prawodawstw słowiańskich, dostatecznie chyba obciążonego tym własnym swoim przedmiotem, tak rozległym i trudnym do należytego pełnego ujęcia. Wprawdzie przed kilku laty ze strony samych władz uniwersyteckich podjęte zostały pewne zachody celem rzekomego powierzenia katedry encyklopedyi prawa wybitnemu uczonemu polskiemu znanemu z prac swoich specjalnych w tej gałęzi wiedzy, lecz koniec końcem, jak było do przewidzenia, te zachody skończyły się na niczem, t. j. na oddaniu katedry „pełniącemu godność docenta“ początkującemu prawnikowi rosyjskiemu, który nic z daną specjalnością nie miał wspólnego i który też w rzeczy samej po paroletnim wykładzie encyklopedyi nauk prawnych i politycznych, wykładu obecnie na tymże Uniwersytecie warszawskim — historię prawa rosyjskiego. Po nim zresztą rzeczoną katedrę encyklopedyi prawa objął z kolei inny „pełniący godność docenta“ młody prawnik rosyjski; i tuszyć należy, że nie omieszka on zwrócić swoich usiłowań w kierunku corychlejszego obznajmienia się z wykładanym przez siebie przedmiotem. Podobnież i katedra prawa policyjnego po zgonie ś. p. Okolskiego powierzona została „pełniącemu godność docenta“ mło-

stawie litografowanego tekstu, posiadającego wszelkie cechy autentyku, gdyż ukazuje się on pod osobistą redakcją autora, prof. A. L. Bloka. Dla charakterystyki kładziemy stąd taki np. szczegół, jeden z wielu: wyższość moralną prawosławia nad katolicyzmem autor między innymi wywodzi tu nadzwyczaj uczenie z samej nazwy religii „katolickiej“ t. j. „powszechnej“, w czem dopatruje się objawu nietolerancyjnej zabobności, obcej natomiast i nazwie i duchowi skromnego prawosławia: owoż jasnym jest, że ten profesor prawa państwowego nie zna pierwszego rozdziału pierwszego tomu Swoda Zakonow, skąd dowiedziałby się, że w Cesarstwie rosyjskiem panuje „Wiara Prawosławno-Katolicka“, gdyż tak a nieinaczej, jak powszechnie wiadomo, brzmiała zawsze i brzmi nazwa urzędowa tego wyznania.

¹⁾ „Referat rz. r. st. J. G. Blocha o zadaniach i działalności Warszawskiego Komitetu Statystycznego“ (1897).

demu prawnikowi rosyjskiemu, podówczas, ile nam wiadomo, autorowi jednej sprawozdawczej rozprawki metodologicznej i jednego artykułu o nauczaniu domowem. Prawo policyjne w rzeczywistości odpowiada dosłownie całokształtowi prawa administracyjnego; ten przedmiot, sam przez się niezmiernie rozległy i zawiły, nadto w szczególnem zastosowaniu do Królestwa Polskiego — wobec ogromnej ilości obowiązujących tu podziśdzień, najrozmaitszych nawarstwionych z biegiem czasu przepisów sięgających częstokroć doby Księstwa Warszawskiego i dalej jeszcze, — staje się wyjątkowo trudnym do przebrnięcia labiryntem, którego część tylko wyobraża np. siedmdziesiąt wielkich tomów Zbioru przepisów administracyjnych, wydanego staraniem b. Komisji prawnej. Ś. p. Okolski, autor trzytomowego użytecznego „Wykładu prawa administracyjnego“ oraz niezliczonych drobniejszych monografii specjalnych, umiał jeszcze radzić sobie i oryentować się w tym labiryntcie; i tuszyć należy, że młody jego następca nie omieszka zwrócić swoich usiłowań w kierunku corychlejszego obznajmienia się z wykładanym przez siebie przedmiotem. Prawo cywilne, t. j. obowiązujący w Królestwie Kodeks Napoleona wraz z obowiązującym tu polskiem sejmowem prawem osobowem i hypotecznem, od szeregu już lat znajduje się na Uniwersytecie warszawskim w podobnych i gorszych jeszcze opałach. Od czasu ustąpienia z tej katedry znakomitego cywilisty naszego, prof. Holewińskiego, przechodziła już ona przez cztery kolejno ręce i dostała się zrędu „pełniącemu godność docenta“ młodemu prawnikowi rosyjskiemu, który, będąc wtedy autorem jedynej rozprawki o deliktach w prawie rzymskiem drukowanej w „Zapiskach uniwersyteckich“ moskiewskich, musiał dopiero zapoznawać się z elementami jurysprudencji Napoleońskiej i polskiej, i który też po paroletniej działalności wykładowej w obcej dla siebie dziedzinie kodeksowo-sejmowej na Uniwersytecie warszawskim, obecnie, jeśli się nie mylimy, wyklada — socyologię na Politechnice petersburskiej. Po nim tę kapitalną, najpierwszą pod względem znaczenia na całym wydziale prawnym wszechnicy warszawskiej katedrę prawa cywilnego francusko-polskiego objął i piastuje dotychczas inny z kolei „pełniący obowiązki docenta“ młody prawnik rosyjski, obciążony zarazem, jak poprzednio nadmieniliśmy, — (zdumiewająca, powtarzamy z naciskiem, niebywała gdzieindziej kumulacja trzech wielkich katedr, brzemień iście herkulesowe, jakiego nie podjąłby się udźwignąć żaden najznakomitszy uczoney europejski) — potrójnym wykładem procedury cywilnej oraz prawa handlowego i wekslowego; i tuszyć należy, że początkujący docent nie omieszka zwró-

cię swoich usiłowań w kierunku corychlejszego obznajmienia się z wykładanym przez siebie przedmiotem.¹⁾

Ale zatrzymujemy się. Nie będziemy narazie kontynuowali tutaj tych smutnych postrzeżeń, które można by mnożyć bez końca. Nie będziemy ich nawet rozciągali na wydział historyczno-filologiczny, gdzie nastęrczałyby się do nich równie obfity a poniekąd dużo jeszcze opłakańszy materiał krytyczny. Nie będziemy też bliżej oświetlali innych, po za wykładową, dziedzin działalności uniwersyteckiej, gdzie uwydatniała się ona w całkiem pokrewnym, nawskroś ujemnym sposobie i duchu. Nie będziemy badali dorocznych konkursów uniwersyteckich dla młodzieży akademickiej warszawskiej, na które wyznaczane bywają z reguły takie, pulsujące żywotnością dla społeczeństwa naszego tematy konkursowe, jak np. „Historja przykazu aptekarskiego w Rusi Moskiewskiej,“ „Rosyjskie opowiesci i bajki o walkach tatarskich w XIII wieku,“ „Senat Rządzący w XVIII wieku“ i t. p. Nie będziemy rozstrząsali nader charakterystycznej zawartości „Zapisek“ naukowych istniejącego przy Uniwersytecie warszawskim od 1901 r. „Towarzystwa historyi, filologii i prawa,“ gdzie np. spotkać się można z najbardziej tendencyjnymi wywodami dziejowo-politycznymi o sprawach narodowościowych w Galicyi Wschodniej albo z najbardziej zacieklemi napaściami na prawodawstwo francuskie obowiązujące w Królestwie Polskiem. Nie będziemy rozglądali się w działalności naukowej wielu z pośród profesorów warszawskich, która, abstrahując już od innych względów naukowo-krytycznych, co do samej swojej treści w przeważnej części, sądząc z prac przez

¹⁾ Anormalność stosunków wykładowych na wydziale prawnym zaniepokoiła wreszcie samych nawet rozważniejszych profesorów tego Wydziału i skłoniła ich do uchwalenia wniosku z d. 24 marca, ponowionego 21 czerw. 1903 r., o ograniczeniu t. zw. „przedmiotów dodatkowych“ (historji starożytnej i nowożytnej rosyjskiej, języka rosyjskiego i t. d.), do tego stopnia rozwielmożnionych z krzywdą dla głównych, czysto prawnych przedmiotów, że niektóre z tych ostatnich ledwo „w jednej połowie“ mogą być wykładane. Jednak skutkiem opozycyi rektoratu oraz silnego protestu profesorów historyi rosyjskiej, pp. Filiewicza i Cwietajewa, jakoteż defekcyi prawnika, prof. Bloka, wniosek ten, długo z decyzyą odwlekany, ostatecznie przypadł na Radzie uniwersyteckiej większością 22 głosów przeciw 16; por. protokóły posiedzeń Rady Uniwersytetu warszawskiego, 28 marca, 9 maja, 22 czerwea 1903, 27 lut., 12 mar. 1904, „Wiadom. Uniw.,” 1903, VII, str. 21, VIII, str. 37, 53, 1904, V, 14 i nast.

nich drukiem ogłaszanych, nie pozostaje w żadnym absolutnie związku z tym krajem, wśród którego oni uczą i działają, w tych nawet wypadkach, gdzie z samej istoty powierzonej im specjalności taki związek wydawałby się zupełnie naturalnym jeśli nie wprost nieodzownym. Nie będziemy prezentowali urzędowych sprawozdań, publikacji, „Wiadomości“ uniwersyteckich i t. d., których możnaby wertować całe dziesiątki tomów i ani się domyśleć, że pochodzą one z Uniwersytetu „warszawskiego,“ co też bez wyraźnej wzmianki na okładce pozostałoby częstokroć zupełnym sekretem dla każdego, czy to polskiego, rosyjskiego lub zagranicznego uczonego, czy też dla przyszłego historyka kultury Królestwa Polskiego, jeśli po nie przypadkiem zechce sięgnąć. Rezerwujemy sobie w innym czasie i związku do tych i podobnych postrzeżeń powrócić na całej linii, o ile tego okazałaby się potrzeba, a nawet w każdym dotkniętym punkcie jaknajszczegółowiej merytorycznie i dowodowo dalej je rozwinąć, uzupełnić i pogłębić. Zbytecznem byłoby zresztą zastrzegać się, że nie kierują się one bynajmniej przeciw osobom, że zwłaszcza nie zawierają żadnego zgoła stronniczego uprzedzenia ani naogół przeciw poważnej nauce rosyjskiej jako takiej, ani też w szczególności przeciw nielicznym celniejszym i godnym szacunku jej przedstawicielom, którym przypadła w udziale styczność z Uniwersytetem warszawskim: ale kierują się one tem dobitniej przeciw systematowi. A niechaj wolno będzie także zastrzedz nawiasowo, że jeśli w tych rzeczach ośmielamy się otwarcić i stanowczo głos zabierać, czynimy to nie bez pewnej konkretnej podstawy rzeczoznawczej, mając pod swoją pieczę wychowawczą sporo uczniów posiadających naukowe stopnie prawne lub historyczno-filologiczne na Uniwersytecie warszawskim *optima forma* zyskane, sami zresztą takim rozrządzając stopniem a wraz bezpośrednio omawianych stosunków obserwacją i sprawdzianem. Owóż, na podstawie czerpanej stąd czysto rzeczowej dyagnozy, z całą rozważą, z całą oraz świadomością ciężaru takiego orzeczenia, nie wahamy się wręcz oświadczyć: nie przyznajmy przy obecnym stanie rzeczy odpowiednim zaświadczeniom dyplomowym Uniwersytetu warszawskiego, wedle naszego naukowego sumienia nie możemy im przyznać pełnego, wystarczającego waloru wewnętrznego, pełnej, równowartej mocy nostryfikacyjnej, ani we właściwym uczonego, ani też w ściśle zawodowym ich zakresie i znaczeniu. Winę za to ponosi system, który doprowadził, musiał doprowadzić wszechnicę warszawską poprostu do absurdu pod specjalnym już nawet względem fachowo-naukowym. Tembardziej zaś—pod kardynalnym, górującym ponad wszyst-

kiemi innemi, względem społecznym. Ten system w ostatecznych swoich konsekwencyach wykroczył daleko nawet po za własne swoje pierwotne założenia. Wszak jeszcze nawet w obowiązującej dotychczas Ustawie erekcyjnej 1869 r. niema najmniejszego śladu upoważniającego do eliminacji żywiołu polskiego z gremium profesorskiego, niema najmniejszej wzmianki wyłączającej Polaków od obejmowania katedr, lecz przeciwnie, nawet z powołanych komentarzy ks. Czerkasskiego i hr. Tołstoja najjaśniej w świecie wynika, że chodziło conajwyżej o *domieszczę* żywiołu rosyjskiego do miejscowej polskiej korporacji profesorskiej. A jednak z grona 42 profesorów Polaków, jakich liczył Uniwersytet warszawski w pierwszym roku szkolnym 1869/70, dziś pozostali już tylko *rari nantes*, białe kruki — (w znaczeniu dosłownem, gdyż pozostali o tyle tylko, o ile są długowieczni i nie umierają), — zresztą zaś ciało profesorskie uległo doszczętej rusyfikacji. Wszak podobnież w tejże Ustawie niema żadnego śladu wskazującego intencję usuwania sztucznym sposobem żywiołów krajowych z frekwencji akademickiej i zastępowania ich przez zakrajowe, lecz przeciwnie, nawet z powołanych motywów hr. Milutyna najjaśniej w świecie wynika, że chodziło raczej o to, aby młodzież polską możliwie utrzymywać na Uniwersytecie warszawskim. A jednak, jak dowodnie okazaliśmy, dzieje się w rzeczywistości właśnie naodwrot, t. j. tak się dzieje, że liczba tej młodzieży zmniejszona została w cyfrze absolutnej, w porównaniu zaś do wzrostu ludności — zmniejszona w cyfrze stosunkowej o przeszło 200⁰/₀, kiedy natomiast w tym samym stosunku ściągnięte zostały do Warszawy niepolskie żywioły akademickie, niekoniecznie do zestrojenia się z tym krajem podatne. To wszystko zostało dokonane przez prostą, niczem nieskrępowaną praktykę biurokratyczno-administracyjną, wyłamującą się samowolnie w kierunku ścieśniającym i wstecznym nawet z karbów sobie położonych przez najwyraźniejsze własne normy prawodawczo-ustawowe. Tymczasem już te normy same przez się, sformułowane przed laty kilkudziesięciu w całkiem wyjątkowej chwili dziejowej, nie mogą oczywiście pod żadnym względem odpowiadać warunkom i potrzebom dzisiejszym i z nieprzeartej konieczności domagają się wprost przeciwnie wszechstronnego udoskonalenia i gruntownej przemiany w kierunku rozszerzającym i postępowym, w myśl dokonanej odtąd ewolucji dziejowej. Pomiędzy tamtą wsteczną samowolą a tą koniecznością postępową wytworzyła się tym sposobem antynomia zupełna, coraz jaskrawiej występująca w pojęciach zasadniczych, coraz fatalnież w skutkach życiowych dająca się we znaki. Póki ta niezdrowa,

niedopuszczalna dłużej sprzeczność logiczna i faktyczna nie zostanie spełna zniesioną stosownie do najprostszych wymagań słuszności, istoty rzeczy i ducha czasu, póki niebędzie przywróconą przyrodzona harmonia pomiędzy społeczeństwem naszym a najwyższą społeczną instytucją naukową, póty nie będzie mogło być mowy o prawidłowym funkcjonowaniu i rozwoju Uniwersytetu warszawskiego.

SZYMON ASKENAZY.

Listy Zygmunta Krasińskiego do Adama Potockiego.

Dwaj ludzie — obydwaj młodzi, lata starszego nie dobiegły do trzydziestu, młodszy z chłopięcia zaledwie wyrastający, mówią do siebie w tych listach.

Mówią do siebie i mówią o sobie w słowach, które świadczą o przepięknej przyjaźni.

Zygmunt Krasiński pisze do Adama Potockiego.

Zygmunt Krasiński, młody ale już nie młodzieniec, już wielki, genialny umysł, twórca Nieboskiej i Irydiona, mąż myśli i serca, które objęły wiele — przemawia do pełnego szlachetnej woli chłopca.

W oczach tego chłopca wyczytał męską duszę. Do tej duszy całą siłą i gorącością swojej duszy przemawia i serdecznie i mądrze kształtuje. Ku wyższej wszędzie prawdzie porywa i prowadzi, rozpala ku dzielności, rozjaśnia ku pojmowaniu, utrwała ku pracy. Czuć, jak pragnie, jak wierzy, że stwarza dzieło w tej myśli młodej i w tem sercu żywym, dzieło miłości brata, jak wie, że ziarno nie padnie na nieurodzajną ziemię.

Siewcą jest szlachetnym, przyjacielem wielkim miarą umiłowania i miarą myśli.

Nie mamy odpowiedzi Adama Potockiego. Gdybyśmy je mieli, jeszczeby większym czarem ta przyjaźń dla nas opromienioną była. Gdyż musiały być piękne urbkiem młodych pragnień i młodej wiary w życie, tej odważnej szczerości, która zdobywcą jest, święte sobie cele stawia i dąży do czynu.

Tam była myśl, która wyszła na wielkie szlaki, wcześniej dojrzała, ponad granice nawet niezwykłych umysłów wybiegła — tam

było życie poznane i doznane, wiedza i charitas ducha. Tu była wola wcześniej zbudzona, czynić dobrze pożądaną. Poznał tę piękność w młodzieńcu Zygmunt Krasiński i powiedział o nim — że to dziecko jest mężem. Dlatego to chciałby z młodego powiernika unieć wydobyć to, za czem się nieraz własne serce żali.

Dlatego przemawia do niego nie jak ów, który owocu dobrego i złego kosztuje dla rozkoszy, nie jak artysta, który „łzy wyciska i suszy je uśmiechem,” ani jako rozum „patrzący z wysoko na wiry ziemi i nieba” — ale jako człowiek, „który się od miłości Bożej nie oddzielił przepaścią słowa, który ukochał ludzi i wystąpił mężem wśród braci swoich” (Nieboska).

Z doświadczeń i z wątpień własnych pragnie dobyć wszystko, co przetrwało próbę i wszystko co twórczem jest, co życiem niewiedzącym wykwitło. Mówi językiem prawdy, słowem, które służy jednej tylko sztuce — rzeźbie charakteru.

Dlatego w listach tych rozumem jest więcej niż rozumowaniem, dzielnością raczej niż pożądaniami, siłą niż porywem, prostotą świadomą niż szukaniem. Przecież we wszystkim co tak szlachetne i proste miarą — żyje młodość i nie są to rady mędrca i chłodne słowa dojrzałości, która się od pragnień powoli odwraca, ale są słowa dojrzewania przez żywot całej trwałości mającego, idącego mocą niestygłą ducha ku coraz wyższej piękności.

W dzisiejszej dobie, gdy ludzie wcześniej niż kiedykolwiek zwykli głosić: świadom jestem i wiem, a w której trudniej może służyć wiedzy prawdziwie — słowa tak myślą silne, tak sercem dobre, nie są literaturą. Są mową, mówiącą głębszą prawdą duszy, tą prawdą, której często nie słyszymy, której nie często słuchamy.

Młodzieży naszej poświęca te listy wydawca:

ADAM KRASIŃSKI.

I.

Opinogóra, 12 czerwca 1838.

Drogi Adasiu! Dzięki ci za list twój i za przysłanie dwóch drugich — odebrałem je nazajutrz mojego do kraju powrotu — dzięki ci i raz jeszcze dzięki.

Sądząc z słów twoich, widzę, że się męczysz, żądzom daremnym na pastwę oddany. Radą żadną, jedno współczuciem służyć ci mogę — jedno żałować z głębi serca, że przetrawisz napróżno wiele sił, które mógłbyś w innym kierunku użyć, jedno prosić Boga, by odwrócił od ciebie pragnienie tego, czemu stać się nie może zadość; oto masz zdanie rozsądku. Teraz, gdy zapytasz się serca mego, powiem ci, że czuję wszystko, co ty czuć musisz, bo może zdarzyło mi się tak samo, jak tobie, żądać ze wszystkich sił chmur odległych, co miały roztopić się w powietrzu, a nie spocząć na piersiach moich. Wiem, jakie wtedy pustynie wydrążają się w duszy, jaką smętną gorycz zostawia w puściźnie po sobie gwałtowna namiętność; wiem, że miłość do kobiety niejednego zabiła u wstępu do życia, tak, że później już nie innego równie kochać nie mógł. Lecz to losem twoim nie będzie — być nie powinno, pamiętaj o matce twojej. Do niej najświętsze wiążą cię powinności.

Miłość, którąś jej winien, powinna wszystkie inne pochłonać. Jej szczęście twoim najpiękniejszym celem. Jeśli jej nie ujrzysz szczęśliwą, śmieję się z wszystkich darów, którymi niebo cię osypało, śmieję się — bo sam nigdy nie doznasz, co szczęście! Dopókim był z tobą, dopókim codzień mógł spojrzeć ci w oczy i cieszyć się z ognia szlachetności, który w nich pałał, czasami tylko o twoją lękałem się przyszłość. Ileś razy przemówił szczerze — ileś razy ścisnął mnie za rękę, strach mnie opuszczał. Teraz daleki jestem, teraz nie mogę już śledzić co chwila twoich myśli, ni wiedzieć, jakie osoby lub okoliczności cię otoczą, i teraz nieraz myślę o tobie z głębokim smutkiem. Wiesz, wiesz, że cię Kocham i taką miłością, co życzy tobie tego, co najpiękniejszym jest na ziemi: dzielności i cnoty! Masz wszystkie jej zarody, Bóg ci włożył w piersi najdroższy klejnot: szlachetne serce — nie popsuj dzieła Boskiego, nie zapominaj nigdy o tej prawdzie, nie mojej, ale *samej swojej*, że obowiązek jest najwyższą moralną ideą! Wszystko reszta podległe zepsuciu i odczarowaniu. Obowiązek

jeden tylko nosi na sobie cechę wspólną z Bogiem: jest nieodmiennym wszędzie i zawsze, jest wiecznym; przez pojęcie Jego Duchem już dostajesz się do okręgów wyższych, niż nasze ziemskie nędze, ale przez dokonanie Jego sprowadzasz niebo na ziemię, na wzór Chrystusa przymuszasz Boga, by się stał w tobie człowiekiem. W każdej chwili dopełnienia Jego w boską przyoblekasz się naturę, otóż drogi mój, czegoż ci świętszego życzyć może przyjaciel, jak żebyś bosko myślał, czuł i działał? Czyż nie Kocham cię wszelką piersią moją, kiedy przenoszę ducha twego piękność nad marne ciała twego rozkosze, zyski lub korzyści?

Lecz i w duchu twoim mogą być zawady, postawione najwyższemu celowi życia twój — mogą być przestrzenie promienne na wzór zór wschodzących, które zawisną ci nad sercem i unizgać się będą do ciebie i nęcić wszystkie uniesienia twoje ułuda piękności. Niezawodnie te przestrzenie są piękne, rajskie, boskie także, ale tyczą się egoizmu twego. Gdyby nie było innych obok nich, szczerze radziłbym ci, byś rzucił się na ich fale i popłynął w nieskończoność snów i marzeń. Lecz wiesz, że inne czekają na ciebie, powtarzam raz jeszcze, ty wiesz, że masz matkę; poświęć jej ten pożar wrzący w duszy twojej, bo inaczej on zawczasie cię zniszczy, a kiedy matka później zażąda od ciebie pomocy, podpory — ty sam będziesz takiej potrzebował.

Nie mówiłbym ci tego, gdyby skutecznemu twoich żądz jakkolwiek środek można upatrzeć. Owszem, wtedybym pierwszy chciał zaprowadzić cię do ołtarza.

Szczęście takowe potroiłoby twoje siły, ale nieszczęśliwa miłość w popiół je rozwieje lub na złe skieruje — nie dręcz się, nie męcz. Dość mąk czeka na ciebie — pchasz się sztyletem, a nie stanie ci krwi; przyjdzie ją wylewać z ran przez zewnętrzne dłonie zadanych. Usłuchaj głosu mojego, on nigdy cię nie zdradzi — on ci wiernym będzie do końca. Pisz do mnie często, pisz każdą myśl i każdą boleść; choć daleki, będę ja wtenczas przy tobie i czując, co czujesz, będę miał prawo wymagać od ciebie, byś choć na chwilę pomyślał to, co ja myślę.

Daj rękę! ty masz przyjaciela!

Lepsza to może dola niżli mieć kochankę.

Frusia¹⁾ uściskaj odemnie, proś go, by przypominał matce to, co mi przyobiegał. Reytera²⁾ pocziwego równie uściskaj.

1) Stryjeczny brat Adama, Alfred Potocki, późniejszy namiestnik Galicyi.

2) Profesor matematyki, znakomity człowiek.

P. Galetowi ¹⁾ tysiąc ukłonów. Pułkownika ²⁾ dziesięć razy uściśkaj odemnie. Matce twojej złóż moje najgłębsze uszanowania i powiedz jej, że ją proszę o jeszcze jeden pacierz — niech mi go rzuci, jak ubogiemu jałmużnę na drogę życia, — o, potrzeba mi takiej! Cóż porabiacie? Częstoż bijecie się na szpady i na szpadrony, a wtedy wspominacież o mnie? Jeśli przyjmiesz radę moją względem nauk, to prosić cię będę, byś przykładał się szczerze do Historji powszechnej. Wszystka mądrość ludzka zawarta w historji. Wszystkie przeznaczenia rodu ludzkiego odbijają się w niej, jak słoneczna jasność w płynącym potoku. Tam myśl Boga o ludziach i myśl ludzi o Bogu połączone razem. Przeczytaj, proszę cię, Historję Micheleta francuską i rzymską. Przeczytaj kawałki historyczne i literackie Szyllera. Jeśli będziesz miał czas potem, weź także Herdera Idee o filozofii Historji, a świat ogromny roztworzy się przed tobą i może nieco ukołyszże wzburzone fale, spienione podrzuty serca twego.

Pisz zawsze do mnie: à Varsovie; gdziekolwiek będę, list twój mnie takim sposobem dojdzie: Varsovie. Palais Krasiński — F-bourg de Cracovie. Co do mnie, chory jestem — oczy mi się znacznie pogorszyły. Szanuj zdrowie — zdrowie jest to dla ducha to samo, co doskonałe narzędzie muzyczne dla kompozytora. Jeśli struny się rozwiążą, popękają klawisze, kto światu objawi myśl mistrza? Arcydzieło zostanie wśród wiecznej nocy, pogrzebane we wnętrzach niedostępnych i ludziom nie zda się na nic. Teraz bądź mi zdrów, bądź mi spokojniejszy. Kiedy zaś napadną cię burze duszy, siadaj, bierz pióro, posyłaj mi je. Ja je przyjmę jak siostry... o ile zdołam, rozświeciwszy je promieniem lepszej nadziei, tobie odeszlę.

Zygmunt Krasiński.

II.

Warszawa, 1838, 4 lipca.

Drogi Adasiu!

List twój z d. 26 czerwca wczoraj odebrałem. Jesteś ciągle w tym samym stanie umysłu, zresz się i palisz i choć ci to ból

¹⁾ Francuz, guwerner Adama i Alfreda Potockich.

²⁾ Adam Sołtan.

sprawia, ty ten ból lubisz, ty możebyś nie chciał się zgodzić na jego ustanie. Taką jest natura serca bardzo młodego, pełnego sił niestrawionych jeszcze, że pragnie nadewszystko bić gwałtownie, a mniejsza mu o to, czy z roskoszy, czy z cierpienia. Zwykle dziwny popęd czują młodociane dusze do smętku, do obrazów rozpaczy i burz, miotających życiem, bo w takich położeniach zachodzi wielka działalność, nadzwyczajne tarcie. Jednem słowem, ty może bardziej żyć pragniesz, niż ją kochasz — ale inaczej być nie może. Ja taką uwagę zdołam uczynić o tobie. Ty mi jej prawdy nie przyznasz, chyba kiedyś później. Jednak z tych słów nie wnoś mylnie, że ja wątpię o twojej miłości — wcale nie — sądzę tylko, że sam siebie łudzisz. Teraz ją zobaczysz. Cóż z tego będzie? Widok jej zapewne doprowadzi cię do najwyższego szczybla namiętności i cierpienia, a kiedy się ona oddali, zostanie tęsknota, gorsza niż wszystkie uniesienia, niemoc niechcenia, pewien rodzaj lenistwa do wszystkiego, niebezpieczny strasznie dla duszy takiej, jak twoja, która właśnie teraz winna roztworzyć się jak kwiat i zewsząd pożywne soki ściągać do swojego kielicha. Ona ma tędy przejeżdżać, gotowe są dla jej matki pokoje, może ją zobaczę — wtedy ci napiszę mój sąd o niej i czy możesz się czegokolwiek spodziewać — ale nie, ja sam, chcąc byś był spokojniejszy, wpadam w dzieciństwa. Czegóż ty się możesz spodziewać? Kto wie, gdyby dzisiaj jaki anioł cudowny zleciał z niebios i wziął cię za rękę i zaprowadził do kaplicy fantastycznej, gdzieby ona już przed ołtarzem czekała na ciebie, kto wie — jeszcze raz mówię, czybyś się nie cofnął w głębokim przekonaniu, że nie na to roztwiera się życie przed tobą, byś je u samego wstępu zamykał. Zresztą, raz podobno ci mówiłem, że możesz niezmiernie uszlachetnić i na rzeczywiste uczucie zamienić tę zmore, która cię trapi, a to przejęciem się myślą i wolą strzeżenia jej moralnie, opiekowania się moralnie losami jej całego życia, w jakimkolwiek położeniu wprowadzi ją przeznaczenie. Zamień kochankę na siostrę, a będziesz spokojny i nieprzestaniesz kochać. Tylko twoja miłość czystą będzie zupełnie. Jan nigdy siostry nie miał, ale myślę, że piękniejszego stosunku niema na ziemi od tego, co zachodzi między bratem a siostrą. Myślę, że taka miłość jest wyższym ideałem, niż wszystkie inne, do których zwykle mieszają się ułudy zmysłów lub fałszy rozum.

Zaprawdę ci mówię, że będziesz jeszcze kochał, będziesz, o, będziesz — i, kochając, sprawisz nieszczęście tej, którą ukochasz; bo zwykle ludzie podobnego charakteru do twego, miasto szczęścia przynoszą żalobę w progi tej, którą ukochali. Nigdy

nie widział, nie słyszał o namiętnych miłościach, którymby błoga gwiazda świeciła. Jej uskap takowych darów — jej przeznacz to, co masz najlepszego w sobie. Daj jej przyjaźń męską, trwałą, poważną, a tysiąc okoliczności nasunie się w ciągu życia, w których będziesz mógł zostać czemsiś piękniejszem, niż jej kochankiem lub mężem — jej aniołem stróżem.

Mój drogi, pragnę z serca, byś lepszych doznał kolei odemnie. Życzę tobie, byś zachował wszystko, com ja stracił. Dlatego tak usilnie się staram odwrócić twoją duszę od zgubnego kierunku, na którym może ona spotkać się z boskimi chwilami, ale też niezawodnie w końcu z obszarem głuchych ciemności. Chciałbym cię jaknajprędzej ujrzeć mężem (vir), to jest człowiekiem potężnej woli, świętych i rozumnych celów, zdolnym do przetwarzania się w sobie samym na coraz wyższą skalę, przekonanym, iż wszystko na świecie ustąpić powinno idei powinności. Do takiego stanowiska niepodobna może dojść bez walk rozdzierających i długich, bez krwawych doświadczeń. Otóż moim snem o tobie jest, żebyś odrazu osiągnął wysokiej godności człowieka, a nie przechodził przez nędze i troski, któremi ocierniona droga, wiodąca do niej. To snem nazywam, bo to prawie niepodobnem jest nawet do przypuszczenia, ale darujesz mi go, bo to sen przyjaciela.

Proszę cię dostań sobie dzieł następujących i przeczytaj je: *Herdera* Ideen po niemiecku; *Conquête de l'Angleterre par les Normands* par *Thierry*; *Micheleta* wszystkie dzieła, a szczególnie *Histoire de France* i *Histoire Moderne*; *Cours d'Histoire de France* par *Guizot*; *Discours sur l'Histoire Romaine et les barbares* p. *Chateaubriand*; *De la grandeur et décadence des Romains* p. *Montesquieu*; *De la démocratie américaine* par *Tocqueville* — a jeszcze jaśniej stanie przed twoją myślą obraz ogromny przeznaczeń ludzkich, prowadzonych Opatrzności rozumem do dalekiego celu dobra i piękności. Tam się przekonasz, iż wszystko zrazu wydaje się przypadkiem, ślepym trafem, złem, ironią, podłością, lecz z tego chaosu stopniami wydobywa się porządek i świątobliwe przecucie dobrego — wreszcie dojdiesz do tej prawdy, iż wszystko dzieje się Duchem, przez Duch i w Duchu, że materia jest raczej złudzeniem, że złe na tym świecie jest najokropniejszym fałszem i że tylko *dobrze, sprawiedliwe* i *pięknę* jest rzeczywistością, coraz bardziej podrastającą i wzmagającą się. Wtedy padniesz na kolana i podziękujesz Bogu za tę pewność, Jego palcem wyrytą na kartach Historji. Historja jest sumą wszystkich działań Ducha ludzkiego, z której się wykazuje, że to co Bóg

myśli na szczytach niebios, to samo ludzie pomyśleć, pojąć i uskutecznić muszą na ziemskim padole.

Każdy z nas jest obrazem Boga na ziemi. Od lat tysięcy to Pismo Św. wyrzekło, po lat tysiącach to samo z doświadczenia Historii wypada. Biada tylko temu, kto ten obraz psuje lub niszczy w sobie. On przestaje być *Rzeczywistością*, staje się marnym cieniem, staje się *nicością*.

Kiedy dojdiesz do przeświadczenia się gruntownego o tem, co twierdzą tutaj, nabędziesz wewnętrznego pokoju i zewnętrznej powagi. Staraj się więc jaknajrychlej własną myślą przeniknąć te głębie. Bądź mi nurkiem, co rzuca się w morze trudu, by perłę wydobyć. Wiem, że od tej drogi niepodobna, byś tysiąc razy nie odskoczył, nie oboczył, nie zbłądził na stronę — ale przynajmniej pamiętaj, gdzie droga leży, by świat nie został pustynią nieodgadnioną dla ciebie.

Wierz mi, że ci dobrze radzę, a teraz cię ściskam z całego serca. Pisz do mnie, kiedy ci tego potrzeba i ile razy ci tego potrzeba.

Z. K.

Matce twojej najgłębsze moje uszanowania. Frusia ściskam i Galetowi kłaniam. Pułkownika ściskam. Zdrowie moje źle idzie — osobliwie oczy — trudno mi długo pisać lub czytać.

11 lipca.

Do 11 lipca ten list leżał w moim stoliku, bo chciałem ci coś o niej donieść.

Widziałem ją kilka razy i dość długo za każdym razem, a choć nie mówiłem z nią, bo wiesz, że z pannami nigdy nie rozmawiam, przekonany jestem, że musi być bardzo dobra i słodka. Niezaprzeczenie także i piękną jest¹⁾; pełna do tego prostoty i niewymuszoności, czem o całe niebo przeważa nad *boską* Julią²⁾. Jej siostra wydała mi się piękniejszą — najśliczniejszą zaś ze wszystkich jest maleńka³⁾ — oto żona dla ciebie w przyszłości. Zachowaj się dla niej; przeniesz od dorosłej miłość swoją do dziecka, które niezadługo podbieży w górę i stanie na równi z tobą, wte-

¹⁾ Mowa o Elżbiecie Branickiej, późniejszej żonie poety.

²⁾ Julia Potocka, córka Alfreda i Józefy z Czartoryskich Potockich, później księżna Lichtenstein.

³⁾ Katarzyna Branicka, późniejsza żona Adama Potockiego.

dy kiedy będziesz panem wyboru i działania. Jeśli późniejsze rozwinięcie jej wdzięków nie zaćmi, będzie to anioł nie kobieta. Sama Pani, której starałem się dać wysokie o tobie wyobrażenie, mówiła mi, że jedźcie teraz do Karlsbadu, a potem do Toplitz. Wspominała też o Maurycym z wielkimi pochwałami, na co jej tak powiedziałem: „La différence qui existe entre Maurice et Adaś est que Maurice est un homme qui est enfant, et Adaś un enfant qui est homme.“ Ale nie myślę, by moje słowa wiele ważyły u niej. Teraz bądź mi zdrów i napisz do mnie. Jutro wyjeżdżam stąd na wieś — i daj Boże, bym tu nigdy nie wrócił.

Zyg.

III.

1838, 17 sierpnia, Opinogóra.

Drogi Adasiu! W narodach, w ludzkości, jak w człowieku pojedyńczym wiek dzieciństwa i pierwszej młodości jest wyobrażeń wiekiem — ona wtedy góruje i wszystkie sprawy Ducha przyobleka zmysłowości barwami. Symbole — jest to idea w kształt dotkliwy ubrana. Dążność symbolizowania wszystkiego słabieje w miarę postępów ludzkości. Coraz bardziej staramy się odrywać kryjące go zasłony, ale w pierwszych wiekach historyi to, co dzisiaj wydaje się czytającemu prawie dziecinnem i bajecznem, było naturalną bardzo wynikłością stanu rzeczy i umysłu ludzkiego. W pamięci narodowej zachowywało się pasmo rozlicznych bardzo zdarzeń pod postacią jednego bohatera, pod imieniem jednego człowieka. Wszystko, co minęło, a wycisnęło silne wrażenie, z następstwem dni jednych po drugich coraz bardziej tracąc na znamionach swoich ludzkich, coraz błędniej obwijając się w mgły wspomnienia i uroki dawności stawało się Bogiem tym lub owym, mythem lub powieścią pełną fantazyi. Tak samo i w duszy człowieka, nieraz pamięć dziwnie cudownymi farbami maluje chwile, których terażniejszość nie tak boską była. Czemże cały politeizm jeśli nie szeregiem zdarzeń odwiecznych, na ziemi zaszytych, a do nieba przez umysł ludzki wniesionych? Zresztą uważaj, iż ciągle do tego dąży Duch ludzkości, by w sobie samym odkryć coś Boskiego, a to odkrywszy, nową z tego gwiazdę lepi i zatyka na niebieskich stropach. Teraz my starzy, my prozatory, my, dźwigający na naszych barkach sześciu tysięcy lat dzieje,

nazwiemy takie odkrycie, taką siłę nową, imieniem zasady, prawdy, cnoty, piękności etc. etc., ale pierwiastkowi ludzie, wszystko żywiej czując, z naturą wewnętrzną Ducha mniej, a z zewnętrzną ciała lepiej obznajomieni, takie uczucia, myśli, siły, materyalnemi ubierali kształty, na wzór gwiazd rozsypanych po niebie, Bóstwa rozsypywali po przestrzeni: z każdego stulecia, zawierającego w sobie wiele zdarzeń, jedną wielką figurę boską lub bohatyrską wykuwali, bo właśnie to jest rzeczą pierwiastkowej poezyi, by wszystkiemu Indywidualność nadawać i, jeśli tak mogą wyrzec, *człowieczyć* Boga i ród ludzki, pojmować wszystko pod obrazem *pojedynczej istoty*. My przeciwnie — po doświadczeniach wielu postępujem — my indywidualność człowieka poświęcamy Bogu i ludzkości. My *Duch jeden*, wielki, ogólny, wszystko zawierający, a zatem żadnym kształtem niemogący być ograniczony, wyznajem za najwyższą Istotę, za początek i koniec wszystkiego. Jemu na ofiarę bijem kształty świata i nasze własne. Dlatego nam, czasem zupełnie w odwrotnym kierunku postępującym, nie do uwierzenia mogą się wydać pomysły, wiary i sposoby działania starożytności. Tyle na obronę Micheleta. Zresztą przyznam tobie, że nieraz uczeni, a szczególnie Filologi, po nici dochodząc kłębka, dziwnie się gmatwają i na przestarzałych słowach budują ogromne piramidy, które lada wietrzyk rozchwiewać potrafi. Co jest doskonale opisanem w Michelecie — to walka dwóch stronnictw, która historję rzymską bardziej stanowi, niż zewnętrzne podboje, bo jest treścią serca rzymskiego, charakteru rzymskiego ukrytą sprężyną. Dalej z nieporównaną biegłością autor wykazuje, jak się na Rzym obróciły własne jego namiętności, jak Kapitol napełnił się cudzemi Bogi i ludźmi, jak wreszcie Azya i Grecya moralnie podbiły tego, który ich materyalnie był zawojował. Historia Rzymu jest historją świata całego. Z niej wnioski na wszystkie czasy ciągnąć można. W historii katolicyzmu mnóstwo jest rzymskich starożytnych sił — taka sama walka dwóch stronnictw, takie samo zwycięstwo Jednowładztwa, takie same zepsucie nareszcie. Ale zdaje się, że coś nieśmiertelnego Opatrzność wlała w te wzgórzów siedem. Jak tylko padają czyjeś pałace lub świątynie, na nich zaraz drugie równie potężne, cień rzucające na ziemię całą się podnoszą. Niema końca Rzymowi — pójdź po gruzach Jego: ujrzysz Kapitol niepodobny do siebie, zwalany błotem, zniżony nie wiem o piętr wiele, obnażony ze złotego dachu, z marmurowych wschodów — ale zato na drugim końcu miasta Ś-go Piotra kościół stoi! Czytaj więc i odczytuj dzieje tej ogromnej materyalnej i duchowej potęgi, Rzymem zwanej; potem,

gdy je zrozumiesz, reszta dziejów łatwo ci pójdzie. Świat nasz dzisiejszy cały wynikł z chrześcijaństwa, osiadłego na gruzach Rzymu. Rzym Grecyę pochłonał — Duch chrześcijaństwa Rzym zagarnął; przydadź do tego plemiona północne, które przed Krzyżem padły na kolana, a będziesz miał nas samych, dzieci filozofii Greckiej, religii Chrystusa i Kodeksu rzymskiego. Przeczytaj jeszcze, proszę cię, *Montesquieu: Grandeur et décadence de Romains*, wyborne, krótkie dziełko. Przeczytaj także *Tocquevillea Sur l'Amérique*. Nikt od Montesquieu i Tacyta takim stylem związłym i wcinającym się w samą iściznę rzeczy, nie pisał.

Teraz o czem innym. Dzięki ci składałam szczere za twoje dobre i wrzące serce. Nie pisałam do ciebie o moim przyjeździe, bo to było wówczas jeszcze bardzo niepewnem. Teraz pewnem jest, że na zimę z ojcem do Włoch pojedę, ale czy przez Wiedeń przejeżdżać będę, to nie wiem, a choćbym w oktobrzu tam wpadł na tydzień, to i tak cię nie zastanę. Napisz słówko do murgrabiego domu na wszelki przypadek, by wydał mi paczkę, którą zostawił pod opieką twoją, jeśli będę przejeżdżał w nieobecności twojej, a co mi będzie potrzeba, z niej wybrawszy, znów resztę zostawię.

Doskonale pojmuję twoje marzenie przy muzyce Normy. O, mój Boże! ileż ja takich miałem i one może były jedynem szczęściem mojem na ziemi; ale nie folguj im zanadto, bo zapadniesz we wstręt i niesmak od rzeczywistego świata, a gdy raz taki wstręt poweźmiesz, wszelkiego działania władza umorzona w tobie zostanie. Na ten siła i zaność człowieka zależy, by nie mniej umiał myśleć jak wykonywać. Rozkoszy zadość może się stać w marzeniu; enocie, poczciwości, obowiązkw — tylko w pracy i działaniu. Nie powiem, iż to łatwo przychodzi, owszem, utrzymuję, iż nic trudniejszego, ale też i nic wznioślejszego nie masz. Znać, iż nie samo marzenie, iż nie sama myśl jest trybem i przeznaczeniem świata, kiedy Bóg swoje myśli ubrał w rzeczywistość, kiedy stworzył je dotkliwie. Otóż im bardziej człowiek zbliża się do Boga, tem szerzej posiada władzę przerabiania myśli swoich w rzeczywistość, wcielania ich w widomy skutek. Ta harmonia między pomysłem a czynem wielkie dusze i charaktery stanowi — bo uważają, że myśl, choćby najwznioślejsza, dopóki krąży w tobie, jest tylko egoizmem. Dopiero kiedy się udzielasz drugim, lub z niej coś cnotliwego, dobroczynnego lub pięknego utworzysz dla drugich, staje się miłością, udziałem, wspólnością, prawdziwym ruchem i życiem. Marzenie zaś zwykle połączone bywa z lenistwem, podobnem do owej nieruchomości, któraby

człowieka ogarnęła, gdyby ujrzał nagle coś nadzwyczaj pięknego lub usłyszał anielską muzykę — wszak prawda, lękałbyś się ją przerwać? Otóż kto ducha przyzwyczai ciągle do takich dźwięków, kto ciągle lęka się, by się nie rozwiały, ten z oporem będzie szedł, kiedy przyjdzie mu iść, ten nieraz poświęci zewnętrzne dobro drugich tej wewnętrznej, własnej rozkoszy.

Nieba rzadko się dotykaj. Wtedy ono będzie siłą dla ciebie; ale jeśli zechcesz każdą chwilę przerobić na niebo, wcześniej lub później spalisz się na popiół, tak jak Semele ujrawszy Jowisza. Oto jest myt starożytny, pełen znaczenia. To, co mówię, ze szczerego przekonania. Doznałem tego na sobie samym — czarna marzeń otruła mnie boską słodyczą swoją. Bądź szczęśliwszy odemnie. Umiarkowanie pij z niej — a ona zbawi ciebie, nie zabije. A ile razy się jej dotkniesz, niech pośród wywołanych cieni i moja postać stanie przed tobą, postać człowieka, któryby chciał cię obronić od wszelkiego zepsucia i zbytku, który przedewszystkiem pragnie zacności twojej, potem rozumu, wreszcie szczęścia dla ciebie. Szczęście-m na końcu położył, bo na niem nie zależy godność człowieka. Ta zaś może obejść się bez szczęścia w danym razie, a szczęście jeśli bez niej się obchodzi, to zowie się podłością; przenoszę więc cnotę i rozum nad szczęście. Lecz myślę, że kto posiadał pierwsze dwa dary, mniej dba o trzecie. Zdoła on je w sobie samym wyrobić. Jednakowoż niech los sypie na ciebie wszystko, co szczęśliwe, niech cię twój Anioł-stróż broni od pobocznych nawet przykrości. Myśl ciągle, marz czasem, kiedy już bardzo ci smutno, ale nie wpadaj nigdy w owe niepomiarowane żarty i rubasności, które są tylko zwiastunkami przyszłych spleenów, a szkodzą powadze, o której zachowanie nawet w codziennem życiu człowiek zawsze dbać powinien. Nieuwierzysz, od wielu złych ludzi bronić się można, ile niebezpieczeństw uniknąć samą tylko powagą. Powaga — jest to nieprzełamana zbroja moralna, a nieszczęściem, świat często bywa polem walki.

Zygmunt Krasiński.

Odpisz mi jeszcze do Warszawy. Frusiowi i Galetowi kłaniam. Matce twojej, gdy pisać do niej będziesz, złóż najgłębsze moje uszanowanie.

IV.

8 septembra, Opinogóra, 1838.

Drogi Adasiu! Proszę cię, zaklinam cię, nie męcz się o to, że uzewnętrznić myśli swoich nie możesz. Tem lepiej; miasto w słowa, one przejdą w czyny. Kiedyś stał na brzegu parowu i patrzył w górę śnieżną, kiedy jej widok cię natchnął, kiedyś porwał za papier i ołówek, nie byłeś jeszcze poetą, ale nim byłeś, zaprawdę ci mówię, byłeś nim w całej rozciągłości tego słowa, kiedyś kartkę wyrwał z albumu i jak kłębek śniegu puścił w przestrzenie, śnieg do śniegu rzucając, jak niegdyś ów pierwszy Abdank złoto do złota. Rozważ sam, co stało się w tobie; pojąłeś duchem ideał piękności wyżej nad wszystkie ziemskie wyrazy. Zdjęta cię wzniosła pogarda, poświęciłeś spadłe z ust twoich słowa-myśli w twojej duszy żyjącej. Tem samem przyznałeś sobie samemu, głębiom umysłu własnego coś wyższego, coś nieskończonego. Lubię cię i kocham w tej chwili, boś w tej chwili wolny był wszelkiej miłości własnej i przeto prawdziwie wzniosły, poetyczny byłeś. Czyn twój był poezją! nie żałuj więc kilku śmiertelnych, znikomych okresów. Dziękuj Bogu, że ci pozwolił czuć piękność rozlaną w stworzenia. Czy sądzisz, że choć jeden poeta wolny był od uczucia, które tobą powodowało wtedy? Czy myślisz, że w sercu największego poety niema zakątka strutego goryczą, pochodzącą z przeświadczenia, że nigdy pieśń jego żadna niedorównała jego natchnieniom? Spójrz na nich wszystkich — na licu i w dziejach każdego odkryjesz ten brak równowagi między ich myślą, a ich dziełami, między tem, co Bóg w nich zaktnął, a tem, co oni wyrobili z tego, między Ideań a jej wcieleń. Z tej przyczyny robak wieczny zalega im serce. Życie ich całe bywa dysonansem, żądaniem bez miary, któremu nigdy nie staje się zadość, — miłością niewidomej kochanki, o której ukazanie modlą się napróżno. Stąd wczesnie starzeją, stąd niedługo żyją, a dni ich życia pełne troski i cierpień. Stąd jeszcze bywa, że nieraz słabieją w stanowczych chwilach, że zapadają w letarg beczynności, kiedy działać trzeba. Groźni w pieśniach, wśród niebezpieczeństw rzeczywistości pokornymi bywają. Umieć zarazem śpiewać i działać, umieć strunę lutni przemienić na łuku cięciwę, rzadko im się udało. Tyrteusz, Camoens, Milton, a za naszych czasów Byron i Kerner wydołali temu. Wśród tylu innych, oni jedni tylko! O, mój drogi! Wierz mi, większa jest poezyna

w wypełnieniu jednego obowiązku, niż w napisaniu dziesięciu poematów. Cnotliwym być — jestto całą duszę swoją przemienić na poemat. Napisać poemat, jestto tylko część Ducha własnego ubrać znikomie w ładną szatę piękności i cnoty. Ale dojść tysiącem walk i boleści do zwycięstwa nad sobą, ale duszę własną tak wyszlachetnić, żeby ciągle i wszędzie podobną była do pieśni żywej, brzmiącej, akordowej, i czuć, że we własnych piersiach nosimy harmonię niezależną od dzikich wrzasków zewnętrznego świata, czuć, że my sami siebie napisali i na wdzięczne podzieleni spadki i wzniosłemi ubrali kształtami — oto rym dopiero anielski, oto poezya, którą może ziemia odepchnie nieraz, ale która w niebie zapamiętaną będzie! Takiej ci życzę. Nastrajaj się do niej i gotuj, a tanta, zewnętrzna, sama z siebie przyjdzie. Nie staraj się jej sprowadzać i zmuszać w danej chwili, szczególnie w chwili, w której czujesz najwyższe natchnienie namiętności. Ona rzadko wtedy zstępuje. Ona potrzebuje pewnego spokoju ducha a wśród tego spokoju, wspomnienia burzy — pisać się nigdy nie da w uniesieniu. Do pisania trzeba dwóch rzeczy — wpływu, wywartego przez uniesienia i sztuki. Sztuka zaś wymaga pewnej ochłody, pewnej spokojności. Kiedy grzmot na ostatnich kończynach widnokręgu, uchodząc, jeszcze się odzywa, wtedy pisz — ale nie kiedy piorun prostopadle uderza cię w serce! Piękność, natchnienie potęgi i rozkosze Ducha najwyższe, są niebieskim objawem. Pisanie, wyrobienie, układ, rym są mechanizmem ziemskim — a wiesz, że ziemia jest tylko cieniem, jest tylko wspomnieniem niebios!

Gdy ten list odbierzesz, zapewne już będziesz z powrotem. Mam nadzieję, że zdrowie twojej Babki się polepszy, a troski twojej Matki się ukoją tem samem. Bądź łaskaw złóż jej moje najszczerze, najtkliwsze uszanowania. Nieraz przypominam sobie pacierz dany mi przez nią u drogi mojej początku. Bóg widzi, że mnie nie ochronił od wielu smutków, ale niech Bóg jej za niego zapłaci. Słaby jestem i na oczy i na duszy. Nieraz jeżdżąc przez te ogromne pola, równe stepom, przyjdiesz mi na pamięć, twoje uniesienie za stepami mi się przypomina i zdaleka zasyłam ci w milczeniu życzeń tysiące na kształt błogosławieństwa. Niechaj ci lepiej będzie, niż mnie jest. Wstępujesz w życie — możesz, jeśli zechcesz i Bóg ci pomoże, dostąpić najwyższego szczybla ludzkiej godności. Możesz być cnotliwym, wiele dobra rozdać bliźnim, masz żartki rozum, ostry dowcip, wrzące uczucie — pracą możesz te dary niebios wywyższyć i podnieść do genialności. Tylko przyzwyczajaj się do pogardzania rozkoszą i zbytkami, a zawsze bądź gotów do wspaniałości — pamiętaj na

to, że ziemskie dobro jest złudzeniem, dopóki przez nie szczęścia drugich nie zapewnimy. Dopiero ono wtedy staje się naszym dobrem, dopiero wtedy wraca do nas. Póki zaś w rękę naszym, póty jest słowem bez znaczenia i próżnością próżności. Lecz na to, by go użyć święcie i sprawiedliwie, trzeba wielkiego rozumu — bo hojność i szczodrobliwość bez rozgarnienia, bez doskonałego pojęcia w co bić należy i komu i czemu pomagać, jest tylko błyskotką podobną do sztucznych ogni, co wśród nocy udają słońce aż pękną — i nie wiedzieć kędy się podziały. Zachowaj całą czystość młodocianego zapału a uniknij osłabienia, które nieraz następuje po niem. Wyobraźnia twoja niech ci służy za światło do rozjaśniania przedmiotów, a niechaj się nigdy w płomień piekielny nie przemieni. I wierz do tego, że masz przyjaciela. Niech cię Bóg strzeże i prowadzi.

Z. K.

Doskonale opisałeś różnicę, zachodzącą między starożytnymi a nowożytnymi dziejami — przeczytaj *Ruliera Anarchie de Pologne*, pamiętniki *Otwinowskiego* z panowania *Augusta II*, w *Poznaniu* wydane, pamiętniki *Samuela Maszkiewicza* w *Wilnie* 1828 r. a będziesz miał jasne wyobrażenie *Historii Polskiej*, tak trudnej do pojęcia dla braku źródeł i dobrych dzieł. Pisz do *Warszawy* jeszcze, bo jeśli wyjadę, to dopiero w połowie *oktobra*. *Frusia* uściskaj, *Galetowi* kłaniam.

V.

1838, 5 października, Opinogóra.

Drogi *Adasiu!* List twój, taki pocziwy, bo taki młodzieńczy, taką wiarę nieskończoną zawierający, w całej świeżości rozkwitającego serca maczany, pełen prawdy wewnętrznej, odbijającej się w twoich bojaźniach, w twojej ucieczce, w twojem staniu za drzewem, padł mi na serce jak liść róży zabłąkany, przypominającej mi wśród twardej rzeczywistości życia dawne moje dziś już potargane wieńce. I pomyślałem sobie, że twoje siedemnaście lat równie ci na zawadzie stoją, jak wielu innym ich pięćdziesiątni wiek — że młodość, równie jak starość, może przed kimsiś zawrzeć bramy szczęścia, i to czasem na zawsze — pomyślałem sobie, że gdybyś przynajmniej o trzy lata był starszy, tobyś mógł wstąpić w zawód życia pięknie, święcie i zarazem szczęśliwie —

a tak jak się rzeczy mają, może później, kiedyś, by szlachetnie i pięknie żyć, trzeba ci będzie szczęście poświęcić.

Nie myślę ci na nowo prawić kazania nieraz już kazanego z ambony rozsądku. Jakkolwiek to, czego pragniesz, się nie sprawdzi zapewne, jest w tem wielka czystość, wielka prostota, wielka piękność. Miłość taka, a nie inna, może człowieka wyszlachetnić i pogodzić go z ciężkim trudem żywota. Później, przeczuwam, że imnych doznasz — będą może gwałtowne, tak niszczące i popełdliwe, jak zwykle wszystkie jady — ale w nich już nigdy nie spotkasz tych wdzięków, tej boskiej prostoty, wolnej od wszystkich zawikłań sumienia, od wszystkich zbroczeń rozumu, tej, że tak powiem, dziewiczej niewinności, która cechuje terażniejszy stan duszy twojej. Perła wpadnie w morze, nurek choćby skończył za nią, nin ją znów odszuka, wprzód skaleczy i nogi i ręce, wprzód wody słonej się upije, a wróciwszy na powierzchnię ziemi nie zatraci już wrażenia, sprawionego podwodnemi w gorzkich ciemnicach odbytemi walkami. Lecz darmo — takie jest prawo, władające ziemią. Trzeba się wiecznie gotować na wszelkie przykrości i zawody, jakie tylko pojąć może wyobraźnia. Trzeba wiedzieć zawczasu, iż tak najczęściej bywa, że to, coby dziś nas uszczęśliwić mogło, nigdy się prawie nam dzisiaj nie zdarzy — ale przyjdzie do nas kiedyś daleko później, a wtedy już tylko gorycz w nas obudzi, bo suchem okiem patrzeć będziemy na to samo, coby niegdyś wycisnęło nam najśłodsze łzy uniesienia i radości — goryczy jednak tej się poddać byłoby pewnym rodzajem bluźnierstwa, buntem przeciwko porządkowi ogólnemu rzeczy, pochodzącemu z opatrności Boskiej, której myśl przemądra na to świat w taki sposób urządziła, żebyśmy sami siebie wyrobili na potężne Duchy, a nie byli dziećmi, kołysanemi w różnych kolebkach, karmionemi cukrem. Dopiero kiedy kto ze steku przeciwności z tej samej goryczy, o której mówię, wycisnie enotę i dzielność, jako ostatni wniosek, jako najwyższe rozwiązanie wszystkich żądź i ponęt życia, dopiero ten zowie się mężem. Natura Jego jest udzielną, niepodległą. Wolność w nim się wtedy objawia, bo sam zapracował na siebie, sam się wykształcił, sam prawie stworzył siebie! Ale słodkim, rajskim, na zawsze boskim pozostanie widok niewinności tego przedsienia, pełnego snów i kwiatów, co bieleje przed czarną, wysoką katedrą dalszego życia. Dopiero w jej głębi jest ołtarz, na którym leje się codzien krew Pańska. Ty w tej chwili, Adamie, jeszcze nie stoisz w przedsieniu, jeszcze się kołyszysz na skrzydłach, których ci na czas jakiś twój Anioł stróż pożyczył. Ale pamiętaj drogi, byś nie roz-

paczał, kiedy te skrzydła odpadną od ciebie — byś uznał wtedy, że taki los jest konieczny twój, byś pieszo kończył drogę, zaczęła tak lekko, tak ślicznie, tak błogo — powtarzam ci pieszo — i nawet na kolanach zbliżać się musi każdy do przybytku życia, kędy ofiara się odbywa, kędy na wieczną naukę ludzkości Bóg nawet w ciało obleczony, cierpi i kona na krzyżu. Taka jest różnica cnoty od niewinności. Cnota wie o wszystkim, rozumie wszystko, doświadczyła wszystkiego, przeszła przez piekło nawet i zamartwychwstała dnia trzeciego — na głowie niewinności niema ciemiów jeszcze, białe tylko powiewają róże. Tem właśnie, że o niczem nie wie, że niczego z tego się nie spodziewa, anielskiej jest natury, ale jej słodycz, jej dobroć, jej piękność, choć nade wszystko poetycka, jest pewnym gatunkiem niewoli, niewyrobienia, niewiedzy, dlatego właśnie bardziej jest kobiecym pierwiastkiem, niż męskim. Mąż jedynie tylko cnotą może być wielkim. W cnocie albowiem jest ta sama czystość co w niewinności, a prócz tego wiedza wszystkiego, dobrego i złego. Twoja przyszłość — to cnota. Twoje losy rwą się do cnoty. Zatem wiedz o tem zawczasu, by ci się ona niewydawała nieznośnym ciężarem.

Kiedym się dowiedział o śmierci Babki twojej, zaraz sobiem wyobraził głęboki smutek Matki twojej i szczerze wtedy w myśli posłałem jej zdaleka życzenie, żeby syn jej wynadgrodził za wszystkie smutki. Teraz na świecie ty jeden jej zostaniesz.

Za dni kilka jadę do Warszawy i stamtąd z moim Ojcem do Włoch — podobno przez Wiedeń nie będziemy przejeżdżali. Pisz więc do mnie, jeśli zaraz ten list dojdzie do rąk twoich—do Wenecyi, jeśli zaś później go odbierzesz—to do Rzymu, chez *Torlonia* banq. Jeśli z Wiednia pisać będziesz, proszę cię, donieś mi co się z Księżną ¹⁾ i Pułkownikiem ²⁾ dzieje.

Za to, żeś do mnie pisał w takiej godzinie, najczulsze ci dzięki składam i czuję prawdziwą wdzięczność. W chwili, w której list twój odebrałem, z powodu rozmaitych okoliczności, o których kiedyś, kiedyś, kiedyś ci napomknę—bo kiedyś zejdziemy się gdzieś i dużo przeszłości leżeć będzie, jak uspięne morze za nami oboma — w tej chwili, mówię, nad miarę gorzko, nieznośnie, może nawet rozpacznie mi było. Nie uwierzysz jak twój list, jak twoje dobre serce mi pomogło. Ta pewność, że wierzysz mojej przyjaźni i jej ufasz, ta myśl, żeś taki jeszcze młody, świeży, nie-

1) Księżna z Granowskich Lubomirska.

2) Pułkownik Adam Soltan.

skalany w uczuciach, wreszcie ta nadzieja, że kiedyś będzie mąż (vir) z ciebie i że ujrzę w rzeczywistości prawdę tego wszystkiego, co mi zapowiadała dusza twoja, rozlały po moim umyśle błogą spokojność. Adamie, nie bądź może ostatnim ze złudzeń moich, dotrzyмай wszystkich obietnic, które sam Bóg umieścił w tobie, ale których dotrzymanie od ciebie zależy. Kochaj ją, kochaj, ale tak jak gwiazdę zawieszoną nad pracami twemi, nie jak odurzający napój, mający przywieść cię do lenistwa. Tu kończę, serdecznie przyciskając cię do piersi.

Zygmunt.

Złóż uszanowanie moje matce. Frusia uściskaj, Galetowi przypomnij, Reytera uściskaj.

VI.

Warszawa, 20 października, 1838.

Drogi Adasiu! Dziwi mnie bardzo, że piszesz, iż nie miałeś oddawna wiadomości odemnie, kiedy powinieneś był zastać w Łańcucie dwa długie listy, którem do ciebie pisał w odpowiedzi na odebrane z Białoćerkwi. Com przepowiedział i czegom się lękał, stało się — po rozłączeniu się z nią wpadłeś w tęsknotę, w czośó, w nudę. Broń cię Boże od takowego stanu — nic przykrzejszego w terażniejszości, nic bardziej zagrażającego na przyszłość, bo dusza ludzka, osobliwie młodzieńcza, lubi urągać się z własnych sił i jakby na przekorę tym siłom zapadać w letarg, zrazu barwny marzeniami, zrazu melancholijny, łudzający, ponętny, jak dalekiej muzyki przyciszona wrzawa, jak szelest tumanów jesiennych, ale stopniami coraz głuchszy, leniwszy, natrętniejszy, coraz bardziej przygaszający iskry wszelkiego działania, aż wreszcie z pałającego umysłu, z wrącego serca zostanie tylko coś mdłego, chorowitego, nieopisanego, niejasnego, coś nakształt mary błędzącej, cierpiącej w sobie, ale już nawet niechęcej zrzucić tego cierpienia i ciągnącej mglisty byt swój od dnia do dnia na drodze ku nicości. Taką śmiercią Ducha, następującą po gwałtownych wstrząśnieniach, po burzliwych namiętnościach wielu umarło na ziemi. O, proszę cię, nie chciej wstępować w ich ślady — osobliwie prowadzą do takiego końca miłości za krańcami rzeczywistych warunków bytu i trwania, na świecie odbywające się, bo niema w nich celu widocznego, do którego by kochający mógł dążyć pracą, staraniem się, zabiegami — musi więc koniecznie świat

sobie wewnętrzny utworzyć, świat, w którym mu święcie i dobrze, ale który żadnym promieniem swoim nie styka się z wewnętrzną obecnością istniejących rzeczy — coraz zatem bardziej odsuwa się od pola, na którym żyć i pracować mu przystało! Nie gadałbym ci tego tak natrętnie i może, gdybym sam podobnemu nie był popadł losowi. Nigdy sobie dostatecznie nikt nie wystawi, jak okropnie przez miłość niszczała dusza moja, jak zsamotniałem i pozbyłem się sił nieodzownie do życia potrzebnych, jeśli życiem zowie się *trud*, *moc* i *cnota*. A tak kochałem jak ty, w taki sam sposób, na przekór wszelkiej rzeczywistości, bez nadziei osiągnięcia celu, kochałem, że tak powiem, to nad ziemią, to pod ziemią, ale nie na ziemi. Dla twojej nauki, dla dobra twojego powiem szczerą prawdę, do której bym się nie przyznał przed drugim. Zgłupiałem, znikczemiałem w skutku uniesień i ciągłych wstrząśnień duszy, tembardziej męczących, że podobnych do owych cięć szabli, w próżnię powietrza wymierzonych, a drugiej klingi niemogących napotkać, zatem niemających na czem się oprzeć. Strzeż się i porachuj z własnych sił sumieniem, o to zaklinam ciebie. Mimo wszystkie te rady jednak czuję, jakbym był tobą, czego doznałeś i czego doznajesz. To ciągłe wyrwanie się duszy za tą, której niema, a która niedawno była, to ciągłe życie w braku jej, ta przemiana umysłu, serca, wszystkiego co człowieka składa w jedno westchnienie, ten stan zawieszenia między przeszłością a przyszłością, bez żadnej ulgi w terażniejszości, to usiłowanie myśli na jawie i snów w nocy, by koniecznie przeszłość przywrócić, odwołać, stworzyć na nowo, połączona z uczuciem, że ta przeszłość minęła i nie da się nagiąć do woli naszej, jest pewnym gatunkiem walki tajemnej z porządkiem rzeczy, niszczącej, pożerającej, prowadzącej do ostatecznego rozwiązania się duszy. Zaczęła się u ciebie — nie daj jej się dokończyć. Patrz! i Petrarca kochał Laurę i Dante kochał Beatrice — i to przez całe życie — a jednak działali, a jednak nie zatrzymywali się na drodze, nie pochyliли się całkiem ku przeszłości i nie upadli. Owszem, połączyli imię kochanych ze sławą własnego imienia. To dopiero nazywa się miłością, żeby własnym trudem dać komu nieśmiertelne życie. Stawiam ci tych ludzi przed oczy, jako przykład ogromnej pracy, połączonej z najtkliwszem przywiązaniem do kobiety. Można kochać, ale trzeba wiedzieć jak — można połączyć wspomnienie kobiety kochanej z całą przyszłością swoją, można w każdym szczególe nawet życia zachować cząstkę poświęconą jej tak jak starożytni zwykli byli czynić z Bogami swemi, kiedy z każdego kielicha kilka pierwszych kropli, z każ-

dego wieńca kilka listków róży rzucali im na ofiarę. Lecz świat cały zniszczyć dla obrazu jednej istoty, lecz usunąć się od wszelkiego trudu innego, by wolniej i słodziej było marzyć sobie o niej jest słabością, której Boga proszę, by nie dopuścił na ciebie, a która w czasach takich, jak nasze, bardzo często trafić się może. Im zatem bardziej zewnętrzne okoliczności sprzyjają takiemu duszy stanowi, tem bardziej winniem cię ostrzegać o niebezpieczeństwie, a ty mi darować, że może kaleczę ci serce moimi uwagami. Miałbyś prawo oburzenia się na człowieka, któryby cię nie mógł rozumieć i któryby sam nigdy nie cierpiał, jako ty teraz bolejesz, mógłbyś takowego posądzać o suchość wyobraźni i o brak czucia — lecz ja nie należę do rzędu takich ludzi. Serce moje może głębiej od twojego rozdarte, dusza rozpaczniej stęskniona, ale mam za sobą już szereg pewien lat upłynionej młodości, wiem jakie zarody istniały we mnie, gotowe do rozwinięcia się, do wydania później owoców i mogę doskonale ocenić, dlaczego nigdy z nich może już nic nie będzie — wiem, co mnie zabiło, a kiedym się zabijał, gorzałem całym sercem do tego samobójstwa. Zdawało mi się, że zmartwychwstaję! Pokój niechaj będzie przywrócony duszy twojej. Miło mi było czytać na końcu twojego listu zamiar pracowania tej zimy i głębokie przekonanie, że to jedno może ustalić godność człowieka. Ale wielka zachodzi różnica między powzięciem zamiaru a wykonaniem jego. Boję się o ciebie, lękam się, by *nuda*, ten upiór, co ssie duszę, nie stanął na zawadzie wszystkim przedsięwzięciom twoim. Bij się z nim do tchu ostatniego, bo to jest główny nieprzyjaciel twój. Już nawet konstytucya twoja fizyczna, nerwy twoje usposabiają cię do poddania się, a przynajmniej do pobłażania jemu.

Sprowadź sobie Pomysły Herdera o filozofii Historji, przełożone na ojezystą mowę przez kapitana Bychowca w Wilnie 1838 r. Mowę polską dziwnie nagiął tłumacz do przelania w siebie niemieckich barw, a mimo to w żadnym zewnętrznym zwrocie jej nie zdudzoziemczył, owszem czystą, niepokalaną utzymał. Dzieło to, zaczęło przed laty naukę dziś już rozwiniętą i znacznie posuniętą, naukę najwyższą na ziemi, mającą na celu dzieje ducha ludzkiego, a z tych dziejów wynikające poznanie jego przez siebie samego. Wszystkie zewnętrzne, bijące w oczy wypadki, wszystko co stało się i przeszło, wszystko co jest i będzie, służy tylko umysłowi do dochodzenia własnych praw i treści swojej tajemniczej, — nie wypadki, nie zdarzenia, nie fenomena są czemiś, ale to jedno *jest*, skąd one wypłynęły, *czego* one są objawieniem nieustannem — a tem jest *duch ludzkości*. Dzisiaj

koniecznie trzeba dojść do tego stanowiska nauki, by pojąć i nasz stopień oświecenia i poprzedzające, by wiedzieć, w jakim kierunku świat bieży na przyszłość. W istocie wszystko, co się zdarza w czasie, czyli *Historia*, jest tylko zewnętrznym kształtem tego, co *jest w wieczności*, tego, co się nie zdarza, ale co *jest* — ducha jednym słowem. Jak wszystko, co się poczyna, tak i dzieło Herderowe ma w sobie dużo jeszcze zmysłowości, przytem wiele poezyi — ale w niem już, jak w ziarnie, całe bujne późniejszych rozważ i dociekań żniwa zawarte. Gdy je czytać zaczniesz, wkołasz się w nie, pewny jestem. Bądź tylko łaskaw po kilka razy odczytywać kartki, które nie zaraz trafią do przekonania twego, a nim niejedną zrozumiesz i przetrawisz, nie przeskakuj do drugiej.

Za dni kilka wyjeżdżam z ojcem do Włoch — przez Wiedeń nie będziemy jechać. Nie wiem nawet dotąd, czy mój ojciec wstąpi do ziemi wiosny przez Wenecję, czy Genuę. Z drogi cię o tem uwiadomię, byś mi zaraz co się dzieje z tobą napisał. Tymczasem niech cię Opatrzność Boska strzeże i niech rosną w tobie kwiaty, by później owoce z nich dojrzały — pisz zawsze wszystko, co wre lub tęskni lub marzy w tobie. Kiedyś *myśl poważna* powinna to wszystko w harmonię i statek sprządz. Lecz nim to się stanie i ja wraz z tobą potrafię jeszcze i tęsknić i marzyć. Addio! Warszawa 1838, 20 oktobra. Pułkownika uściskaj.

VII.

Wenecja 1838, 18 novembra.

Mój drogi Adasiu! dzięki ci za twoją czułość, za tę chęć podzielenia moich najskrytniejszych i najboleśniejszych uczuć. Wierz mi, że ci za nią całym sercem zawdzięczam. Lecz już wiesz wszystko, co w sobie nosi moja dusza w tym względzie. Wiesz, że m kochał i że m niszczał przez miłość — szczegóły zaś tego już nietylko do mnie, ale i do innych osób należą — wreszcie inne są jeszcze i w dziejach i w losach moich przygody, o których mówić nie mogę, nie będę, bo na to trzebaby więcej lub mniej być niż człowiekiem. Dotykać nawet tego przedmiotu jest już męczarnią dla mnie — przeszedłem, zdaje mi się, przez wielkie moralne nieszczęścia; dzieje moje odbyły się nie zewnątrz, ale wewnątrz mnie i może tem były gorzniejsze. Lecz o sobie nie lubię już teraz mówić — wolę o tobie, bo ty zorzą jesteś, z której

może wejść słońce, a jam podobno już się przechylił i sercem i umysłem na strony nocy—kędy kilka zamglonych gwiazd świeci w niezmiernej oddali, a promienie ich nęcą jeszcze oko, lecz już nie ożywią ciała. Później kiedyś, gdy jak ci już raz pisałem, dużo przeszłości uspionej za nami leżeć będzie, opowiem ci i sny piękne, i twardą rzeczywistość młodości mojej — pióro i papier nie służą w takim razie: trzeba głosem mówić z serca ku sercu. Lecz jeśli prawdziwie mnie szacujesz, jeśli szczerze mnie kochasz, wysłuchaj próśb moich i dbaj o siebie samego, dbaj dniem i nocą, czuwaj nad sobą samym, twórz siebie coraz kształtniej i wznioślej, stań się moralną pięknością. Już dla siebie niczego nie żądam na tym świecie, ale za to nieograniczenie wiele dla tych, których kocham. Jakby starzec jaki, marzenia wszystkie moje na twoją głowę zlewam i pragnę, byś je urzeczywiścił, wiesz zaś, że ich rzeczywistość tylko w *cnocie* i *dzielności* się mieści. Jak gwiazda biegunów niewzruszona stoi na niebie, kiedy inne wszystkie krążą, tak są pewne prawdy, które dla ciebie nigdy nieobalonymi, nigdy nieosłabionymi zostać powinny, o ile tym świętym prawdom ciągiem życia twojego zadosyć uczynisz, o ile dla nich poświęcisz wiele podrzędnych chuci i próżności, o tyle pięknieć będziesz, o tyle *mężem* będziesz na wzór tych, których imię zapisane w dziejach ludzkości — ale nie takowe zapisanie, nie takowa sława nęcić nas winna. Ona jest skutkiem, ale nie przyczyną *cnoty*. W sobie samych mamy lepszą chwałę, niż tę, którą potomność lub współczesność rozdaje. Mamy poczucie się do własnej czystości i do własnej siły. To winno stanowić jedyną nagrodę, której mamy się spodziewać za życia ziemskiego — to nasza potęga i broń niezłomna. Resztę Bogu zostawić. Doznasz, doznasz, że jest rozkosz anielska w przerabianiu siebie samego — i w tem najwyższa w rzeczy samej jest poezya. Siebie stworzyć pięknie, być sobie samemu arcydziełem — czyż to nie najwyższe stanowisko *sztuki*? czyż to nie najdłuższe, najprzystromiejsze natchnienie, jakie piersią ludzką ovladnąć zdoła?

Matka twoja opatrnie z tobą postępuje, kiedy chce, byś w Anglii parę lat przebył. Niema kraju bardziej mądrego politycznie, praktycznego materialnie. W latach najburzliwszych życia taki kraj krew wrzącą może do pewnego pokoju przywieść, myśli rozbijałe do ostrożnej rozwagi. Ale Anglia ma w sobie niebezpieczeństwo, o którym cię ostrzedz winienem, byś nie dał się w jego sidła uławić. Anglia nadewszystko przenosi *materyę*, jest krajem materyi, wyrasta handlem w polityce, analizą w naukach, *wygoda* (comfortable) w pospolitem, domowym życiu. Nie można

pojąć *materyi* pod doskonalszą formą od angielskiej, ale od natury angielskiej daleko do polskiej, a ty, Polak, przeznaczony żyć w Polsce. Na naszych płaszczyznach ni wyobrażenia wolności angielskiej, ni *comfortable*, ni fashionalizm angielski na nic się nie zdały. My przedewszystkiem jesteśmy narodem, mało w materję pograżonym, a niezmiernie dotkliwym na wszystkie poruszenia ducha. Anglomania pozostanie na zawsze u nas pięknem, wysokim, ale zupełnie odosobnionem drzewem, którego kwiatów ni owoców nie zechcą zbierać, który nikomu nawet cienia użyzyć nie będzie mógł, bo nikt się pod jego konary nie schroni. Nasz charakter nie cierpi pychy angielskiej, samotności angielskiej, u nas trzeba być człowiekiem, bratem innych ludzi, u nas trzeba ścisnąć dłoń każdemu i przemówić do każdego—słowem Polska jest żywa i ruchoma na wzór natury ducha, kiedy Anglia jest zimna, ciężka, niewzruszona na wzór natury materyi. Będziesz zaś w Anglii w bardzo młodych leciech, w leciech skłonnych do przejmowania się kształtem zewnątrz przedmiotów. Strzeż się zatem, byś tego nie przejął, co ci się na nic nie przyda później. Patrz na p.... Ale skądinąd odrzuciwszy mody angielskie, ubiór angielski, zaciętość w raz powziętych ideach, grubiaństwo antypoetyczne w każdym Angliku wyraźne i tak dalece cały naród przenikające, że ich największy poeta musiał się prawie Włochem i Grekiem zrobić, odrzuciwszy sposób ich postępowania w naukach, zasadzony na zmysłowości i analizie, nie przypuszczający żadnego widoku wyższego, odrzuciwszy ich filozofię, która jest niemowlęciem w porównaniu z niemiecką — trzeba oddać sprawiedliwość i słusznem powitać uwielbieniem ich statek w domowych stosunkach, ich przezorność (choć rodem z egoizmu) w polityce, ich powagę w urządzaniu siebie samych, ich wynalazki, rzemiosła, słowem ich porządek we wszystkim. Ta idea porządku wielkość Anglii stanowi — ale porządek jest tylko metodą obchodzenia się z czemsiś, a nie treścią rzeczy samej. Tam naucz się metody — a gdzieindziej daleko stamtąd, a blisko siebie, znajdziesz prawdziwe czucie, prawdziwą piękność ducha — znajdziesz tę piękność w własnej ojczyźnie.

Twój.

PRZEMIANY.¹⁾

Powieść współczesna.

XXVII.

Wilię pojedynku Paweł spędził w Naborowie, gdzie pierwsza połowa dnia zeszła na podejmowaniu świadków. Ci panowie, mało mu znani, obaj pełni animuszu, fantazyi, wesołości, swady i werwy, zaczęli od tego, iż dopomnieli się o dobre kawalerskie śniadanie, a widząc zakłopotanie Pawła, który był niedołęznym profanem w tym względzie, sami podyktowali mu menu, wyliczyli rodzaje trunków, wskazali kolej ich następstwa, przywołali lokaja, i szczegółowo rozpowiadali, które wino ma być podane z lodu, które owinięte w serwetę, jakie mają być przekąski do wódki (ciepłe grzanki z razowego chleba ze szpikiem) i t. d. potem zasiedli do stołu, jedli, ganili, chwalili, dawali cenne wskazówki, gadali o dobrych kucharzach i restauracyach, o piwnicach zasobnych i zaniedbanych, jakie gdzie były w okolicy, pili dużo (niezłe wino francuskie znalazło się przypadkiem, przysłane przez Kamienieckich) i wciąż dolewali Pawłowi. Korki pukały (szampan był także). Dopiero przed samym wyjazdem zaszła mowa o pojedynku, od niechcienia, jak gdyby o rzeczy, całkiem drugorzędnej.

¹⁾ Patrz zeszyt sierpniowy, str. 213; — wrześniowy, str. 449; — październikowy, str. 32; — listopadowy, str. 244; — grudniowy, str. 417; — styczniowy, str. 26; — lutowy, str. 225; — marcowy str. 442; — kwietniowy str. 27.

Wszystko już było przygotowane, obmyślane i ogadane: teren, godzina spotkania, rodzaj broni (pistolety).

— Naturalnie, nie próbowaliśmy nawet paktować... tylko krew, tylko mordercza rozprawa... usunęliśmy zupełnie możliwość ugodliwego rozwiązania — powtarzali panowie — wszakże nie byłbyś przystał? (przy winie zawiązała się braterska przyjaźń).

— Naturalnie — potwierdzał Paweł.

— Bo takiego śmiałka należy nauczyć, żeby popamiętał, żeby się nie odważył drugi raz w porządnem towarzystwie...

— Ależ tak... — zgadzał się Paweł, któremu po śniadaniu błyszcząły oczy.

— Ty działasz w swoim imieniu i Kamienieckiego imieniu, więc tembardziej...

— Ależ tak...

— A tego też umiesz strzelać? — pytali panowie — możebyś wprawił się trochę?... pistolety są, urządzimy cel.

— Dziękuję... ja nie bardzo... ja nigdy... — wybąkał Paweł.

— Furda, bagatela... aux innocents... jakże tam... przysłówie furda...

Poczem panowie, obaj mocno czerwoni od wina z lodu i bez lodu, odjechali gdzieś o milę na noc... Uściskając, gniotąc Pawła w objęciach, dodawali mu animuszu, i powtarzali po dzieś sięć razy godzinę oraz miejsce spotkania. Paweł w tej chwili kochał ich, jak braci.

Gdy został sam, znowu jak w Kamieńczycach przy boku Agi zapomniał o pojedynku, o interesach, o procesach z chłopami i czworakach.

— Energicznie, panie! — mówił do rządcy, który zjawił się i trochę dziwnie poglądał na pryncypała — energicznie, stanowczo, odważnie, niezłomnie... Energicznie... Trzeba być śmiałym, mężnym i silnym... Ja zwyciężę chłopów, ja ugnę ich, upokorzę... pan się przekona! Energicznie, panie... proces już wygrany... teraz energicznie... ani piędzi łąki, ani miedzy, ani suchej gałązki z lasu... Stać twardo — wołał — tu teraz nowe pójdą porządki, nowe pójdą czasy... energicznie... Ja jestem dziedzic i pan... dziś surowy pan, nieubłagany — jutro może dobry... Jestem zaręczony, panie Skiwski, żenię się panie Skiwski — rzekł nagle — niech pan to powie wszystkim.

— Proszę przyjmując życzenia i powinszowania ukłonił się pan rządcą i wymknął się pod jakimś pretekstem. Wówczas Paweł jął spacerować po pokojach pustego Naborowskiego domu.

— Tu będzie salon — roił rozglądając się świecącym sztucznie wzrokiem — tu jadalny, tu jej pokój, tu nasz sypialny... tu mój

gabinet... tu będzie przychodziła, usiądzie cicho pod oknem, spojrzy na mnie, pogrążonego w pracy od czasu do czasu... tu będziemy głośno czytali... dziennik mój, ażeby poznała mnie aż do głębi, żeby mogła pokochać mnie od dzieciństwa, w każdej chwili przeszłości... tu będzie się snuła, po tych pokojach uśmiechnięta, droga...

Gdybyż była tu, już teraz, w tym momencie, jego własna, jedyna, ukochana! gdybyż już oddychały tem powietrzem jej drogie piersi i powietrze pachniało wonią jej oddechu! gdybyż już świeciły tu, patrzyły, uśmiechały się, żyły swoim cudnem, tajemniczem, jedynem życiem jej oczy cudne, jedyne...

Gdybyż była tu — roił spoglądając na jakiś fotel, — oddana mu na wieki, oddana mu na posiadanie, na szczęście... tuliłby do warg jej drobne stopy, całowałby jej ręce, słuchałby szelestu jej sukni... Gdybyż!

Tu zjedzą się na ranne śniadanie, tu ona, zgadując jego myśli, będzie mu sama podawała filiżankę, tu owinie ją w ciepły płaszcz, żeby nie przeziębło to drogie życie, i pójdą razem patrzeć na uroczystą pracę pól i na polach... I będzie jej mówił to wszystko, czego nie miał komu mówić przez lata, przez długie lata...

Roil rozkosznie i duże, napoły puste, zaniedbane pokoje Naborowskie były mu teraz gdyby przybytek błogosławiony, przybytek przedziwny, wyśniony w marzeniach serca, upragniony w tęsknicy... Ani śladu tamtych, niedawnych jeszcze, ponurych dumań o znikomości i śmierci... Jest szczęście i życie nieskończone, szczęście na wieki i życie, póki szczęście... przed tem szczęściem nie było życia, nie było nic...

Rzęsisty deszcz szumiał na dworze, szeleścił na dachu, i bił w szyby, chwiały się tam na dworze luczące drzewa, grzmiało i co jakąś chwilę łoskotał groźny piorun — Paweł, pogrążony w swoim błogim myśleniu, nie widział i nie słyszał. Usiadł gdzieś na przeciągu, rzeźwił rozżarzoną głowę, wystawiał rękę pod ciepłe, lęczące krople, które ściekały z dachu. Uderzenia gromu, nie przejmowały go strachem. Alboż mógł piorun runąć w niego?!... Mocny jest, niepożyty...

Potem wydostał z szuflady odczyt, którego końcowe rozdziały pisał przed paru tygodniami w zniechęceniu, bez wiary w siebie, już tylko z musu, przez obowiązek. Odczytał teraz na nowo, wszystko od początku. Szybko przebiegał oczami znane stronicy, znane, długie, wypracowane, spocone okresy — i w miarę czytania, ogarniał go coraz to większy zachwyt. Napębiał to wszystko treścią, która przelewała mu się pod czaszką, czytał nie tyle zdania napisane, ile własne, nowe myśli, wstawiał wyrazy dziwnie

trafne, kładł silne akcenty. Nie spostrzegając tego, czytał już na głos, jak gdyby przed pełną salą, na posiedzeniu—głos jego grzmiał. Przekonywał, karmił, kazał...

Któż oprze się mocy jego dowodów, kto nie uzna jego słuszności, nie uzna w nim zwiastuna i wodza!

Przyjechał z daleka, nieznany—i oto przy pierwszym wystąpieniu zawojował słuchaczy, podbił społeczeństwo... pójdą za nim... Otworzył im oczy, zagrzeje do pracy, do obowiązku, pełnie wszystkich na nowe tory...

Zastał—roił ciągle—nędzę wsi, ciemnotę chłopów, przewrotowe prądy (w wyobraźni), przybył w chwili przełomowej, —i dokonał odrodzenia... Bogactwo, oświata, bratnie przymierze między wsią a dworem, kraj dźwiga się, ziemianie na posterunku pełnią pilnie posłaniecstwo, niema analfabetów, pijaków, złodziei i krnąbrnych buntowników, niema antagonizmu, nienawiści klasowej, kwestyi społecznej...

Lew Mierzejewski zszedł ze stanowiska, spełniwszy swoje zadanie, on go zastąpi... Lew Mierzejewski był przedstawicielem jednej epoki, on jest zwiastunem nowej... Lew Mierzejewski zrzeczył, zgromadził, wzmocnił, podtrzymał ziemiaństwo, on przy pomocy ziemiaństwa podniesie wieś. Lew Mierzejewski—szlachcic, po szlachecku, dla szlachty, człowiek staroświecki, on — otarty o Zachód, wykarmiony postępem i nauką Zachodu zwróci usiłowania w kierunku wszechstanowym, demokratycznym. Roił...

Gdy minęła burza i nawalnica, poszedł pod prastare drzewa zapuszczonego parku i snując się tam po zarośniętych ścieżkach—wciąż roił... Marzył o przyszłych pracach i chwałach, o pannie Adze, o tantej podróży w księżycową noc w karecie, o gorących ustach, które całowały go po twarzy krótkimi, prostymi, dziecięcimi pocałunkami — bez sromu, o pierwszym spotkaniu, o tych uśmiechach, które słała mu, ile razy patrzył na nią, o dniach, gdy będą razem — pod temi drzewami... Potem z marzeń ulotniła się wszelka treść i były bezprzedmiotowe, nieuchwytnie, bez kształtu i nazwy, tylko wonne, tylko świetlane, niby obłok miesięczny, niby samo światło miesięczne, sama jasność słoneczna...

Dokoła była cisza, ciepła, parna i wilgotna, po burzy, a zapewne przed nową burzą, mocne zapachy, szmer wolno ściekających z gałęzi kropel. Jednolita powłoka chmur zasnuła niebiosa; żaden powiew nie trzącał drzew, nie poruszył wysokiej, mokrej trawy; słodkie ukojenie objęło świat, cicho szemrały krople, płynęły ciepłe wonie, woń kwiatów, trawy, deszczu, woń mokrej ziemi, dygotały opary nad niższą częścią ogrodu.

Miękko, niby po aksamicie, stapały nogi Pawła po błotnistej ścieżce; chodził i przystawał, oddychał pełną piersią; z liści bzu kapały mu krople na czoło, na włosy; było to niby muśnięcie pocałunku. Pograżył się całą duszą w wonnej ciszy ziemi. Był jak jedno z tych nieruchomych drzew, które dotyka niebios, lśni mokrem listowiem, duma o rzeczach przedwiecznych, był jak pasmo oparu wiejące po nad łąką, miękkie, lekkie, które teraz jest a zaraz zniknie, był jak źdźbło trawy, szczęśliwe całym jestwem, chciwe istnienia, czujące rozkosz rośnięcia, jak gałąź przytulii uśmiechniętej tysiącem drobnych, nieśmiałych, operlonych kwiatów... Nie znał jeszcze takiego stanu... W jakimś momencie przypomniał mu się jutrzejszy pojedynek, ale zaledwie zatrzymał na nim uwagę.

Nie miał nawet zupełnej pewności, czy ta rozprawa grozi mu na prawdę. Może to już było, może nie będzie nigdy, może czytał gdzieś o tem... A jeżeli to nawet jest prawdą? Żadna kula go nie dosięże, żaden cios. Turowski, biedny Turowski, on go zastrzeli, jeśli zechce...

Paweł przyniósł wszakże strzelbę, przybił do pnia lipowego jakąś fotografię (asa nie znalazł, jak mu radzili świadkowie) wziął broń do ręki, celował długo w samą twarz, jak gdyby był mistrzem nie lada, strzelił. Kula przebiła środek fotografii.. Wystrzeliła znowu i znowu trafił... Przynosił coraz to inne fotografie, wciąż strzelał i wciąż trafiał..

Nie dziwiło go to bynajmniej. Trzymał broń może drugi lub trzeci raz w życiu, dawniej nie udałooby mu się wpakować kuli chociażby w pień drzewa—dziś nie mogło być inaczej...

W tem usposobieniu, wystrzelawszy wszystkie naboje, (ostatnie strzały były coraz gorsze) udał się na spoczynek. Lokaj miał go nazajutrz zbudzić o świcie. Spał mocno, jednym twardym snem i nie od razu pojął, czego służący chce od niego, i poco on ma tak wczesnie wstawać. Odziewał się leniwie i sennie, leniwie i sennie wgramolił się na kulbakę, przecierał sobie oczy, poziewał... Gdy wjeżdżał w bramę, zwrócił wzrok za siebie, objął spojrzeniem dom, ruinę pałacu, dachy zabudowań, kępy drzew, jeszcze bezbarwne, znurzane w ciemnym płynie mroku. Z kilku kominów wzbijał się dym prosto, wysoko i tam w górze dopiero roztałcał zwiewne, puszyste kłęby... Ten obraz został mu w pamięci, niby jaki krótki opis epiczny, zapamiętany obiektywnie, bez okraszy uczucia, bez dodatku jakiegokolwiek pomyślenia. Jechał dalej. Stary kary wałach biegł niechętnie mimo ostrogi, którą trącał go co parę stajań. Cichy wietrzyk poranny szumił w zaroślach przy-

drożnych, obfita rosa leżała na murawach: daleko, na krańcach świata rumieniły się zorze... Był rzeźwy chłód.

Naraz Paweł doznał nieprzewycięzonego wstrętu do jazdy, do jazdy w taki zimny, wczesny poranek; uczyniło mu się poprostu źle fizycznie. Chwycił go dreszcz raz i drugi, dreszcz chłodu i drzenie od pewnej myśli, nie wyjawionej jeszcze, nie wyznanej sobie samemu, mimo to zupełnie jasnej i wyraźnej... Usiłował przypomnieć sobie, odnowić w sobie wczorajszą odwagę, próbował wciągnąć na siebie nieprzemakalny płaszcz animuszu — na próżno... Brzydki, plugawy współświadomy strach siedział za nim na siodle i gładził go chłodną dłonią po grzbiecie, po pacierzowym kręgu... I bez rozumowania, nawet na przekór rozumowaniu, Paweł przejął się tym pewnikiem, iż jedzie na śmierć niechybną. O dziesięć wiorst, o dziewięć, o siedem jest ta polanka, na której stanie na wprost wymierzonego pistoletu, na której runie trafiony kulą... Widział to jedno tylko: tę polanę wśród lasu, zboczoną jego krwią, miał tę jedną tylko myśl, myśl — pewnik, że zginie. I trząsał się na kulbace i szczękały mu zęby—może z zimna...

Pozornie przyglądał się zagonom, krzywym pniom rosochatych drzew, połyskowi rosy na łące, pozornie był zajęty koniem, którego bódł ostrogą, trzepał ręką po szyi — pozornie, gdyż cała jego istota pełna była jednego: tchórzowskiego, obmierzłego strachu. Nie miał żadnego uczucia, nie żałował życia, młodości, rozpoczętych prac, nie pamiętał o Adze, o szczęściu, które go czekało, nie wzdrygał się na myśl o nicości—bał się tylko. Bał się pistoletu, kuli i tej chwili, gdy chrzęśnie kurek...

Oto jedzie w żakiecie, w czarnym, eleganckim kapeluszu, w lakierowanych butach z ostrogami, z własnej ochoty, z własnej woli—i popędza nawet konia — dokąd? ażeby stanąć i czekać, aż kłaśnie cyngiel i padnie strzał w niego... Tarzałby się ze wściekłości na samego siebie, że był głupi, że przystał, że sam nawet zapragnął... Przecież on sam to wszystko wygotował dla siebie — tę uciechę, tę satysfakcję... Kąsałby sobie palce i tarzałby się w piasku!

Ale ten gniew minął wnet. Znowu jechał spokojnie, rozglądając się dokoła, zajęty koniem, obojętny, zmartwiały wewnętrznie. Przenikał go tylko coraz niecznośniejszy chłód, coraz bardziej męczyła go jazda... Zeskoczył z kulbaki i szedł, prowadząc wachacha za uzdę... Oto już tylko jedna wiorsta... Tam daleko, na krańcach świata rumienią się zorze, granatowe, nocne obłoki czerwienią się, stają się krwawe... Och, krew... — z odrazą odwrócił wzrok... Oto już lasek, kres... Turowski, który także przybył za-

wcześnie... Nie odpowiada na jego ukłon, uwiązał konia do mocnego konaru i skrył się w gęstwinie...

Paweł, nie wiedząc, co czynić począł przechadzać się z koniem po zroszonej polance. Brzęczały jego ostrogi, których używał bez potrzeby, będąc złym jeźdźcem.

Ten odgłos niewymownie złościł Marcina. Leżał na wznak na zwilżonym chłodną rosą kobiercu mchu i patrzył po przez zielone igliwie w jasne, ale blade, zgaszone jeszcze niebiosy. Podmuch poranny muskał jutrznianą ciszę, która napępiała świat, niby wody jeziora, gładkie i świetlane. Jak gwar przezyczystego źródła płynęła gawęda ptastwa, jak słodka spowiedź dziecięcego serca szemrał w wierzchołkach szum. Brzęczały ostrogi Pawła... Marcin Turowski zżymał się gniewnie. Ślizgał się wzrokiem po smukłych, gładkich, rdzawych pniach chwojowych i pograżał się zwolna, niby w cichą toń, w stan duszy, błogi bez końca...

Za dawnych, dawnych dziecinnych lat działo się z nim podobnie. Odtajały z serca grube, gorzkie, twarde warstwy, przyrosty coroczne, zostało jądro—istność sama, o której nie wiedział, nie myślał, iż może być taką...

Przyjechał na plac, pełny zjadliwego szyderstwa, nienawiści gorzkiej, jak żółć, i okrutnej, krwiożerczej uciechy. I ze smakowitą rozkoszą widział powalonego na ziemię Pawła Naborowskiego. A teraz?... Nie tknęły i palcem tego biednego człowieka, który pokazał mu taką zmienioną ze strachu, taką bezsilną twarz... Głupi jest, burżuj uroczysty, faryzeusz — ale w czymże on mu zawinił? Niechby żył, i niechby się cieszył narzeczoną...

Nie chciało mu się wstawać, ale chętnie dosiadłby konia i umknął do domu... Bór szemrze... W ciszę biją, jak wodotryski źródlane, głosy ptaków, wśród niebios płonie obłok, niby dziewicza radosna twarz, i tam kędyś daleko czerwieni się krwawe wzgórze zorzy... Brzęczą ostrogi Pawła Naborowskiego... Biedny człowiek, pasuje się ze strachem!.. Nie stanie mu się nic złego... Będzie żył... Jakiż zapewne trapi go niepokój!.. Ta dziwna i niewytłómaczona chęć życia! On sam przez tych dni kilka doświadczał niespodzianych dreszczów na widok ulubionego konia, książki doczytanej do połowy, szafy pełnej ubrania i bielizny. I mówił sobie z żalem i z obawą, iż książki niedoczyta, iż bieliznę matka sprzeda żydowi, że wałacha zabiorą... I pragnął zostać, żeby doczytać książkę, galopować na koniu, co sobotę wdziewać czystą bieliznę, która pachnie pralnią... chociażby dlatego tylko... A tyle wyrzekał przedtem, tak gniotła go więzienna nuda żywota!.. Niepojęta tajemnica! A może ta żądza życia, ten głód istnie-

nia — to jedyna osnowa, jedyna siła, jedyna myśl świata? Ona z mgławic tworzy gwiazdy, ona z mrocznego łona ziemi... ona drobne nasionko... ona każde stworzenie...

Drzewo, które szumi nad nim, uboga trawa, która wyrasta u odzienia z suchej gleby, mrówki, które snują pracowicie, radosne ptaki, zbiedzony Paweł Naborowski — to wszystko pojawia tej samej wiekuiestej siły, siły — żądzy, siły — macierzy, dzieci tej samej prastarej, nieśmiertelnej rodzicielki, dzieci szczęsne, wesole i piękne, w których, przez które trwa byt... Życie — oto jest rzecz sama w sobie, substancya, święte bóstwo... Atomy nikną i rodzą się — strumień życia płynie, wiecznie młody i piękny... Cóż jest po za życiem?

Pochmurne sosny o rdzawych pniach, dzieciół, który wali dziobem w suchy sęk, jastrząb, tam wysoko nieruchomy na rozpostartych skrzydłach, wątły, kwaśny w smaku szczawik zajęczy, który puszcza się na zacienionym zbocz, Paweł Naborowski, po-brzękujący ostrogami, on sam, Marcin Turowski — istnieją — i to całe ich zadanie i powołanie: żyć — istnieć radośnie, cieszyć się, miłować istnienie własne, miłować życie, wszelkie życie.

Marcinowi zdawało się, iż odczytuje wyrazy świętej prawdy, iż po raz pierwszy spojrział aż do samego dna otchłani wszech-rzeczy, aż do dna, na którym duma, z którego patrzy mądrym, nieruchomem, bezsennem okiem wiedza...

Więc tak jak ogrodnik, który czuwa, pielęgnuje, troszczy się, poi i karmi rośliny, tak człowiek ma być dla człowieka, tak człowiek ma być dla wszystkiego, co żyje...

Myślał... I sprawiało mu bolesną przykrość, iż ciężarem — swoim ugniata trawy i mchy, iż może niebacznie rozdeptał mrówkę...

Za dawnych, dawnych zapomnianych lat działo się z nim podobnie...

A już szukali go po lesie sekundanci.

Dźwignął się ociężale, wyprostował swoją olbrzymią postać i ruszył za nimi. Stefana uderzyło dziwne jaśnienie Marcinowe-go oblicza.

Paweł wciąż jeszcze przechadzał się, brzęcząc ostrogami, po słodkiej murawie polany. Panowie świadkowie rozpoczęli jakąś uroczystą tradycyjną przemowę. Wspominali coś o zgodzie, zwracali się do niego, do Marcina, dyktując jakieś warunki... Ależ dobrze... przystanie na wszystko... ustąpi... przeprosi...

Już zamierzał przerwać to niepotrzebne gadulstwo, podejść do Pawła, uściśnąć go... Na szerokim, kosmatym liścieu jakiejś trawy lśni kropla rosy, istny dyament... wyczuwa całym sercem roz-

koszny, rzeźwiący chłód tej kropli i radość orzeźwionej rośliny... biedny Paweł!.. tak dziecinnie, bezradnie splata, ściska, łamie sobie ręce...

Ale świadkowie, faceci o pełnych, rumianych, sytych, zadowolonych obliczach — ich doskonale wygolone podbródki lśniły — popatrzeni na niego przez chwilę z ironią, z wysoka — powieki opadły do połowy na głupie ich oczy — i jęli przemawiać do Pawła. (Stefan, jedyny sekundant Turowskiego, który nie miał ani doświadczenia, ani wiadomości w tych rzeczach, milczał bez przerwy).

W sercu Marcina pociemniało.

Paweł przestępował z nogi na nogę i patrzył w ziemię. Jak uczeń na egzaminie ściskał sobie dłonie.

W pewnej chwili otworzył usta, żeby coś przemówić, ale zadrżały mu tylko wargi. Podniósł wzrok na Marcina jak gdyby chciał porozumieć się z nim i wnet spuścił spojrzenie.

— Nie chcę... nie mogę... nie zgadzam się — wybełkotał bladym głosem.

I znowu poszukał oczami swojego wroga. Patrzali w siebie: jeden olbrzymi, potężny, znużony i znekany spoglądał prawie z litością, drugi przeszywał wejrzeniem pełnem nienawiści. Paweł przypominał sobie pierwsze spotkanie w wagonie, i pogardliwe obejście się Turowskiego, zjadliwą, drwiącą dysputę w Musinowcach, potem tamtą scenę na imieninach — i krew zalała mu głowę i serce. Nienawidział i zbudziły się w nim siły.

— Nie przystanę na żadne warunki, na żadne pacta — rzekł sucho głosem, który brzmiał jak sykanie suchych trzcina na mroźnym wietrze nad lodem jeziora — nie podam ręki człowiekowi, którego uważam za szkodliwego, niebezpiecznego...

Urwał, gdyż świadkowie uczynili mu znak ręką. Nie wolno było mówić... i znieważać...

Głos Pawła drasnął Marcina do żywego... Tamto uczucie przysło, i jasny, cudowny błękit duszy jęły zaciągać pospolite, codzienne chmury. Już tylko gdzieniegdzie świecił skrawek czysty. Marcin miał niedarowany żal do przeciwnika, iż rozproszył w nim niezapomniany sen...

Potem zbudził się gniew. Nie powiedział ani słowa...

Odmierzono przestrzeń, obejrzano pistolety, przeciwnicy stanęli. Marcin słyszał świergot jaskółek, ale już ciemność powlekała mu duszę. Mocno, z apetytem ściskał broń, wolno i z rozkoszą podnosił ją do góry...

Paweł czuł w piersi jak gdyby swędzenie. Minuty dłużyły się i serce biło powoli. Oto za chwilę stanie się coś ogromnego — i drżał z niecierpliwości... Byleby prędzej!.. Boże, jakże niezmiernem będzie jego szczęście, gdy to wszystko już minie!.. Pogodny dzień, błękitny, śpiew ptaków, zapach poranka w powietrzu, szum drzew... Nie oceniał tego, ale możeż być rozkosz większa niż życie w taki dzień, nad oddychanie takim powietrzem, niż lazury niebios nad głową?..

Widział białe pasma we włosach Marcina, jego nieobtarte z błota buty, kilka niezapiętych guzików... On jeden, Turowski, maści mu szczęście tego dnia... Za chwilę Turowskiego nie będzie, skończy się wszystko, zostanie rozkosz życia w dniu przecednym... Czuł ciągle swędzenie w piersi... za moment, już zaraz... serce ustało...

Naraz las napełnił się taktem szybkiego biegu, wrzawą...

Obaj wrogowie obejrzeli się pomimowoli...

Z za drzew wypadło strojne towarzystwo Kamienieckich:

Pani Henryetta, panna Aga, obaj liceiści w obcisłych mundurach. Panie rzuciły się między mających się bić...

— Chwała Bogu w porę — wołała pani Henryetta — Bóg nas prowadził... Mówiłam stangretowi: spiesz się, — miałam przecucie... my nie dopuścimy... nie wolno!.. przelewać krew... za nic i nigdy... panie... jakże o taki drobiazg... ja jako matka — gadała Kamieniecka, zdyszana od pośpiechu.

Gdy chciała ująć Marcina za rękę, ten odepchnął ją dosyć grubiańsko. Wówczas rozkrzyżowała przed nim ramiona.

To samo przed Pawłem uczyniła panna Aga.

— Proszę strzelać we mnie — rzekła piękna panna.

Paweł rzuciłby się jej do nóg.

— Jaka pani dobra... jaka pani... — szepnęła.

Ale Marcin jeszcze nie schodził ze stanowiska i żeby naigrać się z wroga, czekał. Po nad głowami obu rozkrzyżowanych pań patrzył na Pawła.

— Co za rozczulający widok! — powiedział wreszcie — co za obraz miłości... żywy obraz, istny tableau... Tylko domyślałam się, że to było ukartowane, że ten pojedynek był szopką...

— Rozrzewniony cofam się, bo jakżebym śmiał narażać na szwank tak drogocenne życie... powtórnie nie weźmie mnie pan na kawał... — Syczał.

I uśmiech, zjadliwy jak żmija, wywinął mu się z ust.

Paweł milczał, jak gdyby nie słyszał tych obelg... Cóż mu one znaczą w obec niej, Agi, w obec tego dnia, w obec życia!..

A rzeczywiście nie było wyjścia. Panowie świadkowie napisali najformalniejszy protokół, który opiewał, iż przeciwnicy zważywszy i t. d. podali sobie ręce do zgody.

Turowski śmiał się z pod sosny, o którą stał oparty, gdy układano akt, śmiał się, gdy go odczytywano, śmiał się, gdy Paweł w otoczeniu Kamienieckich zabrał się do odjazdu. Zagwizdał im nawet na pożegnanie coś z operetki.

— Ja rad jestem—zwrócił się do niego Stefan—bo czytałem ci z twarzy, iż byłbyś go zabił.

— Jak kota.

Stefan zajrzał mu w oczy.

— Widziałem jednak — rzekł — że byłeś jakby wzruszony w pierwszej chwili... — zawahał się — jakaś dobroć świeciła ci na czole... dziwiłem się...

Marcin zmarszczył się.

— Złudzenie—odparł przez zęby.

Słońce dźwignęło się już z nocnego leża, ale polana wśród drzew pełna była jeszcze chłodu porannego i lśnienie rośnie mieniło się na murawie.

Od boru szedł poszum.

Stefan znał i pamiętał to miejsce. Las był Opolskich. Przed miesiącem błądził tu jakoby u grobu. Przed miesiącem... Rozglądał się... Skoszono bujną trawę i tamtych śladów już nie znać.

Nie wiedział wówczas, nie przeczuwał, nie marzył... Oto to, co było snem, stanęło przed nim i wyciągnęło ku niemu dłonie.

Mógł pochwycić te dłonie.

Ale, rzecz szczególna, zawołała w nim tęsknota ku tamtej chwili, gdy nie wiedział, nie przeczuwał... Czyżby sen o szczęściu był szczęściem a samo szczęście tęsknotą za snem?..

Po raz pierwszy od przełomu ogarnął go smutek. Bał się czegoś...

— Kiedyż urządzenie nam uroczysty pogrzeb Opolskiego—nagle odezwał się Turowski.

Stefan drgnął.

— JAKTO?

— Czytałeś Hamleta?.. Tylko mściciela niema!

— Marcinie!—cicho i słabo poprosił Stefan.

— Zaraz poznałem na imieninach...—urwał i zamilkł.

Nad polaną ze świergotem krążyły jaskółki. Bór szemrał.

Stefan spojrział w białe obłoki, które wiały wśród lazuru i nagle w jakimś niespodzianym porywie chwycił Turowskiego w objęcia.

— Marcinie, Marcinie!—szeptał tuląc się do niego—Marcinie!..

— Ze szczęścia—mruknął tamten z udanym złym humorem—dosyć już!

I znowu na chwilę tam, w duszy rozsunięty mu się chmury i wyjrzała jasność.

— A ja nigdy—powiedział pół głosem—ot widzisz...

Odwrócił swoją szarą twarz... Drgały na niej pod skórą muskuły.

— Już nie wiem, co lepiej—tak samo cicho, posepnie rzekł Stefan.

— Jakto!—zdziwił się Turowski—bierz szczęście pełną garścią, bierz szczęście, głupcze!..

Stefan zwiesił głowę. Obu nie chciało się mówić.

Za nich i nad nimi gadał bór i płynęły śpiewne strofy, miękkie oktawy, ciche sekstyny; jak strofy poematu także, miały obłoki. Stawało się coraz cieplej. Kładły się snugi słoneczne i błamy, kapały na mchy krople słoneczne, rozlewała się biała jasność; z traw polany odezwały się zapachy. Był już dzień lata. Oto jastrząb szuka zdobyczy, oto zwinna pogoń jaskółek, oto praca dzięcioła; ruda wiewiórka; brzęk much....

Obaj przyjaciele dumali w milczeniu.

— Niema szczęścia — myślał Stefan—niema!.. Zdawało się... wszystko mija, jak tamte obłoki... chwile, chwile... obłoki przechodzą różnowzore, rozmaite, ciemne i jasne, dobre... Nad obłokami trwa błękit, zawsze ten sam, wieczny... Cóż w życiu ludzkim trwa nad mijaniem chwil — obłoków, coś zostaje, co jest treścią niezmienną? — myślał. — Pragnąłem i oto jest... A teraz poco ten żal i smutek? Skąd bojaźń?.. Obłoki - chwile przechodzą, coś jest w życiu, jak ten błękit...

Marcin powiedziałby, że szczęście — myślał dalej patrząc na Turowskiego, który odwiązywał konia — że poczucie wolnej mocy, że pełny puhar... Jak obłoki, jak liście znikają chwile.

— A Kamieniecka—odezwał się Marcin—najmłodsza Kamieniecka, Maryńcia, czy jak tam, to niezła dziewczyna... I szkoda jej!

— Paweł zaręczył się ze starszą.

— Wiem... Niech mu ziemia będzie lekką... A on z chłopami — powiedział jeszcze już z siodła — będzie miał chryję... Nie oddadzą mu łąki!

I rozjechali się w dwie strony. Stefan, skoro tylko wybrnął z lasu, trącił konia nogą i pomknął galopem. Zagrała w nim radość na widok jasnych w słońcu pól i rwał przestrzeń. Nie widział już znikomych chmur na niebie, a tylko słońce, wielkie,

płomienne, promienne. I pędził, jak gdyby ktoś gnał za nim, żeby odebrać mu szczęście, które trzymał w objęciach. Koń leciał.

Marcin Turowski cwałował także.

— Śpieszy mi się — pomyślał w pewnej chwili zgryźliwie— dokąd?

Poranny sen na polanie rozwiął się jak mgła.

XXVIII.

W sali posiedzeń Ugodzińskiego Towarzystwa Rolniczego był tłok i gwar. Ziemianie, radzi z pomyślnego ukończenia zniw i zbiorów, zjechali się tłumnie, i teraz, jak zwykle, przed początkiem obrad zawierano transakcye, cyganiono końmi, chwalono się urodzajami, powtarzano sobie, zniżając głos, jakąś plotkę z wysokich sfer, komentowano samobójstwo Abrama Perelmana, znanego najbogatszego w Ugodzinie kupca, który powiesił się po zniknięciu ukochanej i jedynej wnuczki Sary, zapraszano siebie na winta... Tylko Paweł, dziki i onieśmielony, nie brał w tych rozmowach udziału. Usiadł koło Skibowskiego i oczekiwał z treścią na rozpoczęcie t. zw. prac. W bocznej kieszeni surduta spoczywał odczyt, owoc trudów, przedmiot nadziei, wierchołek, z którego od dnia przyjazdu marzył o przyszłej działalności, o przyszłej chwale. Kamieniecki obiecał mu, iż unieści go na porządku dnia— zbliżała się ważna godzina... Tymczasem pochylał się do pana Seweryna, który zrzędził pół głosem.

— Niema interesu dla szerszych spraw—gderał stary—niema polotu, niema ognia! patrz pan! ćnią papirosy i mielą językiem o szlenach, o polowaniach, facetkach... przyjeżdżają pod pretekstem zebrania dla gry, dla hulanki, dla obiadu...

— Pan widzi w zbyt czarnych kolorach...

— Znam ich panie... dym... — Skibowski machnął ręką przed sobą, jakby dla rozwiania dymu, który wisiał szarym obłokiem w powietrzu — zostanie po nich dym... A przyszłość? My zaczęliśmy inaczej. Może nierozsądnie — ale serca płonęły.

Zamyślił się...

— Dym, szlemy, facetki—powtarzał.

— Albo ta nasza rada!—zaczął po chwili.

— Szanowny pan nie należy do rady? — przerwał Paweł— myślałem...

— Nie mam szczęścia być popularnym—zgrzyźliwie mruknął p. Seweryn.

— Zresztą nie żałuję tego — dodał potem — byłbym stałym dysonansem, zgrzytałbym... Ja nie lubię ich, a oni nie lubią mnie... Przyszłość rozsądzi nas... Urwał.

— Alboż może zgromadzenie, stowarzyszenie — wołał już głośno — istnieć, rozwijać się, przynosić pożytek, jeżeli nie służy jakiejś idei, ideałom...

— Zgadzam się z panem—poważnie zawyrokował Paweł.

— A oni, mój panie, — ciągnął dalej Skibowski—z ciasnego, pieniężnego i wyraźnie lokalnego, prawie parafjalnego stanowiska... Wzbogacać się w powiecie ugodzińskim — i już... dobrze sprzedać okowitę, uzyskać koncesyę, zdobyć protekcyę, dziękować, nadskakiwać... idei niema... wyrzeczenie się dobrowolne idei... to główna wytyczna tych mężów... Ja z innej szkoły! nie umiem!.. powiatów i parafij nie uznaję, za miskę soczewiczy dobrobytu ekonomicznego nie oddam... tego, co istotne... Ale otóż i oni.

Zaczęło się posiedzenie. Leon Niezaminowski zadzwonił i wystąpił z wnioskiem jakiegoś daru dla kogoś, kto święcił jubileusz dziesięcioletni. Paweł, nastrojony nieledwie uroczyście, skupił się i słuchał. Rozprawiano nad firmą, u jakiej należało obstałować wazę dziękczynną.

— A co widzi pan—szepnął Skibowski—przed chwilą wspominałem o manii wdzięczności—oto nowy projekt.

Następnie rozpatrywano sprawę zakupną współkowego żrebca —reproduktora pełnej krwi angielskiej, przyczem jedni byli zwolennikami zimnej krwi w hodowli, inni—gorącej, wszczął się spór, dużo osób zapisało się do głosu, palono papierosy, czasami klaszano... Ktoś wstał i zaproponował założenie prowincjonalnego towarzystwa wyścigów konnych, dysputa rozogniła się, ktoś inny dowcipnie i długo szykanował totalizatora, przeplatając mowę zabawnymi anegdotami, nie mającemi nic wspólnego z poruszoną kwestyą reproduktora, Leon Niezaminowski uprzejmie przywołał go do porządku, woźni obnosili herbatę, na sali panowała wesołość... Potem przedstawiciele sekeyi odczytywali sprawozdania, których nikt nie słuchał...

Paweł, co chwilę trącany przez pana Seweryna, który wpywał zjadliwe komentarze, wyteżał uwagę. Naraz w sali ucichło i wszyscy wstali.

— Co to jest?—spytał Paweł.

— To wszedł prezes gubernialny, Lew Mierzejewski—pojaśnił Skibowski. Pan nie zna go?

Paweł spojrzął z zajęciem. Na miejscu honorowem siedział teraz starzec, bardzo wysoki i szczupły, wyprostowany. Bujne, faliste, białe jak mleko, Mickiewiczowskie włosy płynęły od czoła wysokiego: Z pod brwi patrzyły oczy duże, bystre, czarne, wyraziste, mądre.

— Lew Mierzejewski! — powtarzał Paweł — to jest Lew Mierzejewski!.. i myśli jego wracały na codzienną ścieżkę, po której kroczyły w godzinach zadumy nad przyszłością, w godzinach, gdy Paweł widział siebie, zdobywającego szczyt zasług społecznych, gdy mianował siebie zastępcą Lwa Mierzejewskiego i zwiastunem nowej epoki, gdy przekształcał warunki ekonomiczne kraju...

Traf właśnie chciał, żeby Lew Mierzejewski przybył na pierwsze jego wystąpienie, żeby oni mogli sobie spojrzeć oko w oko i, kto wie, może zbliżyć się i zawrzeć przymierze... Zachodzące słońce i wschodzące...

Tu Paweł doznał zawstydzienia i stłumił głos chełpliwy, głos przedczesnej przechwałki, ale nie odrywał wzroku od głośniego rywala, któremu może zazdrościł, któremu chciał dorównać... Tym natarczywym patrzaniem ściągnął na siebie wzrok starca, który spoczął na nim na krótkie mgnienie, i Pawłowi zdało się, że te oczy są mimo blasku i energii smutne.

— To jest dzielny człowiek — szeptał jeszcze Skibowski—rozumny... patrzy dalej niż ci wszyscy... on to stworzył tu ten program, ale powiadają, że zmienił zapatrywania... podobno uległ wpływowi hrabiego Tobiasza, tego, co pan wie, mistyka... Daj Boże, bo jest bardzo bogaty, a z synów nie rad i funduszu im nie da... synalkowie nie podobni do ojca... w mundurach, na szczeblach karyery... synalkowie... i nie mogło być inaczej! Ich program dobry na jedno pokolenie, — w drugim wyradza się w egoizm, w materializm, w użycie... — na swój młyn puszczał wodę Skibowski.

Tymczasem zebranie południowe miało się ku końcowi.

Niezaminowski, mimo że Paweł kilkakrotnem wstawaniem usiłował przypomnieć o swoim i odczytu swojego istnieniu, zadzwonił, — zasurgano krzesłami, wszyscy, jak dzieci ze szkoły, z pośpiechem i wrzawą rzucili się do szatni. Była godzina obiadowa i każdemu było pilno na obiad składkowy, który odbywał się zwykle w największej sali największej restauracji ugodzińskiej, tego dnia wyjątkowo pod niebem w ogrodzie miejskim.

Paweł pojechał za wszystkimi i znowu trzymał się Skibowskiego, tak samo osamotnionego, jak i on. Jednocześnie z oddali śledził Lwa Mierzejewskiego, który był ciągle otoczony. Zbliżano się do niego z atencją, witano się, on z każdym rozmawiał, przytem uśmiech nie znikał mu z twarzy. Ale Kamieniecki pamiętał o swoim przyszłym zięciu.

— Chodź — mówił, ciągnąc go pod rękę, sztywnie kłaniając się Skibowskiemu — przedstawię cię Mierzejewskiemu — to Mekka! staraj się także zapoznać się z innymi... Ze Skibowskim daleko nie ujdiesz... zrzędząca opozycja...

— A odczyt mój? — z trwogą zapytał Paweł.

— Odczyt... tak, tak... mówiłem Niezaminowskiemu... będzie wieczorem.

Mierzejewski w tej chwili stał ze Stefanem, który ostrzyżony, ogolony, wprost śnać od fryzjera, piękniejszy i młodszy niż kiedy, opowiadał o czymś ze śmiechem. Mierzejewski, nawykły do słuchania urzędowych sprawozdań, szybko potakiwał głową.

— Przyprawdzam panu mego kuzyna i zięcia in spe — rzekł Kamieniecki.

Rozumne oczy Lwa Mierzejewskiego objęły całą postać Pawła.

— Widziałem już pana na sali — przemówił, mocno ściskając rękę — i domyśliłem się, że to pan... Dobrze pan czyni, biorąc w opiekę Naborów po tyloletniej dzierżawie...

— Pan wszystko widzi i wszystko wie — żartował Kamieniecki.

— Muszę... zresztą ja widzę tylko to, co na ziemi, a pan i każdą rzecz pod ziemią — zaśmiał się Mierzejewski.

Paweł układał w głowie jakiś uroczysty komplement, ale zanim zdążył go zacząć, Mierzejewski zwrócił się znowu do Stefana.

— Zdziwiał mnie optymizm pana — rzekł.

— To nie jest optymizm, proszę pana, — mówił z zapalem Stefan — to poprostu wiara, a bez wiary niema czynów i usiłowań... siły są ogromne, niewyczerpane, niezbudzone!.. Pchnąć drzwi od wieków zawarte!..

Paweł stał chwilę, potem odszedł niezadowolony z siebie, z Mierzejewskiego, i z pierwszego z nim spotkania.

— Po odczycie — myślał — to się naprawi. Pozna mnie...

— Jakież są wrażenia pana? — zaczął go Niezaminowski.

— Wrażenia? — stropił się Paweł — doprawdy nie umiem... wrażenie niespodziane... Jestem nawet szczyptę rozczarowany.

— Tak? — Niezaminowski badał Pawła starając się wyrozumieć, do jakiego też należy obozu. Naraz przypomniał sobie, iż widział go na sali wciąż obok Skibowskiego i zmarszczył się.

— Tak — powtórzył ze znudzeniem — może się mylę, ale wydaje mi się, iż wszystko jakoś za prędko. Nie znać było pracy... żadnych spraw, żadnych myśli ogólniejszych, zupełny brak zabarwienia idea, a przecież bez idei...

Niezaminowski ziewnął. Już zaliczył Pawła do pewnej kategorii najmniej użytecznej i najnudniejszej, do kategorii ideologów — i miał go dosyć.

— W każdym razie, proszę pana — rzekł — należy nam się obiad. Lokaje, ustawili zakąski. Idźmy pokrzepiać grzeszne ciała, które są mdłe.

Wkrótce wszyscy zasiedli do długiego i wąskiego stołu, gdzie kto chciał i mógł, Lew Mierzejewski u szczytu między Niezaminowskim i Kamienieckim, Paweł — daleko i nisko koło Skibowskiego i Stefana. Temu ostatniemu nie zamykały się usta. Zwracając się to do pana Seweryna, który stał się milczącym, to do Pawła, poruszał sprawy zasadnicze i wywnętrzał niepytany głębie najważniejszych myśli swoich, złane szczególnym blaskiem, prześwietlone promieniami jakiegoś słońca, zapalonego w rdzeniu ducha, w które zdawał się patrzeć, gdy mówił.

— Trzeba nam odmłodnieć — powiadał — to pierwsza. Przenika nas i zatruwa pesymizm, ożeniony z wątpieniem, syczy w nas za każdym poruszeniem sceptycyzm, syn matki — analizy, która trzyma w zasuszonych, trzęsących się rękach czułą wagę i waży, przesypuje, rozpatruje przez lupę uczucie, aż ulotni się...

— Trzeba nam odmłodnieć, odnowić się, pić z krynic wskrzeszających, czerpać siły z ziemi, bo odtrąca nas nowi ludzie, nowe rzesze, dopiero zbudzone. Miejmy wiarę i odwagę, niech nami owładnie szta!... Życie, każdy dzień życia kochajmy poprostu tak, jak się kocha pożądaną kobietę... Dopiero wówczas rodzić się będą dzieci — czyni!...

— Ja nie mogę zgodzić się z tem — zaprzeczył Paweł — rozum musi mieć władzę kierowniczą.

Ale spór wnet upadł, ponieważ Niezaminowski rozpoczął orację. Mówił z uprzejmym uśmiechem na ustach pod adresem członków, dziękując im za chętny i gorliwy udział w pracach, podnosił zasługi rady i zwłaszcza Kamienieckiego, który jako delegat zdobył zaufanie sfer miarodajnych, wyrażał nadzieję na przyszłość.

„A przyszłość — kończył — spoczywa nie w ręku tych, którzy popisują się górnym, tanim, krzykliwym frazesem, ganią każdą pracę, puszczają wodzę mrzonkom, lecz tych jedynie, co wytrwałym, spokojnym trudem poprawiają byt, łagodzą trudne warunki rolnictwa.“

Odpowiadał mu Kamieniecki i jeszcze dobitniej podkreślał znaczenie pracy codziennej, powszedniej, z dnia na dzień, nie zakreślającej szerokich widnokręgów, nie obejmującej zbyt dalekich obszarów, pracy na chleb, pracy wzbogacającej jednostki i ogół, pracy realnej, trzeźwej, ekonomicznej, materalnej. Jak błyski szpady przewijały się przez przemówienie złośliwe przytyki w kierunku jakiejś opozycji, jakiegoś odmiennego obozu, jakiegoś niebezpiecznego, niedojrzałego warcholstwa, z którego szydził, nad którym pastwił się, przed którym ostrzegał...

Lew Mierzejewski milczał, wichrząc swoje białe, miękkie, bujne włosy, i błędził gdzieś daleko wzrokiem...

Ci dwaj mówcy byli dziećmi jego ducha, poglądy ich były niby owoce wyrosłe na drzewie jego wieloletniej pracy. Od tego zaczął przed laty, z tem przyszedł... Teraz schodzi... Kto i co nastąpi po nim? I mimowoli, ślizgając się oczami po obecnych, szukał kogoś, szukał zwiastuna, szukał może tego, któryby zaprzeczył.

Nagle Skibowski zadzwonił głośno w kieliszek. Wstał z trudem, wsparł się mocno o stół, rozejrzał się, czekał, żeby się uciszeli.

— Przywykliście do moich kazań — zaczął donośnie — i nie lubicie ich. Wiem o tem. Nazywacie mnie starym gderą. Ale nie mogę stłumić swoich myśli, tembardziej, iż jestem tu po raz ostatni. Raz ostatni widzicie mnie między sobą. Dziś rano lekarze skazali mnie na bezczynność i na śmierć... Wiem, że już nie długo...—starzec zatrzymał się. Była cisza. Przykry dreszcz przebiegł po zebranych.

— Mówię przeto—wołał znowu Skibowski—Racście słuchać, panowie. Są dwa warunki, bez których niemasz użytecznej pracy: winien być cel i winna być miłość, miłość celu, miłująca praca. Bez tego nic. Żądają od was pracy i pracy, a jakież jest cel? Ja nie widzę żadnego. Bo wzbogacać się, budować fabryki, handlować — cóż z tego za pożytek, jeśli to dla siebie? tylko zbytek, tylko próżność i chciwość, tylko samolubstwo, tylko chłód... Patrzmy na młode pokolenie. Czemu stał się program ojców w ich rękę?

Skibowski gromił długo i coraz głośniej, coraz surowiej i gniewniej. Groźne spojrzenie z pod gęstych nastroszonych brwi piętnowało wszystkich obecnych bez wyjątku, zwracając się szczególnie ku szczytowi stołu, gdzie Niezaminowski poruszał się niespokojnie na krześle, bojąc się, iż stary Jeremjasz posunie się zbyt daleko.

— Zawsze to samo! — szepnął do Kamienieckiego — groźby złorzeczenia, skargi i jęki, zarzuty, pozbawione treści, ogólniki.

Niechby wskazał choć raz coś realnego, niechby wymienił coś praktycznego, rzeczowego. Dobrze, że to raz ostatni.

— Jabyń odebrał mu głos — mruknął Kamieniecki — zniechęca, demoralizuje.

Skibowski już skończył, ale ciągle stał jeszcze, jak gdyby oczekiwał na odpowiedź.

Stół zaległa grobowa cisza. Ta ciężka cisza trwała. Wówczas Niezaminowski z hałasem odsunął krzesło, dając tem znak do wstawania. Obiad był skończony.

XXIX.

Wszyscy niemal uczestnicy obiadu rozpierzchli się, a Skibowski wciąż siedział jeszcze przy stole, na tem samym krześle, na które opadł wreszcie po przemówieniu, po długim i daremnie oczekiwanu na odpowiedź, chociażby polemiczną, na poklask, na słowo dziękczynne, na dobre słowo pożegnalne... Nikt nie zbliżył się do niego. Był zawsze sam i został samotnym... a ostatni raz, ostatni raz... nie zobaczą go więcej!..

Lekarze na konsylium podpisali wyrok... przeminęło życie, twarde życie...

Przy długim, wąskim stole obiadowym był teraz sam jeden wśród niedopitych kieliszków, ułanków chleba, nad pomietą i powalaną serwetą. Znękane oczy jego błędziły po tych nędznych resztkach. Mówiłby znowu, gdyby tamci nie byli odeszli, mówiłby inaczej, bez złości i gniewu, udobruchałby, rozserdecznił i rozbroił, gdyż ciężko jest rozstawać się w rozterce... Niema nikogo!

Nie chciało mu się wstawać, długa mowa znużyła go i wyczerpała.

— Może panu pomódz, odprowadzę pana—cicho odezwał się Stefan.

Skibowski dźwignął się z trudnością, szukał laski i, staniając się, zabrał się do odejścia. Wolałby iść sam bez niczyjej pomocy, ale nie zdołałby. Przyjął tedy ramię Stefana i szli razem bardzo wolno przez ogród. Pan Seweryn zatrzymywał się i łapał oddech.

— Z jakim uczuciem pan gromił!—pochwalił Stefan, a głos jego brzmiał sucho—pan podkreślił dwa niezbędne warunki, pan utrafił w samo sedno.

I znowu:

— Tylko, panie, to nie był testament... pan jeszcze długo... mam nadzieję, że nie ostatni raz...

Skibowski milczał. Gdy wyszli z bramy ogrodu, skinął na dorożkę, zimno ścisnął rękę swego opiekuna, wgramolił się, jak mógł najprędzej do powozu, trącił dryndziarza w kark. Dorożka zaturkotała hałaśliwie na złym bruku ugodzińskim.

Stefan przez chwilę gonił ją spojrzeniem. Sumienie przemówiło słabym wyrzutem. Nie spełnił powinności. Należało zgnębnego sąsiada i przyjaciela odwiedzić aż do hotelu, roztoczyć nad nim opiekę, uspokoić córkę, która tam czeka i może przerazić się... A przy obiedzie należało wstać i powiedzieć schodzącemu weteranowi kilka gorących, serdecznych słów na pożegnanie. Nie uczynił tego. Skibowski, którego lubił dawniej, któremu wierzył, z którym obcował w porozumieniu co do najważniejszych spraw, wydał mu się dziś człowiekiem obcym i niemiłym, jak gdyby przybyszem z wyspy podbiegunowej; mowy jego słuchał uchem obojętnem i brzmiała mu ona niby dzwon, bijący na trwogę w odległej i nieznannej dzielnicy miasta—nie pojmował przyczyny jego gorzkich skarg i groźnych napomnień... Potem widok starości, choroby, niedołęstwa i zgnębienia zbudził w nim odruch szczególniej odrazy. Tyle tylko i z trudem wymógł na sobie, że podszedł do chorego starca i wywiódł go z parku — więcej było po nad możność jego. Teraz szczerze rad był, iż został nareszcie sam z sobą, z młodością swoją, ze zdrowiem, ze szczęściem... Nurt wesela płynął przez niego. Starość i choroba, śmierć i niedola, smutek schyłku zgorzkniałego, przestały kazić cieniem posępnym obraz tego świata, w którym obecnie żyła dusza jego... to świat silnych i młodych, świat nadziei i szczęścia... długi jest dzień życia, przez niwy wiję się słoneczna droga, powiewa złocista chorągiew... trud i walka, szczęście i zwycięstwo...

Dorożka z panem Sewerynem skręciła w boczną ulicę, znikła—i znikł przykry, przelotny rozdźwięk. Stefan zawrócił się i żwawo ruszył w swoją stronę, na dworzec kolei. Pociąg, którym miał odjechać do domu, odchodził za dobrą godzinę, ale on podwoił kroku. Szedł, wywijając laską, przyglądając się z wesołą uciechą miastu. Oto płoną od zachodzącego słońca okna tamtego niskiego drewnianego domu; oto świeci złotemi literami szyld piekarni tureckiej; subiekt fryzjera w białym fartuchu pali na progu papierosa... przystojny chłop i jak uczesany! kilku wyrostków otoczyło sprzedawcę lodów i używają za kopiejkę!.. stragan z wodą sodową, stara i pomarszczona żydówka, obraz starości, robi poń-

czoche, dokoła krzykliwie swawolą jej wnuczeta o sinych ustach, zapewne od wiśni; nianka prowadzi jakąś dziewczynkę w białym płaszczyku i kapeluszu — ostrożnie, z ciekawością stąpają małe nóżki w żółtych ciżemkach...

Wszystko zajmowało go i bawiło, podobał mu się każdy pospolity szczegół ulicznego życia. Spostrzegł jeno radosną stronę obrazu, oczy jego bezwiednie omijały każdą skazę czy plamę, która mogłaby przypomnieć, obudzić, zboleć. Jak pszczoła miód z kwiatów, tak serce jego wydobywało ze spostrzeżeń samo tylko dobro i samą tylko słodycz, których potrzebowało niezbędnie, i napawało się radością, stworzoną przez siebie. Odczuwał przyjemność odpoczynku z subiektem fryzyerskim, który palił na progu, i myślał z zadowoleniem o dziewczynie-kochance, która może tegoż jeszcze wieczora osypie pocałunkami jego piękną, misternie uczesaną głowę; cieszył się z chłopcami, łakomie żłopiącemi lody, cieszył się, iż dobrze jest stuletniej żydówce robić pończochę przy straganie w dzień pogodny i ciepły i patrzeć na hałaśliwą gonitwę umorusanych wnucząt; widział ręce, które ze szczęściem wyciągną się ku dziewczynce w białym płaszczyku i kapeluszu, słyszał jej ucieszny ptaszęcy szczebiot w domu rodzicielskim; zajrzał serdecznie w twarz listonoszowi, który szedł, stukając, chodnikiem z torbą, pełną wieści... tysiące rąk rzuci się na listy... ..mężowie spacerują z żonami i z dziećmi,—gawędzą... oto cała rodzina na ganku, niby jaskółcze gniazdo zawieszonym nad ulicą... oto ktoś przemknął z bukietem, zapewne do narzeczonej... chłopiec z cukierni z tortem na głowie... imieniny... weselą się ludziska.

— Panie Stefanie!

Przystanął i obejrzał się.

— Kochany panie! — zawołał uściskając pana Michała, jak brata. I naprawdę był bardzo rad.

— Ależ pan gna! Oddawna już sykam na pana. Dokąd pan pędzi?

— Na pociąg.

— Jeszcze mnóstwo czasu. Odprowadzę pana kawałek i wyzyskam. Co słychać?

— Dobrze jest—bez namysłu odpowiedział Stefan.

— Pan sądzi?..

Łagodnie, jasne, czyste oczy pana Michała chwilę rozpatrywały Stefana.

— Pan wygląda jak tryumfator—rzekł—może co pana dziś spotkało? jakiś zaszczyt? infuła biskupia, prezesowski fotel?

— Nie, nic—z prostotą odparł Stefan—nie wiem...

— A posiedzenie jak zwykle: odbyło się przy licznych zjeździe miejscowych ziemian, pojmujących znaczenie pracy społecznej, poruszyło wiele spraw pierwszorzędnej wagi—stylem reporterskim recytował pan Michał.

— Posiedzenie udało się rzeczywiście. Było huk osób, dużo gadania...

— Słyszałem tylko, że ze Skibowskim coś... nie bardzo... niech pan opowie!

— Ze Skibowskim, ze Skibowskim? — Stefan zapomniał już całkowicie tamto zajście. Myślał.

— Ach tak!—podchwycił potem—Skibowski wstał i przemówił. On przemawia zwykle, ale tym razem tak surowo i ostro, tak gromił i potępiał, że zapewne rozdrażnił... pojechał do hotelu.

— Podobno był tutaj ostatni raz, lekarze stwierdzili pogorszenie.

— Tak, tak, wspominał o tem.

Nastąpiło milczenie.

— Biedny Seweryn! — cicho odezwał się pan Michał — całe życie kochał i pracował i nie doczekał się nigdy pociechy. A teraz koniec! Nie lubią go—i za co? W tem jest jakiś tragizm.

— W tem jest jakiś tragizm — z roztargnieniem powtórzył Stefan.

Znowu szli milcząc.

— A słyszał pan o Abramie Perelmanie? Całe miasto o niczem innem nie mówi. Powiesił się wczorajszej nocy.

— Tak — oczy Stefana z lubością bawiły się złocistym odblaskiem zachodzącego słońca w oknach i szyldach.

— W styczniu, przed półrokiem, znikła jego jedyna ukochana wnuczka Sara... pan wie... to było głośne. Stary gryzł się i nie wytrzymał. Odwiedzałem go ostatnim razem. Nie byłbym poznał go, tak wyglądał... i powiesił się! miliony swoje zapisał na cele, ukochane przez wnuczkę—głos pana Michała drżał.

Stefan patrzył teraz w niebo, którego aksamit był precudnie fioletowy nad wysoką świeżo zbudowaną z czerwonej cegły kamienicą.

— Biedny! — rzekł obojętnie.

Pan Michał zamyślił się.

— Widzi pan te druty telegraficzne — powiedział nagle, pokazując laską — równe, proste, jednostajne, biegną od słupa do słupa we wskazanym kierunku. Wydaje mi się, że i życie ludzkie tak samo. Jest linia prosta, jak drut, wąska, ciemna, która

idzie we wskazanym kierunku, do wskazanego celu... czepiamy na niej złudzenia nasze, gniewy i wychylamy ją w ręku—napróżno! — Urwał.

Stefan spojrział na niego, potem na druty, potem w złotawą kurzawę nad miastem—i milczał.

— Słyszał pan, jak grają, jak jęczą te słupy? zwłaszcza na polu—dodał jeszcze p. Michał.

Rozmowa upadła.

— Pan przyjechał na posiedzenie?—bezsmyślnie zapytał Stefan, jakkolwiek znał zapatrywania samotnika z Nowin.

— Nie panie... tak... interesy—pan Michał spuścił oczy.

— Pan załatwił pomyślnie?—Stefanowi chciało się koniecznie i z pana Michała wyciągnąć coś radosnego.

— Tak... o tyle o ile—niechętnie odpowiadał ten—pożegnania pana. Zajdę do Skibowskiego. Stąd blisko.—Rozstali się już znacznie chłodniej, aniżeli witali się przed chwilą. Stefan ruszył znowu swoim szybkim, rażnym krokiem prosto na dworzec kolei. Słyszał przeciągły świst parowozów, który wołał kędyś, wołał z dalekich przestrzeni w dal, wzywał do lotnego pędu, do szczęśliwego powrotu, do radości... Jęku pożegnań, przypomnienia rzeczy utraconych, przepowiedni rozłąki, tęsknoty za przeszłością nie było w tym świście.

*

*

*

Pan Michał piął się po brudnych, wąskich stromych schodach hotelu na piętro, gdzie zamieszkał pan Seweryn. Hanka w kapeluszu, w rękawiczkach, z parasolką otworzyła mu drzwi. Uśmiechnęła się jak zwykle na jego widok.

— Pan do tatusia?

— Tak. Może nie w porę?

— Tatusi leży w alkwie, osłabiony i zmęczony, ale bardzo panu rad będzie... zaraz—mówiła prawie z wesołością.

— Pani miała wychodzić—niech pani idzie.

— Jakies sprawunki... wyjdę i wrócę za chwilę. Proszę pana.—I z twarzą wciąż wesołą rozchyliła portylerę alkwie, w której odpoczywał ojciec.

Pan Michał nie odrazu odnalazł oczami w ciemności twarz Skibowskiego, który siedział na łóżku, oparty o dwie poduszki. Dotknął zimnej ręki chorego, mruknął coś i usiadł. Nie wiedział,

zali wogóle ma mówić i o czem. Dopiero po chwili, oswoiwszy się z mrokiem, spostrzegł, iż Skibowski patrzy się w niego.

— Lepiej panu?—spytał szeptem.

— Alboż może być lepiej?!

— Ależ panie!—próbował zaprzeczyć p. Michał.

— Tak jest. Żyłem, zużyłem się—teraz dosyć! na wszystko jest czas...—arbitralnie, po swojemu rąbnął p. Seweryn.

I po chwili:

— Nie pocieszaj mnie, pan, i nie wnawiaj, jak dziecku. Nie jestem babą. Wiem, że śmierć moja za progiem,—mówił dobitnie, głosem twardym, szorstkim, prawie surowym.

— Myślisz może, że mi żal? Niema czego! W trudzie i w zgryzotach kruszyłem skałę, dźwigałem głazy, toczyłem kamień pod górę. Zmachałem się i odpocznę. Niech inni... może lepiej, umiejętniej, rozumniej...

Poruszył się, szarpnął niecierpliwie do góry poduszkę, która się osunęła, przestał mówić. Pan Michał spuścił głowę i milczał. Chory przymknął powieki. Upływały przykre minuty w ciemności, w smrodliwym zaduchu hotelowego pokoju, w ciszy. Po skrzypiących deskach korytarza wciąż snuli się ludzie, czasami ktoś zadzwonił, służba z brzękiem nosiła zastawę herbatnią.

— Stefan Modrzec i inni — nieśmiało zaczął p. Michał — zachwycali się dzisiejszem wystąpieniem pana. Podobno z ogromną siłą i prawdą...

Nie było odpowiedzi.

— Społeczeństwo może nie umie okazać panu swojej wdzięczności, ale to pewna, iż żywi dla pana głęboką cześć. Miał pan dowód w akcji ratunkowej... Tacy ludzie, jak pan, nie przechodzą bez śladu... Czyny i słowa pana oddziały i działają niewidzialnie... Wierzę i wiem.

Chory milczał.

— A zresztą, panie, członkowie Towarzystwa Rolniczego to nie całe społeczeństwo. Pan sam ich zna najlepiej. Mieszkam tu oddawna i przyglądam się. Połowa—to martwi, nieświadomieni, drzemiący—sieją, żną, zbierają, druga połowa—lekkoduchy. Trochę rozumnych egoistów. Jedna warstwa nie stanowi opinii—cicho, słabym głosem pocieszał pan Michał. Podniósł bojaźliwy wzrok.

Starzec leżał cicho. Mrugnął kilka razy powiekami może stoczyła się łza—odwrócił się do ściany. Zaległa cisza. Pan Michał, zmieszany i zakłopotany, bawił się dewizką zegarka, rozpatrywał wzory obicia.

— Jaka jest przyczyna—odezwał się naraz Skibowski—powiedz pan szczerze, jaka jest przyczyna, że ja tak nigdy nikogo,

nigdy nic... że ja tak na uboczu... — wikłały mu się słowa, i głos jego wahał się — nie wiem... obwiniałem społeczeństwo, byłem oskarżycielem surowym, dziś myślę...

— Powiedz pan — pytał dalej — przez całe życie służyłem, niosłem ofiary i poświęcenie... Nie chwale się... w młodości, pan wie... potem tutaj... pracowałem... Nie wiodło mi się... Mimo to usiłowałem wytrwać i czynić tyle, ile pozwalały okoliczności... Wskazywałem drogę — i nikt! Albo cały naród, albo też ja... ja nie wiem.

Mówił to, jak gdyby do siebie samego, już zupełnie spokojnie, tonem sędziowskiego sprawozdania. Patrzył w przestrzeń.

— Jak głos w pustyni padały moje słowa, bez echa, bez wtóru. Nikt mnie nie słuchał i byłem jak upiór, jak gość z innego świata ze swoją gawędą o rzeczach przedpotopowych, o rzeczach zatopionych. Więc nie wiem dziś... albo cały naród albo też ja jestem w błędzie.

— Od 10-ciu lat, jak jestem w tych stronach — narzekał — sztyderstwo, chłód, nieme grymasy znudzenia. Nie powołano mnie do żadnego urzędu, nie otrzymałem nigdy kreski, nie liczone się ze mną. Mogłem mówić, mogłem milczeć. To samo dziś. Ale mniejsza o mnie...

Otoczyły go gorzkie wspomnienia.

— Chciałbym wrócić tu kiedy — rzekł jeszcze — i spojrzeć, jak też pójdzie, kto miał słusność. Teraz mam dosyć! Zmęczyłem się, czuję swoją zbyteczność. Nie dla mnie jest ten świat dzisiejszy... wasze książki, wasze obrazy, wasze zwyczaje... chłód serc, uśmiech, zwątpienie, rozmyślanie w sobie... Zbyteczny jestem, radźcie sobie sami — dokończył z akcentem znużenia.

Zamknął się w sobie, w zgryźliwym rozpamiętywaniu, w cierpkim żalu, w beznadziejnej zadumie. Przywarł powieki, stracił ochotę do rozmowy.

— Za to ja — nieśmiało odezwał się w jakiejś chwili pan Michał — spełniam życzenie pana... posłuszny jestem... — płatał się — przyjechałem tu z zamiarem... dla pewnych formalności... postanowiłem ożenić się... Tadzio wyrósł... dla niego...

— Bardzo panu winszuję — sucho pochwalił p. Seweryn — należało tylko wcześniej.

Już go widocznie nie obchodziły żadne sprawy prócz jego własnej, przegranej bezpowrotnie, sprawy zapoznanego życia, odtrąconych usług, sponiewieranych ofiar. I myślał wciąż o jednym, wciąż pytał, bez przerwy żałował, rozważał, oskarżał i potępiał. Czoło jego marszczyło się w tem bolesnem wyteżeniu, w tej pracy

daremnej a nurtującej. Głębokie bruzdy znaczyły na nim jakby ślad przelatujących gromów... Zapomniał, iż czuwa koło niego przyjaciel, jedyny może wierny i oddany, przyjaciel, którego uraził przed chwilą, od którego odwrócił się bez ceremonii...

Milczenie niby ciężka pokrywa z żelaza, którego nie było już czem przebić, trwało aż do powrotu Hanki.

— Kupiłam już wszystko—zawołała wbiegając ze sprawunkami na każdym z pięciu palców—dla siostr, dla mamy. Przeszukałam wszystkie sklepy, targowałam się nawet i wytargowałam niemało.

Była runiana od zmęczenia czy ożywienia, oczy jej świeciły, na ustach weselił się uśmiech. Była ładna.

— Proszę pana, może pan posiedzi teraz ze mną — mówiła już ciszej, przypomniawszy sobie chorego ojca.

Pan Michał zajął miejsce koło stołu, przykrytego wytartą i brudną serwetą.

— Pani coś jest dzisiaj—zaczął szeptem, wpatrując się w radosną, różową twarz dziewczyny—nie widziałem jeszcze pani taką i cieszę się z góry. Znalazła pani kwiat paproci?

— Tak. Niech pan zgadnie gdzie i jaki?—śmiała się szczęśliwym spojrzeniem.

— Cóż! chyba w ogrodach jakiego Adonisa?

Zaprzeczyła pogardliwym ruchem ręki.

— Nie? więc nie wiem już!

— Niech pan zgaduje!—droczyła się.

— Nie wiem, pani, stary jestem, niedomyślny.

— Więc wyjawię panu—mówiła cicho,—pochylając zarumienioną twarz ku panu Michałowi—przed miesiącem posłałam do redakcyi swój fragment. Pan czytał? Nie... ostatni fragment, co to na wyspie śród morza zabłąkany znużony ptak, sam jeden, oderwany od drużyny, lecącej do wyraju... Pokażę panu, ale już w druku... bo wyjdzie za miesiąc i w „Zwiastunie“... a „Zwiastun“! nie potrzebuję panu tłumaczyć... to przybytek prawdziwej sztuki, to Olimp, to le salon *carè* naszej literatury... Otrzymałam od redaktora list z pochwałami, z zachętą... Jestem tak szczęśliwa! Pan nie uwierzy! nie spałam w domu i tu—szepotała szybko nad samem uchem przyjaciela.

— Witam wielką autorkę polską. *Ave stella!*—pan Michał pocałował ją w rękę.

Ona zaś, zarumieniona, niezwykle ładna, mówiła dalej cicho i prędko.

— To pierwszy mój dzień, to godzina powrotu. Żyję, będę żyła, zniosę każdy krzyż, już wiem, poco jestem... czy pan to rozumie?

— Rozumiem pani—miętko wtrącił p. Michał, który trzymał ją jeszcze za rękę.

— Bo pan nie wie, ile cierpiałam, jak upadałam, jak byłam słabą. W ciężkich kajdanach szłam, szamotałam się, szukałam tehu w próżni, tęskniłam w podziemiu... od wczoraj zmieniło się.

— Pokazała już pani ojcu ten list?

— Nie. Tatuś chory, nie wiem, czy byłby się ucieszył, a zresztą dziwnie rozdrażniony. Lekarze dowodzą, że z sercem gorzej—szeptała tak samo wesoło, z tym samym radosnym obłokiem na twarzy—że kuracya niezbędna. Pojedziemy wkrótce za granicę w świat... Zobaczę Warszawę, dalekie miasta, góry... Szczęśliwa jestem!..

Pan Michał mimowoli obejrzał się na alkowę, gdzie w ciemności gryzł się i cierpiał chory, złamany ojciec rozweselonej córki. Tam było cicho. Hanka spojrzała także — przelotnie i gwarzyła znowu.

— Czasami myślę, iż to sen: ten list i podróż. Nie przywykłam i dlatego nie wierzę. A z drugiej strony rozumiem, że należy mi się, że to nie było życie, to wszystko dotychczas, że każdy ma prawo i obowiązek, że trzeba walczyć z cieniem i iść w słońce.

Chory kaszlnął, więc Hanka urwała, chwilę popatrzała w portyere, mówiła dalej:

— Czytając życiorysy tych wielkich, widziałam, iż każdy z nich zrywał i wyrывał się, porzucał i szedł przebojem... żaden nie został na szlaku pokory, żaden nie czekał bezczynnie! duch musi być wolnym... jest sześć dni powszednich i jest siódmy dzień święta... to nasz dzień, dzień twórców... my dla znużonych pracowników powszednich dni gotujemy radość święta— i życie nasze winno być jak święto. Inaczej, jakżebyśmy tworzyli w szarzyźnie poniedziałku!

Pan Michał potakiwał z rotargnieniem i zlekka ścisnął wąż rękę panny. Spojrzenie jego zbliżało się do jej ubogie włosy, wzburzone nad czołem, śliczną jej twarz w zapłonienu radości, drobne kapryśne usta, przenikało jej promienne w tej chwili oczy. I tak jak w Jaworowie pogrążał się z wolna w szczęsnem złudzeniu, utkanem z nienazwanych marzeń, z niewyznaczonych pragnień... Jak gdyby wiatr wiosenny zachwiał sędziwem, usychającym drzewem...

— Pan mnie tak rozpatruje! — rzekła nagle.

Odsunął się, wypuścił jej dłoń, zarumienił się.

— Chcę zapamiętać, jak pani wygląda w szczęściu.

— A pan? Jakże panu? Dawno nie widzieliśmy się. Była chmura?

— Była i będzie.

Widział tę chmurę przed sobą, czuł ją w sobie.

Nad usychającym drzewem była jesień i zimna, szara słota...

— Pan sam sobie winien. Nie znam życia pana, ale to tylko wiem, że pan zupełnie nie walczył. Pan był bierny. Pan przyjechał tu skaleczony od jakiegoś ciosu i zamknął się ze swoim smutkiem. Trzeba dopominać się o swoje prawa, zмагаć się, gasnąć i znowu płonąć...

Pan Michał uśmiechnął się niewesoło.

— A starość, pani, a ciężar lat?

Jak gdyby, nie dosłyszała go, dowodziła dalej:

— My jesteśmy dzielniejsi, niż wy, my podnosimy bunt, depcemy przeszkody, wołamy o życie, my nie damy się złamać!

— Pani! I pani to mówi! Pani z tem nie do twarzy!

— Dlaczego? Tak wierzę. Wyszłam z otchłani bytu, jako wola, jako pragnienie życia, poto żeby zaznać istnienia w całej mocy, w całej pełni, i moim zadaniem jest napiąć tę wolę, zapalić jasnością, podnieść do najwyższego szczytu świadomości. Byt w mojej jaźni dochodzi do świadomości siebie.

— Z pani filozofka nielada!

— Każdy inaczej pojmuje i tłumaczy życie — prawda z odzieniem rozdrażnienia — pan zapatruje się inaczej... pan ze swoją teorią wyrzeczenia się... nie pojmuję! rodzić się, brać życie, żeby się wyrzec...

Rozległo się stukanie u drzwi i Hanka umilkła spłoszona.

— Proszę.

Drzwi rozwarły się, pchnięte energicznie, ukazując wysoką postać starca.

— Czy zastają pana Skibowskiego? — zapytał donośnie, głosem prawie rozkazującym.

— Ojciec mój... natychmiast...

Na dźwięk tego głosu pan Seweryn zerwał się na równe nogi i, pośpiesznie zapinając guziki, wysunął się z za kotary.

— Przyszedłem dowiedzieć się o zdrowie Szanownego pana — dobitnie tłumaczył Lew Mierzejewski — pan napomknął w przemówieniu...

— Dziękuję panu prezesowi... proszę... moja córka... hrabia Michał Naborowski.

Lew Mierzejewski kłaniał się i witał się sztywnie, potem usiadł z kapeluszem w rękę, w rękawiczkach.

— Postarzełiśny się, panie Sewerynie—rzekł, patrząc się na gospodarza—zegnałeś dziś społeczeństwo. Schodzimy obaj. — Poczekał chwilę, dając Skibowskiemu czas na odpowiedź, poczem mówił:

— Przecież trzeba kiedyś usunąć się i najlepiej dobrowolnie. Niech zastąpią nas młodzi. Młodzi mają więcej sił, lepiej pojmują ducha chwili, lepiej umieją dostosować się. Stary powtarza w kółko to samo i gniewa się, że to nie wywiera wrażenia. Nie może być inaczej. Nowi ludzie, nowe drogi. Ja wycofuję się—wykładał dobitnie głosem człowieka, który przywykł być słuchanym w tłumnnych salach ze czcią.

— Wycofuję się—powtórzył—Nie wymagajmy także wdzięczności i uznania, panie Sewerynie, spełnialiśmy powinność naszą. Alboż w tem jest jaka zasługa? Jak rybie woda, tak potrzebną nam była praca społeczna—zatrzymał się na chwilę.

— Niech mnie pan nie stawia obok siebie—sucho zauważył Skibowski—pan prezes na szczytach, w chwale, ja chudopacholek... Mądre oczy Lwa Mierzejewskiego zmrużyły się.

— Szczyt i chwała? —odparł powoli — doprawdy nie wiem, co pan przez to rozumie? Że tam w gazetach kiedy niekiedy... albo może order? Nie pragnąłem tego.

— Podziwiam skromność pana.

Lew Mierzejewski przyglądał się gospodarzowi.

— Gniewasz się na mnie pan—rzekł z prostotą—przepraszam. Nie chciałem urazić. Wydało mi się tylko, że były nuty goryczy... zresztą...

— A dodam jeszcze—mówił znowu głośno, jak gdyby przed dużem audytoryum — że w słowach pana dzisiejszych była część prawdy. Słuchałem. Nie wyraziłem aplauzu, bo nie zgadzam się z niejednym, bo sądzić i potępiać całego społeczeństwa nikt nie ma prawa, bo rzecz jednostki jest działać w miarę możliwości i podług sumienia.

Pan Seweryn wydał szczególny dźwięk, podobny do syknięcia, lecz pohamował się. Pierwszy raz w życiu zmuszony był słuchać cierpliwie. Wyprostował się, zmarszczył się. Łudził się, iż Lew Mierzejewski przybył z czem innym, na widok rzadkiego gościa skoczyło w nim serce, zaświtała mu jakowaś niejasna nadzieja. Więc tylko usiłował stłumić gorzki gniew, i dumne oburzenie.

— Dziękuję za naukę — mruknął — może zapóźno w moim wieku...

Lew Mierzejewski urwał. Patrzali chwilę na siebie.

— Chciałem to wypowiedzieć — dodał prezes ciszej — owoc rozmyślań... życzliwy jestem panu... Jakże ze zdrowiem?

— Kiepsko.

— Może kuracya za granicą... podobno lekarze wysyłają... słyszałem o kłęsce... radbym z pomocą, jako sąsiad, chociaż daleki...

— Najprzejmniej dziękuję.

Zapadło milczenie.

— Pan prezes trzyma się dobrze — odezwał się Skibowski.

— Skrzypiące drzewo...

— A synowie, słyszę, idą coraz wyżej, po drabinie zaszczytów, ku szczytom łaski—ugryzł p. Seweryn.

Lew Mierzejewski zeszywniał. Milczał, poczem naraz zwrócił się do pana Michała:

— Przyszło do tego, że prezentowaliśmy się sobie. Cóż, dawny towarzyszu, kto miał rację tam, w Wiedniu?

— Dawne czasy...

— Dawne. Byłeś młody, ja i wówczas już byłem stary.

Lew Mierzejewski zamyślił się.

— Gdzie mieszkasz?—zapytał.

— W tych stronach.

— W tych stronach i nie spotykamy się nigdzie?!

— Ja stoję na uboczu.

— Rozumiem. Więc tamto nie wywietrzało! ty zawsze ten sam, z wyspy Utopii. Potępiasz mnie?

— Doprawdy... jakby to powiedzieć — zmieszał się pan Michał.

— Widzę, że potępiasz...

Prezes spuścił głowę.

— To jest przyglądam się z daleka — tłumaczył się pan Michał — może myślę się, myślę się zapewne...

Ale Lew Mierzejewski, jakby nie słyszał tych wyjaśnień. Spojrzał na zegarek, potem wstał i zęgnął się.

— Śpieszę na wieczorne posiedzenie — mówił — jeszcze spotkamy się panie Sewerynie, obaj weterani i emeryci.

Pan Michał zabierał się także do odejścia.

— Na posiedzenie? — Spytał prezes — wszakże warto! bratunek będzie miał odczyt. Numawiam.

— Żałuję bardzo, ale nie mogę... interes.

— Szkoda.

Wyszli jednak i szli duży kawał razem.

— Więc tak, po tylu latach! — zaczął na ulicy Mierzejewski — wyglądasz jeszcze młodo.

- Chciałem powiedzieć to samo.
- Przez grzeczność... patrz jakie włosy! życie...
- Życie!—powtórzył p. Michał.

W tym jednym wyrazie zamknęli to, czego nie mogli już wypowiedzieć sobie dzisiaj, niegdyś bracia, niegdyś druhy, teraz oddaleni od siebie obszarem długich lat, spędzonych w rozłące, teraz strzegący pilnie zawartych i zapieczętowanych drzwi, za którymi kryli swoje smutki. Od czasu do czasu ukradkiem przyglądali się sobie.

- Ożeniłeś się?—zapytał Mierzejewski.
- Nie.
- Samotny. A i ja, wiesz przecie.
- Wiem—szepnął p. Michał.

Gadali do siebie półsłówkami. Ongi w Wiedniu, gdzie pokochali siebie, gdzie spędzili trzy lata razem, rozmawiali inaczej. Wieczory i gorące noce schodziły im na spacerach, na walkach rozumnych, na gawędach. Im mniej podobni, im więcej rozbieżni, tembardziej garnęli się do siebie. Jeden był płomiennem marzeniem, górnem uczuciem, drugi—jasnym rozumem, spokojnem męstwem: jeden, zapatrzony w przeszłość, żył w krainie rojeń nieziszczalnych, drugi—łamał się z bólem rzeczywistości, przemyślał nad zadaniem dnia teraźniejszego... jeden został na wyspie żalu, drugi dobił do brzegu pracy powszedniej...

Dziś jużby nie zrozumieli siebie... Lew Mierzejewski stracił w Wiedniu żonę, pan Michał poznał tam i pogrzebał pierwsze i ostatnie szczęście życia. Obu przypomniały się tamte pełne nadziei, urodzajne chwile.

- Tobie praca i chwata dają zadowolenie—rzekł p. Michał.
- Zmęczony już jestem—cicho odparł Mierzejewski. Zatrzymał się i, oparty na lasce, stał przy latarni na rogu dwu ulic. Zwiesił głowę.
- I przeszło życie—mówił po chwili—mieliśmy wspólną młodość, teraz—wspólna śmierć...

— Tak.

Było milczenie.

- Więc potępiasz mnie?—zaczął znowu Mierzejewski—szukając oczu towarzysza.
- Potępiać—nie. Myślę inaczej... wierzę w co innego...
- Wierzysz jeszcze po dawnemu?
- Nie po dawnemu... spostrzegłem nowe siły, o których jeszcze wówczas mowy nie było—niechętnie zwierzał się pan Michał—trzeba wierzyć, bo jakże bez tego... spełni się kiedyś sprawiedliwość.

Stali milcząc.

— Tu rozchodzimy się, prawda? — odezwał się Mierzejewski znużonym głosem — ja na posiedzenie, ty do marzeń... — uśmiechnął się blade — chciałbym znowu spotkać ciebie. Możebyśmy pogadali....

Uścisnęli sobie ręce. Lew Mierzejewski ruszył powoli w stronę sali Towarzystwa Rolniczego.

Pan Michał stał i patrzył, potem poszedł za nim.

Wszystkie wysokie, zasłonięte firankami okna Towarzystwa świeciły. Na płótnie firanki migały cienie, widać było przez jakąś szparę rząd krzeseł i rząd głów.

Pan Michał jął przechadzać się tam i z powrotem, jak szpieg, jak żołnierz na warcie. Było mu ciężko.

Najprzód Abram Perelman, potem szczęśliwy Stefan, Hanka, promienna i pałająca, Skibowski, złamany i gorzki, Lew Mierzejewski, dawny druch, Wiedeń, młodość... Niedole i radość, schyłek i wiosna... kontrasty... Było co rozważać.

Ale nie mógł wprzeć prądu myśli w jedno łożysko, ująć zawiłości uczuć. Smutek tkwił tu i tam — w uczuciach i w myślach.

Gdy Stefan zuchwale potrząsał przed nim niby maczugą zadowolaniem młodości i zdrowia, był zgorzony; przy Hance, która pokazywała mu szczęście swoje, rzekłbyś drgające serce na dłoni, oczadział na moment, odurzony — wymknęło się z piersi pragnienie, pragnienie — westchnienie, pragnienie — żal, pragnienie — tęsknota, powiew wiosenny zaszemrał w suchych konarach; — Lew Mierzejewski — daleka przeszłość, daleki poranek, wspomnienie zorzy dalekiej, dalekiej... Skibowski — niemoc i starość.

A teraz?

Spojrzał w niebo, gdzie gwarzyły już złote gwiazdy, jak gdyby szukał tam czegoś, jak gdyby wypatrywał odpowiedzi.

Na krańcach miasta gwiznął parowóz. W przeciągłym jęku było wołanie życia, wołanie w dal, w świat, był krzyk siły, wiecznie młodej, wiecznie niespokojnej, wciąż pędzącej przed siebie w nieskończonej za czemś pogoni... świst pociągu zawsze podniecał pana Michała. Chwycił go na chwilę dreszcz...

Ale zaraz stanęło przed nim, iż pociąg to dla niego tylko powrót do domu, do Fiokły, do sprzętów, do życia swojego...

Każdy ma tylko swoje życie, tak jak każdy ma tylko jedną twarz, jedną głowę, jedną postać, i każdy wraca do swego życia. Innego nie znaleźć! I niema takiego pociągu, któryby zawiózł człowieka do jego młodości!

Jęczący świst rozdzierał powietrze.

Mineły wszystkie nadzieje. Nie Hanka i nie Stefan, ale Skibowski, przybity, zapomniany, ale Lew Mierzejewski, smutny i samotny na swoim schyłku — to jego towarzysze. Między nimi trzeba mu być, z tymi, którzy kończą. Abram Perelman już skończył. Nie zniósł, nie wytrzymał — i odszedł. Każdy ma tylko jedno życie — swoje własne. Kto może, dźwiga, tak jak może. Jeden z goryczą, z gniewem, z trującym złorzeczeniem — Skibowski; drugi, ze spokojnym smutkiem, z mężnym wyrzeczeniem się, jako żmudny obowiązek na odpowiedzialnem stanowisku — Lew Mierzejewski; on sam... popioły nie zasnuły mu serca, duch nie uznał jarzma... Ale tamci dwaj mimo wszystko zadowoleni są z siebie (może mają do tego prawo) i z życia, uważając, iż spełnili zadanie, piastują poczucie doniosłości własnej. On — nie. Wydaje mu się, że przyszedł niepotrzebny, że mógłby nie być...

„Ja idę do pracy, ty — do marzeń“ — powiedział z uśmiechem Lew Mierzejewski. I dobrze mu jest z tą wiarą w „pracę.“ Praca! Pan Michał patrzył w wysokie jasne okna Towarzystwa, patrzył na rzędy krzesel i rzędy głów.

Jeśli jest gdzie praca — pomyślał — doniosła, praca urodzajna, praca przyszłości, to nie tu, w tym gmachu. Niewidzialnie kują jej młoty, niewidzialnie dźwiga się jej dzieło, nieznani są jej bohaterowie... Nie będąc uczestnikiem, uwierzył, przeczuł i umiłował. Dlatego był tu bezczynnym, gdyż tu jest sypanie okopów świętej Trójcy.

I zadumał się nad widzeniem dalekich czasów, nad widzeniem wyobraźni. Rozgrzały go na krótko obrazy wyśnione w odludnej samotności nad bibułą utopijnych druków, wykołysane w złotej kołysce przedświtowych marzeń... Zapomniał o własnym żalu, o codziennym chlebie własnego życia, który był suchy, czasami gorzki.

Ale im bliżej był hotelu, tem niżej spuszczał głowę. Ciężki to był dzień.

Zjechał do Ugodzina dla formalności przedślubnych, dla jakichś papierów, dla wizyty u dziekana i w kancelaryi marszałka, chodził, rumienił się przy każdej wzmiance o ślubie... Jutro znowu to samo...

...Tadzik!... dla niego...

Dzieło patrona Jackowskiego.

Dzień 16 marca r. b.—Wielka sala Bazarowa w Poznaniu natłoczona: głowa przy głowie, ramię przy ramieniu; — już nie starczyło krzesel, więc zwarta masa głów ludzkich, jak w święto w kościele, zalała przejścia pomiędzy rzędami krzesel, okoliła ściany. Precyzyjnie się niema sposobu. To są delegaci kółek włościańskich, gospodarze-chłopi wielkopolscy. Zjechali się do Poznania w liczbie około tysiąca, bo dorocznym zwyczajem chcą o sprawach gospodarczych wzajem się uczyć, nabrać myśli lepszej, zdrowej a jędrnej i zawieźć ją kółkom swoim, które ich delegowały. Za stołem prezydyalnym widzimy członków Towarzystwa Gospodarczego, z patronem kółek, Józefem Chłapowskim, i prezesem Towarzystwa, d-rem Tadeuszem Jackowskim, na czele. W liczbie wicepatronów za prezydyalnym stołem przeważa duchowieństwo. Ale myliłby się, ktoby sądził, że stany rozdzielone są, jakby symbolem, tem wywyższeniem, po za którem zasiedli kierownicy obrad. Nie, i zgoła nie. W ciżbie wielkiej, która jak fala salę Bazarową zalała, pomiędzy twarzami ogorzałemi od wiatru i słońca, często wygolonemi, pomiędzy twarzami chłopów wielkopolskich, widać tu i owdzie twarz większego właściciela. Radzą społem — to są sąsiedzi, którzy jedną karmicielkę mają.

I jedni i drudzy na mównicy stają, i jedni i drudzy o wspólnej mówią niedoli. Tematów wskazuje porządek dzienny kilka. Przed chwilą skończyły się rozprawy nad użytecznością i sposobem stosowania nawozów sztucznych. Następuje drugi temat, przewidziany na porządku dziennym. Wechodzi na mównicę Kazimierz Burzyński, młody, czerstwy gospodarz, właściciel włości we wsi Podobowicach. Ma odczytać rozprawkę swoją na temat: „O ile żona może przysporzyć dochodu w gospodarstwie.“ Widać

że mu się dobrze dzieje, a i z tej właśnie żony, która „przysparza dochodu w gospodarstwie“ rad być musi, z postawy tryska życie, tryska jakaś chłopska moc „niedania się,“ idzie od niego siła i zdrowie z zagonów. Z pewnością tak samo dokładnie a szczerze orze na swem polu, jak do braci na tem zebraniu walnem przemawia. Orze pługiem już dobrze przez siebie doprawioną glebę; tu, w sali Bazarowej, również na rodzajnej glebie sieje zdrowe ziarno.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — od tego zaczyna. A z głębin tysiącznej piersi chłopskiej odezwał się pomruk siły: „na wieki.“ Ten chłop wie, co to są wieki, bo cierpiał wieki, a dziś czyni — na wieki!

„Z wielką obawą stawam — rozpoczął Burzyński — przed tak szanownem a licznem zgromadzeniem. Ja, prosty człowiek, bez żadnego wykształcenia, poraz pierwszy w swoim życiu mam publicznie przemawiać.“ Ale przemawiał rozumnie, treściwie i pięknie. Przebiegł wszystkie dziedziny, w których dobra żona stróżem jest i opiekunką domu. A wykazawszy, jak od żony zależy i ład w domu, i zaszczepianie zmysłu oszczędności w dzieciach, i umiejętne sprzedawanie produktów gospodarstwa domowego, i porządek w dobytku inwentarskim, i t. d. i t. d., w zakończeniu tak czytał ze swych notatek Burzyński: „Na ostatku jeszcze jedną cnotę chciałbym poruszyć, którą posiadać powinna dobra polska żona. Smutne, zaiste, dla nas nastąpiły czasy. Nasi najserdeczniejsi starają się nam wszelkimi sposobami za jakąkolwiek cenę wydrzeć z rąk naszych naszą najdroższą relikwię, chcą nas wyzbyć ziemi naszej. Kusiciele rozmaici zbliżają się teraz do nas i brzęczącą monetą kuszą wielu do zaprzędania swojej ojcowizny. O, błogo temu, który ma przy boku swoim dobrą, poczciwą żonę. Pokusa na złoto często tak już ludzi i przyciąga, że dobija mąż targu z podłymi szachrajami. Przychodzi do domu omaniony złotem i oznajmia żonie, że sprzedaje swe gospodarstwo, stara się jej wytłómaczyć, jak to będą teraz bogatymi. Ale tu zabiera dopiero głos dobra, poczciwa żona; stara się najpierw łagodnym sposobem odwieść męża od tak niecnego czynu, wystawia mu, jak wielka hańba spoczywałaby na ich rodzinie, jak sąsiedzi i cały naród rzuciłby słuszne na nich potępienie. A jeżeli łagodny ten sposób nie skutkuje, to dobra, uczciwa żona polska będzie się umiała zdobyć na wcale niespodziewaną energię; luknie pięścią w stół albo w kark swego męża i powie: a wara ci do naszego gospodarstwa, ono jest zarazem i moje, wpierw chyba mnie pochowasz, zanim mój podpis na tak hańbiącą sprzedaż otrzymasz.

Szanowni Panowie delegaci, kochani bracia wiarusy — mówił dalej dosłownie Burzyński — przekonany jestem, że tu niema w tem wielce szanownem zgromadzeniu ani jednego, któryby miał zamiar w ten sposób ojcowiznę swoją zaprzepaścić, bo tacy tu nieprzychodzą i na zebrania nasze rolnicze nie uczęszczają. My zato przyrzeczmy sobie, że nigdy, przenigdy, talary takie nie splamią naszych rąk, ani naszego uczciwego mienia. Pamiętajmy bowiem, że tyle naszego życia, ile zatrzymanej ziemi. Dlatego pracujmy tem pilniej, tem skrzętniej, tem rozumniej, na glebie naszej, uczajmy się wzajemnie tak, iż nietylko ani piędzi tej drogiej ziemi naszej nie utracimy, ale włości nasze rozszerzymy i powiększymy.“

Skończył. A z głębin tysiącznej, słuchającej fali chłopskiej odezwał się głos: „Panie Boże zapłać — tak będzie na wieki.“

I rozpoczęła się dyskusya nad referatem odczytanym. A gdy wyczerpano przedmiot ten, w dalszym ciągu porządku dziennego wszedł na mównicę poseł Dziembowski i w jasnym wykładzie przedstawił całą krzywdę ekonomiczną, jaka stała się ludowi przez uchwalenie w sejmie pruskim noweli kolonizacyjnej, zakazującej w istocie rzeczy tworzenie nowych parceli. Długo następnie i wszechstronnie zebrani dyskutowali nad tą sprawą: radzili się, zapytywali, dawali projekty jak zmniejszyć tę krzywdę. A dyskusya była choć żywa, bo przedmiot jakby żelazo gorące przypiekał ranę, była jasna, przedmiotowa, a nadewszystko miłująca sprawę krajowe.

Bo chłop wielkopolski to obywatel kraju: obywatel rozumiejący swe zadania i swe obowiązki, to sąsiad a nie służbista. Miałem możność, w kilka dni potem, w gościnie u jednego z większych właścicieli ziemskich, przodującego w kraju poczuciem dobra publicznego, być przypadkowo obecnym na naradzie członków pobliskiej spółki drenarskiej. Aż serce rosło, słysząc rozumne rozprawy wielkopolskich chłopów. Ani cienia nieufności do sąsiada, wielkiego właściciela ziemskiego, ale też ani cienia służalstwa. Jest tylko głębokie i prawdziwe uobywatelnienie.

*

*

*

I jak się to stało? Jak to się stało, że ten chłop, który do tak niedawna był tak rozpacznie ciemny i rozpacznie nieuspo-

łeczniomy, dziś stał się obywatelem kraju. Jak się to stało, że ten chłop, który lat temu sześćdziesiąt zakasywał rękawy do rzezi, dziś zakasał rękawy do pracy wspólnej, rozumnej, miłującej sprawę? Jak się to stało? Stała się dziwna metamorfoza. Wygląd gospodarstw włościańskich w ciągu lat trzydziestu zmienił się poprostu nie do poznania. W jednym z roczników kółek taki znajdujemy obraz gospodarstw z przed trzydziestu laty: „...była trzypolówka z czarnym ugorem, na którym mizerne bydełko, świnie i owce razem chudą trawkę skubały. Uprawa była miałka 3 do 4 cali. Gospodarze żałowali ziemi na rowy, a o drenach dopiero słuchy zaczynały dochodzić, stąd też ziemie ciężkie, zawsze wilgotne, zimne, pokrywały swe zagony mietlicą, modrakiem, kąkołem, maczkciem, kostrzewą, a pomiędzy nimi tu i owdzie kłosa zboża się kołysały. Kartofli, jeśli nie wygniły, najwięcej 30 do 40 szefli sprzątano; tak samo i zboża 3 do 5 szefli sprzątano. Prócz mieszaniny owsa z wyką żadnych innych roślin pastewnych nie znano, koniczyna do osobliwości należała. Narzędzia do uprawy roli liche, pługi stare polskie, rzadko gdzie dawniejsze małe od nich lepsze, wrześnińskie, brony drewniane, radła zwykłe tępe, zostawiały pasy ziemi surowe na plantacye perzu. Zboża do siewu nie zmieniano, siano zawsze to samo. Zasiwy jare były późne, a ozime przeciągały się aż do mrozów¹⁾.”

A dziś? Dziś włościanie wielkopolscy mają już wydrenowanych z górą 200000 morgów roli, pozaprowadzali wzorowe irygacye łąk, zużywają rocznie około 300000 cetn. nawozów sztucznych, uprawę roli mają doskonałą, posilkują się ulepszonymi narzędziami, tak np. samych siewników rządowych posiadają 2100, mają dobrą rasę czarno-białą nizinną bydła, dla którego sprowadzają około 25000 centn. paszy, 1700 separatorów odtluszcza to mleko w spółkowych mleczarniach włościan i t. d. i t. d. Zdaje się — jeśli mowa o naszym polskim chłopie — że to obraz z bajki. A jednak to rzeczywistość.

I jak się to stało? I kiedy się to stało? To skutki spółek włościańskich. To dzieło patrona ś. p. Maksymiliana Jackowskiego.

*

*

*

¹⁾ M. Jackowski: „Powstanie Instytucyi kółek rolniczych” (Rocznik kółek, XXIV).

Dwa pomniki w Wielkopolsce — trwalsze od spiżowego pomnika żelaznego księcia w Poznaniu — wznoszą się w umysłach i sercach, pomniki żywego dzieła: Marcinkowskiego i Jackowskiego. W czasie, gdy naród po ciężkich szamotaniach się ducha, myśli i sił, rozbity był i, zdawało się, w otchłań rozpaczłą pograżon, ci dwaj, wcielając w czyn myśl wieczną narodu, ze zwątpienia otrząsnawszy się, zakasawszy rękawy, zabrali się do organicznej pracy. Potężnym tym budownikom lepszej przyszłości pobudką była miłość i wiara w siły wewnętrzne skołatanego społeczeństwa. Sięgnęli w głąb duszy powszechnej i stworzyli wielkopomne dzieło. Marcinkowski uobywatelił w Wielkopolsce lud miejski, Jackowski — sfery rolnicze. Dla skołatanego, rozbitego społeczeństwa byli opatrnościowymi mistrzami organicznej pracy. A to ma do siebie organiczna praca u podstaw, że wytrwale i ciągle prowadzona, staje się odrodzeniem.

Spółczeństwo po długim szamotaniu się, po wielkich paroksyzmach, które co lat kilkanaście dawały wyraz rozpaczego bólu, wpadło w odrętwienie. Zwątpienie coraz głębiej wsączało się w duszę. Ta rdza zaczęła się sadowić na najszlachetniejszym kruszcu, bo część znaczna społeczeństwa uchyliła się od wszelkiej pracy, resztę trawiły walki partyjne. Była chwila, w której zdawało się, iż właśnie w walce ciągłej stronnictw jest życie samo. Zapomniano o tem, że stronnictwa — w normalnym biegu społeczeństw — wyźlabiają jeno pewne formy, które jednak nie są treścią jeszcze życia samego. Treścią zawsze i wszędzie jest praca wewnętrzna.

Tej nie było zgoła. Ale nie było jej tylko przez czas jakiś. Ta odwieczna potrzeba przycichła tylko napozór w chwilach paroksyzmu — i będąc odczuciem stałem, znowu się zbudziła.

Połowa wczoraj minionego stulecia znamienne u nas we wszystkich dzielnicach posiada cechy. Jestto właśnie odczucie potrzeby zwrócenia uwagi na pracę wewnętrzną. Wyrazem tej konieczności w Wielkopolsce było, między innymi, założenie w r. 1851 powiatowych towarzystw rolniczych w Środzie, Gnieźnie i Wrzesznie. Gdy te organizacje i w innych powiatach powstawać zaczęły, zrozumiano potrzebę połączenia tych wysiłków w jedno ognisko: w r. 1861 powstaje w Poznaniu Centralne Towarzystwo Rolnicze. I znowu nastął paroksyzm, który przerwał na chwilę robotę. Ale na chwilę tylko. Bo wnet ruch począł się na nowo, ożywiło się znowu Towarzystwo Rolnicze, a pierwszym pięknym wyrazem tego ruchu, było utworzenie przez Augusta Cieszkowskiego szkoły rolniczej w Żabikowie. Wszystkie prace, wszystkie

najlepsze zabiegi — nieliczne zrazu, lecz mnożące się z dniem każdym — ogniskowało Centralne Towarzystwo Rolnicze.

Doszła do wiadomości Towarzystwa wiadomość ciekawa. Oto dowiedziano się, że w Prusach Zachodnich założył w Piasiecznie, włościanin, gbur, Julian Kraziewicz, dla swej braci gburów, towarzystwo rolnicze. A gdy to towarzystwo gburów wzrosło do 400 członków, rozdzielono je na kółka parafialne, aby tem snadniej i sprawniej działać i pracować mogły¹⁾. Ale nie dość na tem; dowiedziano się w Centralnem Towarzystwie Rolniczem jeszcze o czemś innym. Oto się dowiedziano, że wyczytał w „Przyjacielu Ludu“ o tych kółkach w Prusach Zachodnich, gospodarz z Księginek, Dyonizy Stasiak, i że zaczął brać się do rzeczy. Gdy sam sobie z tą sprawą poradzić nie umiał, zwrócił się do swego proboszcza, ks. Wiśniewskiego w Dolsku, zwierzył się ze swych zamiarów i o radę i słowo dobre prosił. Ks. Wiśniewski zamiar pochwalił i poparł, zawezwał do pomocy okolicznych dwu obywateli (Juliana Bukowieckiego z Mszczyna i Konstantego Szanieckiego z Miedzychodu). Podali sobie dłonie i razem stworzyli pierwsze kółko rolnicze. A że bez żadnych ubocznych stało się to celów, lecz przewodziła tej robocie szczerą chęć wspólnej pracy, więc tą chęcią spojona ta pierwsza komórka pracy, plon wydała obfity.

Nie obyło się jednak bez znacznych nawet trudności. Podejrzliwość z jednej strony, opieszałość z drugiej hamowały mnożenie się tych ośrodków kultury. W przeciągu pierwszych lat przybyło zaledwo dziesięć kółek²⁾.

Centralne Towarzystwo Rolnicze ogólne podniesienie kultury rolnej za cel zabiegów swoich upatrując, poleciło w r. 1869 filialnym towarzystwom powiatowym opiekę nad nowopowstającymi temi ogniskami pracy. Delegowano do tych spraw Jackowskiego. Ale jak sam Jackowski zaznacza w jednym z pism swoich³⁾: „procedura ta, mająca za sobą dane w teoryi, okazała się w praktyce nieużyteczną, dlatego, że mieściła w sobie grę słów, których słuchano wprawdzie, lecz nie wykonywano. Po czterech latach gorących mów i niemniej strzelistych odezw, przybyły z wielkim mozołem trzy kółka; powstało ich wprawdzie więcej, lecz krótki

¹⁾ Cf. brosz. dr. Lebińskiego: „Kółka roln. włośc.“

²⁾ W Chelmeach, Konojadzie, Kórniku, Szczepanowie, Żuinie, Jutrosinie, Łojewie, Nielegowie, Górczynie, Sremie.

³⁾ Op. cit.

był ich żywot, po roku a najdalej dwóch, rozpadały się, już to dla nieumiejętnego ich prowadzenia, już też dla braku zamiłowania sprawy.“

Wówczas powzięło Towarzystwo Rolnicze myśl wejścia w porozumienie z kimś ktoby był płatnym nauczycielem wędrownym. Taki podróżujący nauczyciel rolniczy miałby za obowiązek jeżdżenie po Księstwie, zakładanie kółek, miewanie na zebraniach kółkowych odczytów nauczających. Ale — zdarza się to częstokroć — nieoczekiwanie nieraz, poprostu z nastroju chwili wytryska myśl, która niebawem w olbrzymi czyn się przyobleka. Tak było i tym razem. Przywiedzmy słowa samego Jackowskiego, który ten fakt tak opowiada ¹⁾: „Nie widząc innego środka zapewnienia kółkom powodzenia, jak przez wędrującego nauczyciela, byłem przygotowany dać głos na niego, jeśliby kandydat zasługiwał na zaufanie... Ten, którego przedstawiono, posiadał kwalifikację naukową, lecz konduita jego moralna była zamazana... Gdy usłyszałem jego nazwisko, zadrżałem w duszy, ogarnęła mnie trwoga o los kółek, aby niepowołane ręce nie zbrukały ich czystej idei i nie zgotowały śmierci w zarodzie. Nie namyślając się podsunąłem ś. p. Julianowi Bukowieckiemu, ażeby oznajmił walnemu zebraniu, że gotów jestem zająć się kółkami i to własnym sumptem. Zdecydowała o losie kółek jedna chwila, i stało się to, na co nikt nie był przygotowany, o czym ja sam nawet nie marzyłem, a stało się to bez wszelkiej agitacji, bez długich narad, poprzedzających ważne postanowienia, w przebiegającym myśl momencie: za czyją sprawą? Oto woli wyższej, której poddaliśmy się wszyscy bezwiednie, i która odtąd niewidzialną ręką kółka prowadzi. Na przedstawienie ś. p. Bukowieckiego, walne zebranie bez dyskusji powierzyło mej opiece kółka rolnicze i obdarzyło mnie tytułem patrona. Wiedząc, że nie mógłbym sprostać obowiązkowi, przyłączonym do tego tytułu, podziękowałem za niego i oświadczyłem, że moje osobiste i publiczne sprawy nie pozwalają mi chwilowo oddać się kółkom z całym poświęceniem czasu, będę się jednak zajmował rozkrzewieniem ich wedle możliwości, przy pomocy Towarzystw Rolniczych filialnych.“

Taką jest relacya patrona o chwili znamiennej i decydującej. Tak jest, częstokroć chwile zupełnie nieoczekiwane i nieprzewidziane decydują o wielkiej sprawie: dzieje się to wówczas, gdy jest sprawa wyrazem dążeń ogólnych.

¹⁾ Op. cit.

Nie wiele zrazu pociechy z pomocy towarzystw filialnych miał Jackowski. Tu energii osobistej a nie machiny biurokracyjnej potrzeba było. Zaaapelowwał więc patron nie do instytucyi, ale do ludzi dobrej woli, apelował sam, osobiście, ciągle jeżdżąc po Księstwie i organizując kółka. I oto rezultatem tej żywotności i niespożytości patrona było to, że już w czerwcu 1874 roku mógł się patron pochwalić na walnem zebraniu 45 kółkami. A dalej? W roku następnym było już kółek 61, w 1876 r. — 74 i t. d. Liczba rosła z rokiem każdym. Po dwudziestu pięciu latach istnienia, w r. 1898 liczono już 197 kółek. Ale dalekim był patron od pochwał, które tylko energię hamują. Zdając sprawę z dwudziestopięciolecia i cyfrę 197 kółek podając¹⁾, zaznacza: „Mogłoby ich stanąć więcej, gdyby mniej było samolubstwa i zacofania przestarzałego, a za to obficie ofiarności i poświęcenia.“

Dziś posiada Księstwo 276 kółek włościańskich z liczbą członków 12100.

*

*

*

Jak się kółka rządzą i co czynią?

Organizację kółek zaprojektował jeszcze w r. 1874 patron Jackowski. Organizację tę potwierdziło walne zebranie Towarzystwa Rolniczego w dniu 21 maja 1876 r. Z bardzo niewielkimi zmianami przetrwała do dnia dzisiejszego. Nie mają kółka formalnych statutów, zatwierdzonych przez rząd. Są to ugrupowania ludzi dobrej woli, którzy radzą nad wspólnymi sprawami. „Pojedyncze kółka rolnicze — pisze Jackowski w jednym ze swoich sprawozdań — spaja siła moralna wpływem wspólnego zaufania i zgody... do jej utrzymania przyczynia się głównie wykluczenie z programu polityki, jako niemającej nic wspólnego z pracą naszą organiczną. Poczucie solidarności w kierunku programowym jest tak silne, że chociaż do kółek należą hołdujący sprzecznym systemom i przekonaniom, to jednakże dobra harmonia zgrzytem dysonacji zepsuta nie bywa.“

Nie jest kółko żadną osobą cywilną nawet. Nie zawiera więc ani umów, ani kontraktów, ani nie przyjmuje zobowiązań

¹⁾ Op. cit.

cywilnych. Jeżeli członkowie kółek postanawiają uczynić jakiś zakup wspólnie nasion, zbóż, czy maszyn rolniczych, czyni się to na rachunek jednego z członków kółka indywidualnie. Często służy ku temu kredyt osobisty prezesa kółka. Nad całą organizacją kółek pieczę ma „patron.“ Przez długie, długie a owocne lata patronat piastował Jackowski. To było powołaniem pięknej i wiekopomnej tej postaci. Piastował godność z dostojeństwem, świadom swych celów, zadań i świadom swej roli. A gdy wiek podeszły wykonywanie trudnych i zmuśnych obowiązków utrudnił, oddał piękny starzec wodze tej instytucji Józefowi Chłapowskiemu, czuwał jednak aż do ostatnich chwil żywota swego nad ukochaną instytucją.

Kółka odbywają swe posiedzenia przynajmniej raz na miesiąc. Na zebraniach tych jeden z członków kółka, często sam patron lub zastępujący go wicepatron mają pogadanki z dziedziny spraw dotyczących gospodarstwa włościańskiego. Dyskusja rozumna, szczerą a prawą, rzeczy wyświeśla i uzupełnia.

Wreszcie dodać należy, iż w ostatnich czasach w celu łatwiejszego wykonywania opieki i kontroli nad poszczególnymi kółkami zaprowadzono instytucję wicepatronów. Każdemu wicepatronowi powierzono pieczę nad kółkami jednego powiatu.

Łączność i przynależność kółek z ich macierzą, z Towarzystwem Gospodarczym, wyraża się tem, iż biorą udział członkowie kółek w zebraniach powiatowych Towarzystwa, oraz przysyłają delegatów swoich na walne zebrania Towarzystwa do Poznania.

Jak się zawiązuje kółko? Fundamentem i cementem jest dobra wola jednostek. Kilka lub kilkanaście jednostek z jednej wsi lub parafii zwykle wskutek inicjatywy sąsiada obywatela ziemskiego lub proboszcza, a jak obecnie bardzo często za inicjatywą jednego ze światlejszych gospodarzy, jako wyraz pragnienia wspólnej pracy, podpisują dokument w ogólnych zarysach omawiający cel i zadanie kółka. Z dokumentu ¹⁾ takiego widzimy iż głównym i jedynym celem kółka jest podniesienie rolnictwa we wszystkich gałęziach gospodarstwa. Kółko składa się z członków rzeczywistych i honorowych, wodzami zaś kółka są: zgromadzenie członków rzeczywistych i zarząd. Dalej, dowiadujemy się z takiego dokumentu, iż każdy członek rzeczywisty ma przede wszystkim obowiązek uczęszczania regularnie na zebrania kółek. Nadto obowiązany jest opłacać co kwartał dobrowolną, zawyczaj minimalną, składkę, wreszcie obowiązany jest do przyje-

¹⁾ Cf. Rocznik kółek XXXI. Poznań 1905, str. XV i nast.

cia ewentualnego wyboru na urzędy w kółku. O przyjęciu lub odrzuceniu kandydata stanowi zarząd, bez wymieniania powodów swojej uchwały. Wystąpienie z kółka dozwolone jest każdemu każdej chwili, jednakże z utratą wszelkich praw do majątku kółka. Przewidziano również i wykluczenie z kółka. Wykluczonym więc być może, na wniosek zarządu, za zgodą zgromadzenia, członek, któryby przez rok nie uiścił dobrowolnie na siebie przyjętej składki, lub członek któryby się, zdaniem ogólnego zebrania, prowadził niemoralnie. Zgromadzenie, będąc najwyższą władzą kółka, stanowi o wszystkich sprawach bieżących zwyczajną większością głosów obecnych członków. Odbywa się ono co miesiąc w niedzielę po pierwszym, po ukończonem nabożeństwie o 1 w południe. Zgromadzenie to bierze udział w rozprawach naukowych i w naradach nad sprawami administracyjnymi kółka, wysłuchuje sprawozdania i wniosków Zarządu i o takowych ostatecznie orzeka, ma prawo rewidowania kasy i rachunków kółka, wreszcie wybiera członków Zarządu. Zarząd składa się z prezesa, wiceprezesa, sekretarza, skarbnika i trzech członków. Wszystkie urzędy są bezpłatne.

Takie są zwykle osnovy aktów erekcyjnych, które tylko za zgodą $\frac{2}{3}$ głosów zgromadzenia zmienione być mogą. Proste to są dokumenty, prymitywne niemal, ale bo też tam gdzie jest istotna robota, nie o formy chodzi. A że robota i zajęcie się sprawami jest, świadczy o tem choćby ta tylko okoliczność, że o wykluczeniu członka niemoralnego stanowi zwykła większość obecnych głosów. Dowodzi to, że widocznie zazwyczaj wszyscy członkowie są na zgromadzeniu obecni, a więc żywo się sprawami interesować muszą. Z drugiej zaś strony, dyspozycya ta, dobrowolnie i skwapliwie, jak wszystkie zresztą, przyjmowana, świadczy wyraźnie, iż kółko jest jakby jedną większą rodziną parafii czy wsi, związaną z sobą najściślej wspólną pracą na zagonie, wspólnemi myślami i dążeniami. I tu właśnie szukać należy przyczyn tej mocy. Zbudowano gmach wspaniały, bo fundamenty są trwałe i niewzruszone.

Mają kółka swój „program.“ Ale nie program polityczny. Ot poprostu w programie tym napisanym jasno i trzeźwo, tak jak jasno i trzeźwo umysł chłopski rozumie, czytamy,¹⁾ że zadaniem kółek „pouczać członków na zebraniach we wszystkich działach gospodarstwa wiejskiego, która to nauka, ażeby nie przywy-

1) Cf. ibid. str. XI i nast.

kłe do niej umysły zająć i uwagę ich przez dłuższy czas do przedmiotu przywiązać mogła, ma być w sposób jasny, zrozumiałą udzielaną i podnosi się stopniowo. Początkowo wystarczy, jeżeli na posiedzeniach przypomną się członkom prace gospodarcze w porze zebrania przypadające i poda odpowiednie wskazówki do ich łatwiejszego i doskonalszego wykonywania służące.“ Tu widzimy przykłady, co na pierwszy plan wysuwać należy. A więc trzeba mówić o urządzeniu podwórza, o sposobach utrzymania zboża i nasion w spichlerzu, o uprawie roli, o użyciu właściwym nawozów, o żywieniu inwentarza, o wyrabianiu nabiału, o pszczelnictwie, sadownictwie, o tem jak się należy obchodzić z narzędziami rolniczemi, jakie narzędzia kupować i t. d. W zakres zadania kółek — mówi program w paragrafie czwartym — wchodzi wyjaśnianie kwestyj ekonomicznych, a mianowicie dwóch najgłówniejszych: pracy i oszczędności, a nadto obznajmianie członków ze stosunkami handlowemi, ze sprzedażą zboża podług wagi, z kwestyami prawnohypotecznemi i t. d. „W celu wypośrodkowania — czytamy dalej w „programie“ — o ile członkowie korzystają z udzielanych na zebraniach nauk i starają się takowe w swych gospodarstwach zastosować, od czasu do czasu zwiedzają wybrane z grona kółka komisye gospodarstwa członków oraz urządzone są wystawy inwentarzy, płodów, narzędzi rolniczych, jako też próby orki.“ W paragrafie jedenastym czytamy: w zakres programu wreszcie wchodzi: pośredniczenie w zakupnie dla członków wszelkich nasion i narzędzi gospodarczych, nawozów sztucznych, węgla, soli, żelaza, wszelkich zgoła przedmiotów dla gospodarza przydatnych.

Z samej redakcyi „programu“ widzimy, że sprawy pośrednictwa handlowego nie są osiłą kółek. Jak zaznaczyliśmy, pośrednictwo to czyni się dzięki kredytom poszczególnych osób kółka, które same w sobie nie stanowi osoby firmowo-cywilnej. W obecnych dopiero czasach, gdy się i interesy finansowe właścian rozmogły uznano za konieczne do przystąpienia i rozwiązania tej kwestyi. Po powiatach tworzą się nowe instytucye pośredniczące, coś w rodzaju syndykatów spożywczych dla kółek. Nazywają się „Rolnikami.“ „Rolników“ takich posiada już księstwo kilka. Powstają coraz to nowe, a powstają z odczucia potrzeby różnych grup kółek danej okolicy.

W takich formach takiego prostego programu rządzą się kółka.

A co czynią?

Streśćmy ostatnie sprawozdanie patronatu za rok 1904.

Jak już zaznaczyliśmy posiada księstwo obecnie 276 kółek, do których należy łącznie 12,100, wyraźnie dwanaście tysięcy sto członków. Rozrzucone są po całym księstwie. Do ostatniej tylko chwili południowo-zachodnie krańce księstwa nie posiadały kółek. W ubiegłym jednak roku i tu powstały dwa kółka: założył je w powiecie wschowskim ks. Mojżkiewicz.

Do kółek należą wszyscy. Nie ma tu stanowości ani kastowości żadnej. Są to więc, ściślej mówiąc, nie kółka włościańskie, ale kółka rolnicze. Włościańskimi je jednak nazwać w istocie rzeczy można, gdyż przewaga członków do stanu włościańskiego należy, a, prócz tego, głównym ich celem i zadaniem jest właśnie podniesienie kultury włościańskiej. W dwustu siedmdziesięciu sześciu kółkach, 84 prezesów należy do stanu duchownego, 107 jest obywateli większych właścicieli ziemskich, 85 włościan. „Gdy doliczymy—mówił patron Chłapowski na zebraniu walnem¹⁾—trzech wicepatronów ze stanu duchownego i wszystkich tych kapłanów, którzy jako wiceprezesowie honorowi, prezesowie lub opiekunowie kółkami się zajmują, dojdziemy do wniosku, że główna praca w kółkach i główna zasługa na duchowieństwie naszym polega i że w całym księstwie ledwie na palcach policzyć można tych duchownych, którzy się zdala od kółek trzymają.“

A pracują kółka z energią niespożyta. Cyfr trochę. Odbity kółka łącznie w ciągu roku sprawozdawczego 2600 miesięcznych zebrań kółkowych i 26 powiatowych. W zebraniach powiatowych łącznie było z górą 5000 delegatów kółkowych. Na niektórych zebraniach było po 300 osób, a nawet i więcej. Na wszystkich tych zebraniach odczytywano fachowe referaty. „Odnaczały się one — czytamy w sprawozdaniu patronatu — ścisłością treści i zupełnie udatną formą, tak że wiele z nich patronat postanowił drukować i pomiędzy członków rozprzestrzeniać. Wielki postęp jest w dyskusyi, mianowicie w tych okolicach, gdzie kółka już dawno istnieją: gospodarze zabierają głos śmiało i w zupełnie poprawnej formie zdanie swoje wygłaszają.“

O rozwoju i podniesieniu się ogólnego stanu kultury gospodarstw członków kółek świadczy wiele faktów znamiennych. Oto w roku zeszłym np., jak zaznaczyliśmy, zużyli członkowie kółek około 300,000 cetn. nawozów sztucznych, posiadają 200,000 morgów wydrenowanych gruntów, w dwunastu kółkach członkowie należą do spółek melioracyjnych nawadniania łąk.

1) „Sprawozdanie patronatu za rok 1904“ — Poznań 1905, str. 8.

Dalej stwierdza patronat, że uprawa roli jest wszędzie doskonała i starauna, narzędzia rolnicze wszędzie znakomite, ulepszone. Samych siewników rządowych posiada 12000 członków kółek. Chów bydła, który był najszabszą stroną gospodarstw włościańskich w Poznańskim, poprawił się jednak znacznie. Najbardziej rozpowszechnioną jest rasa czarno-biała nizinna, jako najbardziej podatna do warunków miejscowych klimatycznych. Rawicki tylko powiat posiada rasę śląską, na Kujawach zaś przeważają simentalery. Dla chowu bydła sprowadzili członkowie kółek w roku zeszłym około 25000 cetn. paszy. To też i mleczarstwo stoi bardzo wysoko: 1700 separatorów odfuszcza mleko, a przeszło stu członków kółek odstawia mleko do spółkowych mleczarni.

Chów koni stoi wysoko. Prowadzony jest jednak tylko w kierunku dostarczania koni dla wojska. Krzyżowanie z końmi zimno-krwistymi, choć bardzo dobre konie robocze wydaje, jest tylko w niektórych okolicach zaprowadzone, tam mianowicie, gdzie mają zimnokrwistego ogiera.

Przykładów znacznego podniesienia kultury rolnej w zagrodach włościańskich przez wpływ kółek rolniczych, można wymienił bez liku. Nie mogło być zresztą inaczej, sam rozwój i zainteresowanie się kółkami świadczy, że instytucya ta zapuściła głęboko korzenie w życiu wytwórczem mniejszej własności rolnej. A co za tem idzie, podniósł się cały poziom ekonomiczny, uszlachetniły się i ozdrowiały stosunki kredytowe. „Członkowie kółek — czytamy w ostatniem sprawozdaniu — nie potrzebują się zapożyczać u małomiasteczkowych lichwiarzy, gdyż w każdym miasteczku, a nawet w kilkunastu większych wsiach, egzystują spółki pożyczkowe tak znakomicie przez ks. Wawrzyniaka prowadzone, że w każdym położeniu zaspakajają potrzeby pieniężne.“

A oprócz tych rezultatów podniesienia ekonomicznej kultury, widzimy dowody świadczące o znakomitych i pięknych owocach podniesienia kultury duchowej. Tak naprzykład wszystkie, z wyjątkiem jednego, kółka rolnicze pozaprowadzały u siebie sądy polubowne, które w pierwszej instancji—i zazwyczaj w ostatniej—rozstrzygają spory wynikłe pomiędzy członkami kółka. Tak więc jest w stanie nasz wieśniak wyzbyć się jednego z większych nągów: pieniactwa.

Nad całym tym nastrojem umysłowej kultury i fachowej wiedzy rolniczej wśród członków kółek, czuwa organ kółek „Poradnik“ redagowany przez sekretarza patronatu p. Kazimierza Brownsforda. Należy to pismo do tych rzadkich pism polskich, które się bez subwencyi obchodzą zupełnie. To samo już świadczy o wziętości,

a więc i wartości, pisma. Przy „Poradniku“ wychodzi „Kalendarz“ którego 4200 egzemplarzy rozeszło się w roku ubiegłym śród członków kółek. Pomimo to patronat uważa, iż cyfra to zamała: „takie wydawnictwo, powinno być tak rozpowszechnione, by każdy członek miał jeden egzemplarz,“ a to dlatego, iż w „Kalendarzu“ między innymi znajdują się wskazówki, jak rachunkowość prowadzić należy, a ta „pozostawia jeszcze wiele do życzenia.“ Piękne żądania i szlachetne dążenia. My ze swej strony dodamy, że gdyby już nie wszyscy, ale choćby tylko czwarta część tych, którzy kupili „Kalendarz“ mieli u siebie rachunkowość rolną dobrze zaprowadzoną, to i tak będzie więcej tych wzorowych urzędzeń, niż śród większej własności w Królestwie!

Z kolei słów kilka o finansowej stronie. Wszakżeż, wydałoby się, dla osiągnięcia takich rezultatów, dla propagandy idei śród na pozór tak trudnych elementów, funduszów znacznych, oprócz energii osobistej, potrzeba. Otóż właśnie, że nie. Są wielkie kierunki, które wywołać można właśnie dzięki przedewszystkiem dobrej woli, energii i szczeremu oddaniu się sprawie. Tak i tu było. Środki pieniężne są bajecznie małe. Kapitał żelazny patronatu wynosi 10,300 marek, oprócz tego posiada patronat rocznej subwencji 750 marek od Centralnego Towarzystwa Gospodarskiego, 1500 marek od Spółki Bazarowej i wreszcie składkę po 5 marek od każdego kółka.

Jak zostały użyte te skromne fundusze?

Czytamy w sprawozdaniu: „starczyło na utrzymanie biura, bardzo obszerną korespondencją i rozmaite wydawnictwa patronatu. 1200 broszurek między kółka rozdano. Oprócz tego zakupił patronat 1000 broszur „O dojeniu i obchodzeniu się z krowami“ i 1000 broszur „o wzdęciu bydła,“ wydawnictwo z Cieszyna, oraz broszury o pszczelnictwie i sadownictwie. Na premiowanie wystaw udzielił patronat 1450 marek...“

*

*

*

W krótkiej notatce chodziło raczej o zaznaczenie ogólnych konturów tej instytucji, niż o wykazywanie wszystkich drobnych szczegółów i spraw dotyczących funkcjonowania kółek. Już

z uwydatnienia tych ogólnych konturów wnioski wyprowadzić się dadzą.

Stoimy wobec faktu dokonanego. Jest to fakt żywiołowy, znamienny. Uspołeczniono i uświadomiono chłopą polskiego. Dziś życie rolne w Księztwie Poznańskiem ma swe ciężenie, swą wagę, w zagrodach wieśniaczych. Społeczeństwo poznańskie, a przynajmniej jego formy gospodarcze, wytwórcze, zdemokratyzowały się.

A stało się to drogą ewolucyi, drogą poczucia obowiązków, drogą konieczności historycznej.

Demokratyzacya warunków pracy, demokratyzacya myśli, demokratyzacya życia całego, niewątpliwie jest największą zdobyczą ostatnich czasów. Jest podstawą rozwoju lepszej przyszłości. Tak jest niewątpliwie. Ale powinna się czynić tak właśnie, jak się dokonała w Księztwie: demokratyzm poszedł naprzód z góry. Warstwy uprzywilejowane zrozumiały, że czas już na zmiany zasadnicze, dążące do zdemokratyzowania się społeczeństwa.

Zapewne, na pierwszy rzut oka, pewne formy tego procesu jaki się odbył w Księztwie, poniekąd wydać się mogą dziwne. Boć nawet ów wyraz „patronat“ świadczy o pewnem zaprowadzeniu form patryarchalnych, w których dokonało się to przeobrażenie.

Ale instytucye ludzkie nie podług form, które koniecznością są często, lecz podług treści sądzone być powinny. Otóż większą własność rolną w Księztwie zrozumiała—i za to hołd jej i cześć—że do roboty na sąsiedzkim zagonie trzeba powołać dotychczas uśpione wojsko. A na to, aby te dłonie i głowy, dotąd słuchać tylko nawykłe, pracować mogły pożytecznie i obywatelsko, trzeba było je wyszkolić. I tu właśnie leży niepomierzna zasługa. Nie w zwięzieniu warsztatów, widzimy całą zasługę. Wszakże ustępowanie pod naporem wszechwładnych kierunków nie jest zasługą jeszcze. Ale zasługą jest przyczynienie się szczerze, bez ukrytych myśli, do wyszkolenia tych nowych zastępów, które łącznie stają w szeregu i przez to pogłębiają i rozszerzają pole narodowej pracy.

HENRYK RADZISZEWSKI.

SCHILLER.

(W setną rocznicę zgonu).

Nie mógł zaiste jubileusz Schillera w niestosowniejszej u nas wypaść chwili niż obecna. Gdy naród, do którego poeta należał, siłą i przemyślnością własną a słabością i nierozwagą obcą zdobywszy jedność i wielkość ojczyzny i państwa, u ościennych i dalszych ludów tylko chłodną niechęć budzi — jak ten świat ma wtórować jego hymnom na cześć zmarłego przed stu laty geniusza? A tembardziej: jak łączyć się z Niemcami tym, przeciwko którym ich siła i przemyślność zawsze się zwracała, dzisiaj z rosnącą z każdym dniem zaciętością, tem szkodliwszą, że nakładając jarzmo na swoich poddanych, jak może przeszkadza, by ich pobratymcom gdzieindziej nawet lepiej się nie działo. Czyż więc wolno dziwić się, że pierwszy odruch polskiego uczucia zżyma się dzisiaj na myśl o jakimkolwiek udziale w schillerowskich uroczystościach, które święcą się w tych dniach nietylko w Niemczech, ale i nad brzegami jeziora Czterech Kantonów, gdzie Tell na Gesslerze pomsty Nieba dokonał, i w Szkocyi, nad którą ongi Marya Stuart królowała, i we Francyi, niegdyś uratowanej ręką przez Boga kierowaną Dziewicy Orleańskiej...

Nie zawsze tak bywało. Gdy w r. 1859 nadeszła setna rocznica urodzin Schillera, obchodził ją hucznie, prawie hałaśliwie świat niemiecki, lecz i polskie społeczeństwo częściowo przynajmniej nie zapomniało o niej. Ciekawym jest z tego względu przegląd ówczesnych dzienników i czasopism polskich. Okazuje się bowiem z niego, że najżywcziwszą dla pamięci niemieckiego poety okazała się — Warszawa, najobojętniejszym — Kraków (gdy obecnie zapewne odwrotnie będzie). W stolicy Królestwa

Polskiego na długo przed dniem 10 listopada zastanawiano się nad urządzeniem uroczystości, powołano do jej obmyślenia osobne grono poważnych pisarzy i obywateli, między innymi Kraszewskiego, który „przyjął na siebie napisanie na tę uroczystość rozprawy o wpływie Schillera na literaturę polską,“ zbierano składki a wszelki wogóle dochód tworzył „żelazny fundusz, który szlachetne otrzymał przeznaczenie, pozostając w kraju dla wzbogacenia literatury naszej tworam, godnemi nieśmiertelnego wieszca,“ wreszcie w sam dzień rocznicy w największej sali reductowej dopełniono bogatego, na bardzo wysoką nutę nastrojonego programu, co więcej, jak *Kuryer warszawski* z r. 1859, źródło, z którego powyższe cytacye także pochodzą, donosi, po obchodzie w licznych zebraniach poszczególnych grup i towarzystw wznoszono gorące toasty na cześć Schillera, teatr zaś i w następnych dniach grał jego utwory. Od tego entuzjazmu chłodem odbija zachowanie się nie już zaboru pruskiego ale nawet Galicyi. Że we Lwowie w teatrze nie obeszło się bez uroczystego przedstawienia tej i owej tragedyi Schillera, to jest mało znaczącem, zważywszy, że stołeczne miasto Galicyi wówczas jeszcze dość niemieckich żywiołów i niemieckich tendencyj posiadało. Ale milczał Kraków, trzymał jakby umyślnie teatr pod zamknięciem, ba milczał nie tylko obojętnie, ale wprost niechętnie. Organ krakowskiej narodowej opinii *Czas* wobec uroczystości r. 1859 zajmuje stanowisko bardzo charakterystyczne: nie tylko sam ich nie obchodzi, ani do ich obchodzenia społeczeństwa nie namawia, lecz owszem od tego zamiaru, tam gdzie on był jeszcze w sferze myśli i planu, odwodzi, na dokonany patrzy z wyraźną niechęcią. Jcj wymownem świadectwem są wszystkie ówczesne literackie i nietylko literackie korespondencye, mniemają o to: ze Lwowa czy z Berlina, z Warszawy czy z Wiednia. O niemieckich festynach mówi się bądź lekceważąco, bądź złośliwie, w okrzyku na cześć Schillera słyszy się tylko polityczne hasło: „*vivat* Robert Blum!“, ów agitator i rewolucjonista, stracony w Wiedniu w r. 1848 dziewiątego listopada (więc w przeddzień rocznicy urodzin Schillera); w samej uroczystości widzi się zamysł polityczny, propagandę idei wielko-niemieckich, wrogich przedewszystkiem Austrii, stawia się sprawę nawet na tle przeciwieństwa protestantyzmu i katolicyzmu. A jak sarkastycznie pisze się o schillerowskich wiadomościach ze Lwowa, szczególnie zaś z Warszawy: np. „Bardzo to jest piękne, ale dość ambarasowne zadanie, gdyż chcąc być sprawiedliwym dla geniuszów wszystkich narodów i wieków, wypadłoby obchodzić rocznicę urodzin i śmierci poetów greckich i łacińskich, a i takiego Dan-

ta, Tassa, Szekspira, Rasyna, Woltera, Getego i t. d. a najbardziej lorda Bayrona, który daleko większy wpływ na naszą literaturę wywierał, jak Schiller.“

Przypomnienie tego stanu rzeczy przydatnem jest do uprzytomnienia sobie wielkiej różnicy, zachodzącej pomiędzy schillerowską rocznicą w r. 1859 a dzisiaj, nawet na samym gruncie niemieckim. Przed laty była ona do pewnego stopnia demonstracją polityczną, szczególnie w obrębie państw właściwej Rzeszy i sprzyjających im stronnictw w Austryi, obecnie ma się do czynienia z obchodem wyłącznie literackim i kulturalnym, któremu, jak do tej przynajmniej chwili, każda polityczna, nawet narodowa myśl obcą jest. Owszem, można dostrzedz nawet wprost przeciwnego stosunku rządowych kół do tej literackiej rocznicy. Oto zachowują się one wobec niej ostatecznie dość obojętnie, biorą w niej udział tylko w rozmiarach koniecznych, i tylko pod wpływem nacisku naukowych i literackich sfer. Przyczyna jest jasna: gdy w r. 1859 korzystano z dnia 10 listopada, by narodowi niemieckiemu jeszcze raz powtórzyć słowa umierającego pana von Attinghausen (z *Wilhelma Tella*) „Bądźcie w jedności, bądźcie w jedności!“, to dzień 9 maja 1905 chyba tylko w bardzo krewkich temperamentach austryackich „narodowców“ te myśli odnawia, gdzieindziej natomiast łatwo może, a po części się tak już stało, pokazać w błyskotliwym oświeceniu korowodów z pochodniami przepaść, jaka wierzenia, nadzieje, uczucia Schillera dzieli od przekonań, dążeń i postępów dzisiejszych Niemiec, tak w państwie, jak i w wiernie mu oddanej przeważnej większości narodu niemieckiego.

Gdy więc tegoroczna rocznica Schillera nie jest świętem politycznem, ani nawet wyłącznie narodowem, lecz ogólnie kulturalnem, i obcym narodom godzi się uprzytomnić, co znaczył on, co dał niegdyś Europie, a z nią i nam, co znaczy i co daje światu dzisiaj. Chwila do tego rozważenia sposobna, bo sto lat od zgonu poety minionych dostateczną jest podstawą sądu spokojnego a słusznego.

*

*

*

Założeniem wywodów niechaj będzie stwierdzenie faktu, którego istnienie każdemu jest świadomem. Oto wbrew pytaniu owego wspomnianego powyżej warszawskiego korespondenta *Czasu* czuje się powszechnie, iż bądźco bądź Schiller zawsze był nam bliższym i jest nim dzisiaj nawet, od wszystkich innych poetów obcych, „greckich i łacińskich a i takiego Danta, Tassa, Szekspira, Rasyna, Woltera, Getego, a nawet lorda Bayrona, który daleko większy wpływ na naszą literaturę wywierał, jak (!) Schiller.“ Niema w tem bynajmniej uprzedzenia na rzecz niemieckich poetów, bo Goethe np. znanym nam jest, czczonym przez nas, ale bliskim nam już nie jest. Niema również klasyfikacji wartościowej, bo przecież każdy Szekspirowi czy Dantemu przyzna bezwzględna nad Schillerem wyższość. Widocznie muszą być inne tego niewątpliwego faktu przyczyny, a ich wykrycie jest naszym bezpośrednim zadaniem.

Pierwsza z nich tkwi w życiu poety, kolejach jego losu, ściślej mówiąc w naszym powszechnem o nich wyobrażeniu. Pozornie jedno z drugim się nie łączy: jak może na sąd o poecie wpływać ta a nie inna forma zewnętrznego zarysu jego życia? Naturalnie, o ile chodzi o ocenę czysto estetyczną, nie wpływa na moje zdanie okoliczność, czy pisarz był szczęśliwym czy nieszczęśliwym, bogatym czy biednym, lekkomyślnym czy poważnym, samolubem czy altruistą. Jeśli jednak ze sfery estetyki przejdziemy w dziedzinę uczucia, gdy miasto chłodnego sądu artystycznego mieć będziemy bezpośredni, duchowy, niemal sercowy stosunek czytelnika do poety, to owe czynniki nabiorą pierwszorzędnego znaczenia. Przypominamy parę geniuszów, przed którymi świat równie nisko zgina kolana: Dante i Szekspir. Któryż z nich bliższy naszemu sercu? Oczywiście twórca *Boskiej Komedyi*. A czemu? Bo najprzód o życiu tamtego drugiego mało co wiemy, powtórne to co jest znanem, ma, mniejsza o to: pozornie czy rzeczywiście, w naszych oczach wygląd szary, powszedni, żeby nie powiedzieć trywialny. Przy Dantem natomiast odczuwamy całą dramatyczność, tragiczność jego losów, odbicie się w nich wielkich wypadków i wielkich, wzniosłych idei — i dlatego podziwiając go w jego dziełach, równie jak twórcę *Hamleta*, podziwiamy go, czcimy go, kochamy go w jego życiu. A teraz druga para: Goethe i Schiller. Że pierwszy jest umysłem potężniejszym, z tego wszyscy sobie zdajemy sprawę. A jednak myśląc o nim z należnym szacunkiem, daniny żywszych uczuć mu nie niesiemy. Czemu? bo utarło się, fałszywe zresztą mniemanie, jakoby Goethe był wyjątkowym okazem pieszczoszka szczęścia, tak, że w je-

go twórczości widzimy jedynie działanie natury, przywilej, który nas, zwolenników równości, prawie gniewa; utarło się także, podobnie fałszywe mniemanie, jakoby Goethe był zinnym, egoistą, dumnym Jowiszem, a nie człowiekiem. Dlatego rzesze ciekawych, pielgrzymujących do Weimaru, z chłodnym nabożeństwem zwiedzają pokoje jego domu, zamienionego na „Muzeum narodowe.“

W odmiennym nastroju przekracza się w tem samym turyngskim miasteczku próg skromnej kamieniczki, będącej — charakterystyczne! — własnością już tylko gminy weimarskiej, nie narodu niemieckiego. Z jaką rzewnością nawet chłodny wobec Niemiec obcy, stoi u wstępu do izdebki, w której dokonał Schiller życia, czy nie ze łzą w oku patrzy się na jego śmiertelne łożo, z lichych desek sklecone? Staje wtedy przed oczyma duszy krótkie pasmo dni jego żywota, jak on się istotnie rozwijał i jak go czuła wyobraźnia dawniejszych opowiadaczy nakreśliła, tradycją wzruszający obraz dalszym pokoleniom przekazując. Więc i skromne, prawie biedne, położenie rodziców poety, tak różne od zamożności i szerokości horyzontu w domu cesarskiego radcy Goethego, więc widzimy Fryderyka chorobliwym, z powodu rudych włosów prawie brzydkim chłopięciem, tak miłym w żywym temperamencie, tak ujmującem w wrodzonej nieśmiałości. Potem idą lata pobytu w szkole, nad którą zawisła ciężka ręka despotycznego księcia Karola Eugeniusza. Kogoż nie zajmie, nie wzruszy widok chłopca chowanego zdala od rodziny, w twardym rygorze internatu, przez którego grube mury przecież przenikały myśli i poezje Jana Jakóba Rousseau i młodego Goethego i wszystkich *Stürmerów*. Dalsze skrepowanie poety w mundurze lekarza pułkowego serdeczną sympatyę dla człowieka wzmacnia; w walce z księciem wszyscy po jego jesteśmy stronie, na ucieczkę ze Stuttgartu do Mannheimu patrzymy z zapartym oddechem: żeby się tylko udała, żeby Schillerowi szczęście przyniosła. Następnym kłopotom, zawodom, rozczarowaniom, troskom, aż do niedostatku i przygnębienia dochodzącym, towarzyszy powszechne współczucie. Ów list, który w r. 1784 nieznanymi poecie przyjaciółmi Körner, Huber i ich narzeczonymi nadesłali, pierwszy promień światła po długim okresie ciemności, jest zarazem jakby przesłanką dalekich sympatyj potomnych. Cieszą się oni z poprawy materialnego bytu Schillera, są duchowo jego družbami w wiejskim kościółku pod Jeną, gdzie poeta zawiera małżeński związek z Charlottą Lengefeld. W sztywnym zrazu stosunku do Goethego bierzemy raczej uczuciowo niż rozumowo stronę młodszego, mniej szczęśliwego, uboższego, bardziej nieśmiałego, pragniemy, by tamten bogatszy

w dobra doczesne, w sławę i zaszczyty, tanten ulubieniec Fortuny, pierwszy do Schillera rękę wyciągnął. I dobrze nam na widok pogody świecącej teraz nad domowem ogniskiem kochanego poety, smutno nam być poczyna, gdy jego zdrowie szwankuje, obawa katastrofy gromadzi nas u łoża śmiertelnie chorego, w tym tak zawstydzająco małym orszaku pogrzebowym nie brak nikogo z nas, oburza nas, że Schillera chowają w nocy, poćichu, jakby wyklętego czy zapowietrzonego, żal mamy do niebios, że nad żalobnym pochodem nie jaśnieją gwiazdami, lecz huczą wichrem i ulewnym deszczem, wyrzucamy sasko-weimarskiemu dworowi, że go w drodze na cmentarz niema, z bolesnym sarkazmem mówimy sobie na ucho, że niema i Goethego, nie wierząc, by był chorym; gdyby można, przeszkodziłibyśmy temu, by trumny z drogiemi szczątkami nie rzucano do wspólnego grobu, gdzie już jest kilkunastu nieboszczyków — ba, dzisiaj nawet, po tylu latach, będąc w Weimarze, mniej odczuwamy zadowolenia na widok wspaniałego sarkofagu w „książęcych grobowcach“ niż wstydu patrząc na miejsce pierwszego pogrzebania zwłok, które tu przeszło dwadzieścia lat z innemi trumnami się walały...

A tak cały przebieg losów poety, nawet po za kres jego życia, budzi we wrażliwem sercu głęboką sympatyę. W ten sposób powstała wzruszająca legenda o biednym Schillerze, biednym w znaczeniu materyalnym i przenośnym, bo nękanym kłopotami pieniężnymi, chorobliwością stałą, brakiem uznania u współczesnych i potomnych. Legendą trzeba to mniemanie w wielu razach nazwać, tak prawda istotna w niem bądź jest przekręconą, bądź jednostronnie lub przesadnie pojętą. Na dowód mały a bardzo charakterystyczny szczegół. Kogo w czasie odwiedzin domu Schillera w Weimarze nie wzruszył widok więcej niż skromnego umeblowania, kto np. brak wszelkich artystycznych ozdób, jak rzeźb, obrazów, nie tłumaczył niedostatkiem poety, kto nie dawał przy tej sposobności zjadliwego porównania z wykwintem, sybarytyzmem mieszkania Goethego? Tymczasem prawie przypadkowo niedawna przeszłość przyniosła inne, mniej rozculające wyjaśnienie owego ubóstwa. Oto pewna, wielka firma handlowa, trzymająca wina na składzie, obchodząc swój jubileusz, ogłosiła stare swe rachunki, z których okazało się, że nie tylko Goethe ale i Schiller byli stałymi jej odbiorcami i obaj weale pokaźne za dostawiony trunki zapłacili sumy. A więc Schiller nie był znowu takim nędzarzem, za jakiego go popularna legenda podaje, więc brak cenniejszych obrazów w jego mieszkaniu jest przyczyną nie pustej kieszeni — której znaczne co prawda zakupna win nie mogły prze-

cież do dna wyczerpać — lecz braku zamiłowania w sztuce. O tę trzeźwą prawdę nie dba jednak legenda, pod której wpływem jest i szkoła i popularna o Schillerze literatura, dwa czynniki działające wszerek i w głąb społeczeństwa.

Do tego umiłowania Schillera, jako człowieka i pisarza od losu raczej prześladowanego niż pieszczonego, przybywa pojęcie Schillera jako bezwzględnego idealisty, które jedna mu jeszcze ściślej serca, już poprzednio pozyskane. I temu momentowi należy śmiało w oczy spojrzeć, choćby może pod skalpelem analizy owo powszechne mniemanie częściowo zachwianem być miało. Mówiąc o idealizmie Schillera, zwykło się powoływać na wszystkie objawy jego twórczości, więc i na lirykę, i na dramat, i na rozprawy prozaiczne, zwłaszcza treści filozoficznej, etycznej i estetycznej. Takie postawienie i określenie kwestyi nie wytrzymuje jednak bezstronnej krytyki. Z wielu dowodów przytoczymy dwa. Kto Schillera uważa za bezwzględnego idealistę, w popularnem tego słowa znaczeniu t. j. za wyznawcę poglądu na świat, opartego na czci górnych ideałów, szlachetnych dążności i wiary optymistycznej w ich spełnienie, ten nie wie co począć z liryką młodzieńczą z okresu, kiedy poeta, wyzwoliwszy się z pod wpływu patetycznego Klopstocka, oddał się swawolnemu, często lubieżnemu Wielandowi, jako autorowi np. *Idris*. Wygodnie jest ignorować taki np. *Wóz Wenery* z r. 1781, by nie psuć sobie wyobrażenia Schillera, jako „szlachetnego idealisty“; sumienność nakazuje jednakże temu wierszowi przyznać równą innym wagę. A wtedy jego zmysłowość, nie żywiołowa ale lubieżna, w stylu francuskiej „pikanteryi“, nie da się jakoś pogodzić z twierdzeniem, jakoby Schiller był zawsze i wszędzie takim okazem „szlachetnego idealizmu.“ Silniejszym jest jeszcze argument drugi, z dalszych lat zaczerpnięty i odnoszący się do tak popularnej *Pieśni o dzwonie*, zgodnej z ogólnym ówczesnym światopoglądem poety. Czy jest tu istotnie ów osławiony „szlachetny idealizm“, czy jest on w ostatecznej, nad całym poematem królującej apoteozie niczem nienaruszonego pokoju, bezwzględnem potępieniu wojen, nawet wolnościowych? Jedni nazwą to kwietyzmem, inni legitymizmem, najżyźliwsi realizmem i trzeźwością, nikt nie śmie tego zwać „idealizmem“, bo jego hasło jest przecież: „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga!“ i „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił“, nie zaś „Heilige Ordnung“ i „Holder Friede“ i „Wenn sich die Völker selbst befreien Da kann die Wohlfahrt nicht gedeihen.“

Czy Schiller traci co na obaleniu tego popularnego a błędnego o nim mniemania? Chyba nie, bo wszak zbyt wielkim jest,

by prawda mogła mu być szkodliwą. Prawdziwem zaś będzie inne określenie jego filozoficznego i ogólnie duchowego stanowiska, a w tem określeniu będzie zarazem i trafniejsze od poprzedniego wyjaśnienie jego miłości. Bo gdyby Schiller istotnie był owym szablonowym „idealistą,“ mógłby być ulubieńcem tylko podobnych sobie. Tymczasem rwie się do niego serce wszystkich dlatego, że nasz poeta, jak może nikt inny, przedstawia kolejno typowe fazy rozwoju duchowego człowieka o wysokich aspiracyach i szlache-tnych poglądach, postawionego na tle danych stosunków i danej epoki: Schiller nigdy w swej filozofii nie jest zjawiskiem wyjąt-kowym, nigdy niema filozofii samodzielnej i skończenie wykształ-conej, nigdy nie daje gwarancyi pewności i trwałości danej chwili, zawsze jest zależnym i od lektury i od współczesnych wydarzeń, stąd podległym ustawicznej fluktuacyi. Umysłem filozoficznym, mimo łudzące pozory, nie był — dowodem tego choćby wyłącznie dedukcyjna, a i w tym zakresie często wadliwa metoda jego ba-dań — był tylko poetą o pociągu i popędzie filozoficznym i wła-śnie dlatego, nie zadowolając filozofów, ujął sobie miłośników poezyi ideowej, po za odtwarzanie rzeczywistości i zmysłowości, dążącej w krainę abstrakcyi. Stąd to pochodzi, że im kto gór-niejsze i szlachetniejsze ma popędy, tem bardziej do niego lgnie, stąd pochodzi i to także, że Schiller jest kochankiem wszystkich młodzieńców latami czy umysłem, kiedy duch ludzki rwie się w szczyty, ale bez ściśle określonego celu i bez konsekwentnego zdążania ku temu celowi. Zarazem zaś Schiller, będąc w młodych latach odbiciem młodości, wyobraża w późniejszym wieku dalszą nie tyle indywidualną ile typową ewolucyę młodzieńczego ducha, szlachetnego a nie bohaterskiego, mądrego a nie niezgłębionego.

Szczegóły bynajmniej nie przeczą temu zasadniczemu poję-ciu. I tak zaraz z początku naturalnym skutkiem ciasności wi-dnokregu, wśród którego mały Fryderyk się wychował, jest prze-sada w odczuwaniu wrażeń, z których każde tem więcej znaczy, że jest ich tak mało. Stąd poezya młodego Schillera jest taka patetyczna, taka duszna w dytyranbowym nastroju. Kobieta z początku nie istnieje w niej, lecz wnet, jak u tylu innych mło-dzieńców, pod wpływem ukradkiem czytanej swawolnej belletry-styki, budzi się uczucie erotyczne, nacechowane to chorobliwą pa-tetycznością, to niemniej niezdrowym cynizmem. Z dwóch prze-ciwnych prądów: żołnierskiego rygoru w szkole i wolnościowych dążeń literatury okresu *Sturm und Drang*, oczywiście ten drugi odnosi walne zwycięstwo. I powstają *Zbójcy*, dramat nawskroś rewolucyjny, potępiający nie tyranów tylko, ale cały porządek

społeczny, wszystkie prawa ludzkie, dramat, o czym trzeba pamiętać, w tem ideowo (a o tej tylko stronie utworów Schillera obecnie mówimy) niższy od *Götza* Goethego, że tam był pozytywny rezultat walki przeciw społeczeństwu: apoteoza bohatera: tu jest tylko negatywna konkluzja: Karol Moor stoi u ruin swego światopoglądu i niema w zamian żadnego innego. Dotychczas wszystko jest w porządku, jak być powinno u typowego rewolucjonisty. Ale są już oznaki, zapowiadające innego Schillera. Nie jest nią może jeszcze końcowe wyznanie Karola: „O, jakinż byłem głupcem, myśląc, że upiększę świat zbrodniami, a prawa bezprawiem utrwale.“ To jest prawdą, lecz przesadą są dalsze zaraz słowa tej spowiedzi: „dwaj ludzie tacy, jak ja, zburzyliby do gruntu całą budowlę moralnego świata,“ to zaś co potem następuje, jest niczem innym, tylko teatralną pozą przed zwierciadłem, pysznieniem się bohaterstwem. Ale prognostykiem zmiany jest najprzód sam fakt, że po *Zbójcach*, po bardzo przykrych dla młodego „regimentsmedikusa“ skutkach gniewu księcia, oskarżenie świata nie potęguje się, lecz, przeciwnie, łagodnieje, ogranicza się do poszczególnych punktów: to *Fiesko*, to także *Intryga i miłość*, zwrócona raczej przeciw panującemu w pewnych sferach zepsuciu, niż przeciw zwyrodnieniu całego społeczeństwa.

Na dojrzalsze ukształtowanie się zapatrywań Schillera wpływają coraz głębsze i szersze studia filozoficzne. Zaczęły się one już dawniej, jeszcze w „Szkole Karola,“ opierając się na Leibnizu i Wolffie, ulegając prądom obcym, jak Rousseau i angielscy moralisci. Herder daje młodemu człowiekowi zdolność patrzenia na dzieje ludzkości z wyżyn historyozofii, a niebawem przyjaciel Körner wprowadza go po raz pierwszy w przedsiónek filozofii Kanta. Schiller już w tym czasie poczyną zastanawiać się nad problematami, które zajmować go będą, pod rozmaitemi formami, aż do końca życia: nad jednością ludzkiej natury i wolnością ludzkiej woli. Obserwować to można we współczesnych lirykach, zwłaszcza w *Hymnie do radości*, w *Rezygnacji* i w *Bogach Grecji*: z nich wychyla się i gorący entuzjazm młodości, która wielbi życiodajną potęgę radości, lecz i cierpiących pociesza nadzieją nagrody „w górze ponad gwiazdzistym namiotem“: i spokojne przeświadczenie, że w życiu trzeba wybierać pomiędzy „nadzieją“ a „użyciem,“ bo obu tych kwiatów razem zerwać nie można: wreszcie i sentymentalna tęsknota za światem starożytnej, pogańskiej Hellady, tęsknota, która jednak nie prowadzi poety ani do tragicznej rozpacz, jak kiedyś przywiedzie romantyka Hölderlina, ani też nie czyni z niego poganina nowożytnego, jakim chwilowo

był Goethe, lecz kończy się elegijną rezygnacją: że tak być musiało, że ten świat antyku musiał zginąć, by w pieśni wiecznie żyć. Na gruncie pojęć historyzoficznych i politycznych odzwierciedleniem tej epoki jest *Don Carlos*, typowe pośrednie stadium typowej drogi od *Zbójców* do *Wallensteina*. Więc jest tu i dawny popęd wolnościowy, ale i poszanowanie władzy monarchicznej, więc jest przekonanie, że wolność indywiduum i narodom koniecznie do życia jest potrzebna, ale że otrzymać ją one muszą z rąk władzcy, który znowu dać ją powinien nietylko dla nich, swych poddanych, ale przede wszystkim dla siebie, by z uległych poddanych zrobić kochające dzieci i być wśród nich szczęśliwym: słowem to sławne „Sire, geben Sie Gedankenfreiheit,“ z równym naciskiem na treści prośby, jak i na charakterze petycji, nie żądania, nie wymuszenia, nie wydarcia gwałtem.

Pod znakiem Immanuela Kanta odhywa Schiller dalszą drogę filozoficznego rozwoju. Wyszedłszy z „Krytyki władzy sądzienia“ królewieckiego mistrza, pragnie zamiast jego subiektywnego określenia piękna, dać jego obiektywną definicyę. Wszystkie rozprawy prozaiczne, nawet najwybitniejsze wiersze, jak przede wszystkim *Artyści*, rozpatrują zagadnienia estetyczne, w nich jednak skupia się cały ówczesny pogląd na świat Schillera. W środku, pomiędzy popędem formalnym rozumu a materialnym zmysłowości, stawia popęd estetyczny „Spieltrieb,“ wierzy w połączenie dwóch ostateczności: zmysłowości i moralności w wyższej jedności, którą tylko sztuka przybliżyć zdoła. W przeciwieństwie do Kanta, surowo rozdzielającego obowiązek od skłonności, Schiller widzi swój ideał w harmonii tych czynników, dokonywującej się we „wdzięku“ (*Anmut*), w zmysłowym wyrazie moralnej piękności. Kantowi czyni ustępstwo o tyle jedynie, że tej harmonii nie ceni, gdy jest w człowieku przypadkową, darem niebios niejako, ale wtedy dopiero, gdy wynika ze sporu obowiązku ze skłonnością, gdy obok moralnej piękności jest i duchowa wolność, obok moralnej piękności i moralna wielkość, obok „wdzięku“ także i „godność“ (*Würde*). Wdzięk i godność winny więc być moralnym ideałem ludzkości, że zaś dopełniają się one w świecie sztuki, dlatego estetyczne kształcenie prowadzi człowieka do moralnej doskonałości. Religii Schiller, syn wieku Oświecenia, żadnej roli w życiu społecznem nie wyznacza.

W latach, gdy krystalizowały się te ogólne pojęcia, nie było miejsca ani na twórczość dramatyczną, ani na szczegółowe zagadnienia polityczne czy społeczne. Rychło jednak ku obu tym sprawom Schiller się zwrócił. Lecz wtedy już inne wpływy na

niego z kolei oddziaływały. Potężniejsza i wszechstronniejsza organizacja Goethego zmienia sposób myślenia Schillera. Przypatrując się sobie i nowemu swemu przyjacielowi, poeta doprowadza do rozkwitu kiełkujące w nim zresztą już dawniej przeczucia przeciwieństwa dwóch kultur, dwóch konstrukcyj duchowych: naiwnej starożytności i reflektującej współczesności, realizmu i idealizmu, czyli, żeby użyć znanych określeń sławnej rozprawy literackiej z owych lat: „naiwności“ i „sentymentalności.“ W sferze estetyki oddaje zrazu realizmowi pierwszeństwo, wnet jednak sprawiedliwszym jest i dla swego własnego idealistycznego kierunku, wreszcie dopiero w połączeniu obu pierwiastków widzi ideał sztuki. W obrębie etyki od samego początku marzy o niemożliwym zapewne w tem znaczeniu sojuszu realizmu z idealizmem. W polityce zaś do tych filozoficznych poglądów przybývają wrażenia, odbierane za pośrednictwem współczesnych wypadków, i one to sprawiają, że Schiller pod tym względem coraz pewniejszą nogą staje na gruncie trzeźwego realizmu. Widocznem to już jest w *Wallensteinie*, zwłaszcza w najpóźniejszej i najdojrzalszej trzeciej części trylogii. Tragedya księcia, który bawił się myślą, jaką psotę mógłby cesarzowi wyrządzić, bunt przeciw niemu podnosząc, lecz wykonania tych przyjemnych marzeń nie pragnął, aż teraz nagle widzi się zmuszonym do tego niebezpiecznego przeniesienia zuchwałych myśli na niebezpieczniejszy grunt czynu — ta tragedia jest wymownem ostrzeżeniem marzycieli, rozkoszujących się mrzonkami, które ich wyobraźnia płodzi bez uwzględnienia realnej prawdy. Dodajmy do tego, w słowach wyraźnie wypowiedzianą, w biegu akcji równie jasno przeprowadzoną ideę, że Wallenstein ulega nie materyalnej potędze cesarskiej, ale urokowi imienia cesarskiego, tradycyjnej, od wieków w ludzkie umysły wsiąkającej powadze monarchicznego majestatu, a zobaczymy, że nawet po *Don Carlosie* jest to ważny krok na prawo: po raz pierwszy władza monarsza odnosi fizyczne i moralne zwycięstwo, nie poczyniwszy żadnych ustępstw w dół. Tak zaś jest odtąd na zawsze — aż do *Wilhelma Tella*, któremu osobne trzeba będzie poświęcić uwagi — tak jest w *Maryi Stuart*, gdzie chodzi tylko o to, kto ma do korony prawo (por. wielką scenę spotkania się dwóch królowych z *refrain*em: „gdyby prawo panowało, to *Wy* [Elżbieta] w prochu leżelibyście teraz przedemną, bo *jam* jest Waszym królem); tak jest i w *Dziewicy Orleańskiej*, gdzie Joanna broni prawowitego dziedzica tronu francuskiego przed obcym najazdem. Ten legitymizm obejmował pod wpływem wypadków francuskich coraz szersze kręgi myśli Schillera, którego teraz wła-

śnie pod imieniem „Monsieur Giller“ republika za *Zbójców* mianowała honorowym obywatelem. W wierszu p. t. *Ideał i życie* (z r. 1795), w *Ideałach* i *Przechadzce* z tego samego czasu, nawet w balladach, można wykazać ślady dokonywującego się stanowczego zwrotu ku trzeźwości, ku liczeniu się z rzeczywistością, ku realizmowi. W miarę postępu okropności francuskiej rewolucyi, poeta ucieka się coraz lękliej w świat spokojnej pracy, zdala od zgiełku i wrzawy. W *Pieśni o dzwonie* ideały w popularnym tego słowa znaczeniu, t. j. pęd ku niedostępnym wyżynom, już lekko tylko się przypominają. W młodości zapewne trochę górnej miłości (ale z przestroga, że „szał jest krótkim,“ żal długim), a potem praca w domu czy po za nim — ale zawsze tylko praca dla siebie, dla swej rodziny, nie dla społeczeństwa, dla narodu, bo o tej niema ani słówka: praca w spokoju, w porządku i ładzie pod opieką czuwającego oka prawa, praca w zgodzie — ale broń nas Boże przed wojną, przed „samopomocą“ ujarzmionych narodów; pod hasłem „wolności i równości“ poeta widzi ulice zapelnione „bandami dusicieli,“ kobiety opanowane wściekłością dzikich hyen, wszystkie pęta „pobożnej bojaźni“ zerwane. Nic dziwnego, że gorszym od podrażnionego lwa lub tygrysa wydaje mu się człowiek w szale, nic dziwnego, że potężnym głosem ostrzega, by „wiecznie ślepym“ nie dawać „niebiańskiej pochodni światła,“ bo ona im promienieć nie będzie, lecz tylko łunę rozpali, miasta i kraje spopieli!...

Darennym byłby trud tłumaczenia tego pesymizmu Schillera w ten sposób, by ostatecznie i te słowa były wodą na młyn idealizmu. Gdyby Schiller był umysłem istotnie głęboko filozoficznym, a nie tylko impresyonistą o filozoficznych skłonnościach, gdyby był tak samodzielnią indywidualnością, jak np. Goethe, nie byłby tych słów ani podobnych im napisał, nie potrzebowałyby ich napisać, tak samo jak nie byłby dawniej ulegał idealistycznemu optymizmowi. Niepodobna nie czuć przykrości, jaką sprawia widok Schillera, załamującego ręce nad ruinami dawnych swych wierzeń i nadziei, a bolesnem jest także przypomnienie sobie, iż na powstanie nowego stulecia poeta nie zdobył się na silniejsze akcenty otuchy i ufności ponad rezygnacyę, iż „wolność jest tylko w państwie snów, a piękno kwitnie tylko w pieśni.“

I gdyby to było ostatecznem jego słowem, pożegnanie z filozofem, myślicielem, obywatelem Schillera, byłoby gorzkim. Na szczęście, chociaż nie wiele danem mu było, jednak przecież dożył paru jeszcze lat, kiedy zrozpaczony i przygnębiony wypadkami francuskiej rewolucyi, mógł odetchnąć pełniejszą piersią, odzy-

skąć wiarę w dobroć natury ludzkiej, w możliwość zwycięstwa sprawiedliwości tu na ziemi. Gdy już życie jego wyraźnie ku zachodowi się chyliło, znowu nie samorzutnie, nie skutkiem procesu myślowego, lecz dzięki rozgrywającym się wypadkom i ogólnemu nastrojowi narodu niemieckiego, w Schillerze odzywa się ponownie ów dawny jego idealizm życiodajny i energiczny. Urok Napoleona zapalił patryotyczne uczucia Niemców, młodszą ich generację pobudził do walki, podjętej nietylko dla uratowania honoru narodowego, lecz w nadziei, w pewności zwycięstwa. Wiadomo, jak chłodno zachowywał się wobec tych wypadków Goethe: wielki realista, uznający wszystko co istnieje i badający skrupulatnie tego istnienia przyczyny i podstawy, widział w Napoleonie wspaniałe zjawisko przyrody, wobec którego wszelki opór byłby daremny. Schiller rachunku takiego nie układał, lecz, jak zawsze, kierując się uczuciem, patryotycznych dążeń nie potępiał ani lekceważył, owszem, ze zwykłym u niego w tym wieku umiarkowaniem, podzielał je, rozumiał, nawet popierał. Nie inaczej trzeba tłumaczyć *Wilhelma Tella*, dramat o zasadniczej idei wręcz przeciwnej niedawno wygłoszonym w *Pieśni o dzwonie* poglądom. Mostem, który te dwa sprzeczne utwory łączy, poecie ufatwiając przeskok myślowy, jest dwuzwrotkowy, mało znany wiersz, ofiarowany kurfürstowi palatyńskiemu, Karolowi, wraz z egzemplarzem nowego dramatu. W pierwszej zwrotce zgodnie z dawniejszemi zapatrywaniami jest stanowcze potępienie „płomienia wojennego, wznieconego ślepą wściekłością,” w drugiej w harmonijnym akordzie z *Wilhelmen Tellem* jest pochwała spokojnego pasterskiego ludu, który, nie pożądamc obcego mienia, rzuca przymus, lecz — charakterystyczne zastrzeżenia — „nawet w gniewie szanuje ludzkość i skromnym jest w szczęściu, w zwycięstwie.” Sam zaś dramat pojednał poetę nietylko z owym „szlachetnym idealizmem,” lecz i z narodowym uczuciem. Nie było na to ostatnie obszerniejszego miejsca ani w młodzieńczej epoce namiętnej walki przeciw wszelkiemu prawu, ani w dojrzałszym okresie kształtowania się ogólnoludzkiego, dedukcyjnie na abstrakcyi opartego światopoglądu. Teraz dopiero, ku schyłkowi swych dni, ten sam poeta, który był dotychczas kosmopolitą, niewątpliwie we własnem sumieniu szlachetnym, ale służącym innym za wzmocnienie ich haniebnego hasła *ubi bene ibi patria* (por. schillerowskie „Wo man beglückt ist, ist man im Vaterlande“), ten sam poeta wypowiada przesłiczne słowa: „Do ojczyzny, do drogiej przytul się!” i wyobraża gorący patryotyzm, występujący w najszlachetniejszym kształcie, bo bez wszelkiej agresywności, bez

domieszki szowinizmu czy zaborczości lub nienawiści obcoplemien-nych. Olbrzymiem, zaiste, nieszczęściem dla Niemców było, że Schiller nie dożył r. 1813, nie słyszał szczęku oręża „bitwy narodów“ pod Lipskiem.

Niemcy na wyższym szczycie niż w *Wilhelmie Tellu* oglądać go nie mogą, ludzkości całej natomiast objawił się jeszcze mądrzejszym w owym wspaniałym fragmencie dramatycznym, znalezionym na biurku zmarłego poety. W *Demetriuszu*, ciekawszym dla nas o tyle bardziej, że Schiller po raz pierwszy i jedyny wprowadza do swego dramatu Polaków (Kosinsky ze *Zbójców* bowiem nie jest Polakiem ale „czeskim szlachcicem,“ plan zaś dramatu o Wandzie nie został wykonany), jest nowy ślad dalszej fazy w ewolucyi politycznych i ogólno-życiowych zapatrywań poety. Błądzi się jednak niejednokrotnie po omacku, bo rzecz jest niedokończona, dalej zaś niewiadomo, gdzie się ma osobiste zapatrywanie poety, któreby mu i na dalszą drogę było zostało, gdzie zaś wyłącznie przemijająca, z dramatycznej sytuacji wynikająca myśl. Tak niejasnym jest np. przepysznie nakreślony Lew Sapięha, wypowiadający w dwieście lat po historycznych wypadkach „moskiewskiej tragedyi,“ a na kilkadziesiąt lat przed *Wrogiem ludu* Henryka Ibsena, skrajnie indywidualistyczną doktrynę o bezrozumie większości. Z jego motywów jeden jednak trzeba podnieść, dowodzący, że poeta innych nabrawszy od czasu *Pieśni o dzwonie* przekonań politycznych i narodowych, społecznie pozostał jej wiernym, nadal sprzeciwiał się literalnie pojętemu hasłu „wolności i równości.“ Oto jak na sejmie krakowskim przemawia Lew Sapięha:

„..... Większość, powiadacie?
 Czemże jest większość? Większość — to głupota;
 Rozum, ten zawsze mniejszości udziałem
 Czyż się o całość troszczy, kto nic niema?
 Czyliż ma żebrak wolność albo wybór?
 On magnatowi, który go oplaca,
 Za chleb i buty musi głos swój sprzedać.
 Należy głosy ważyć, a nie liczyć
 Wcześniej czy później państwo runąć musi,
 W którym zwycięża większość, nie rozsądek
 I bezrozumni rozstrzygają sprawę!

To zapatrywanie partyjne i nie o niem była mowa przy pochwalę bezwzględne go rozumu *Demetriusza*. Szukać go trzeba w słowach nie Lwa Sapięhy, rzuconego w wir walki stronnictw, lecz w odezwanii się Króla, samotnie a ze smutkiem z wyżyn

tronu ludzkim namiętnościom się przypatrującego. W radach, które Zygmunt III pretendentowi daje, każde słowo ma, zaiste, wagę złota. Poprosiwszy go, by „źle nie trzymał o naszej Polsce,“ doradza mu, jak się ma zachować na rosyjskim tronie:

Broń ci najlepszą Rosya dostarczy,
Tarczą najlepszą twego ludu serce.
Rosyę tylko Rosya zwycięży.
Tak, jak tu dzisiaj mówiłeś przed sejmem.
Tak przemów w Moskwie do obywateli.
Zdobądź ich serca, a będziesz panował.
Obcą się bronią żaden tron nie wzniesie.
Ludowi, który swą godność szanuje,
Wbrew jego woli nie narzucisz władzcy.“

Wszak on to dobrze wie z własnych szwedzkich, tak smutnych doświadczeń. A czerpiąc dalej ze skarbnicy swej mądrości, wzywa go, by Polakom na tronie życzliwości dochował, lecz w swem państwie podług tamtejszych praw i zwyczajów rządził:

„Teraz jednakże idziecie do państwa
Gdzie obyczaje i zwyczaje inne.
Tu w Polsce wolność panuje nad krajem;
Król sam, choć blaskiem majestatu pierwszy.
Musi być często możnej szlachty sługą.
Tam samowola jednego panuje,
Niewolnik służbę swą pełni cierpliwie,
Pan za swe rządy nie składa rachunku.“

Więc niech on to szanuje, niech zbyt pospiesznie zachodnich myśli na tamtejszy grunt nie przeszczepia, bo

„W łachmany obcej kultury się może
Naród przystroić na rozkaz swych panów.
Ale rdzeń duszy niezmienny zostanie
I zasiew taki nie wyda owoców.
Tylko na gruncie narodowych uczuć,
Starych tradycyj, gmach budować można
Silny i trwały i siać zdrowe ziarna
Szczerzej, rodzimej kultury, co kwiatem
Przepięknym wzrasta na rodzajnej glebie.
Przeto zważajcie, aby czyn wasz każdy
Zgodny był z duchem waszego narodu.“¹⁾

¹⁾ Tłómaczenie Stefana Morawieckiego (Kraków, 1900). (Przyp. aut.).

To już nie stronniczy argument polemiczny, to prawda mądra i głęboka, daleka zarówno od materialistycznego poglądu na świat, jak i od fantastycznych mrzonek, to harmonia pomiędzy realizmem a idealizmem. Jakżeż daleką drogę przebył Schiller od czasów, kiedy, wzorem Karola Moora, chciał „świat okropnościami upiększać, prawo bezprawiem utrzymywać.“

*

*

*

Wzruszająca dramatyczność życia, różnaitość i naturalny rozwój ideowej treści w sądzie ogółu o Schillerze zaważyły niemało. Lecz wymowniej jednak przemówiły do serc rodaków i obcych własne jego utwory, mocą swej poetyckiej treści i jej artystycznej szaty.

Że liryka i epika Schillera zawsze tak wielkiem cieszyły się powodzeniem, to dla psychologa jest zrozumiałem, dla ścisłego, niekorzącego się przed żadną powagą krytyka mniej jest jasnem. Widzi on bowiem w tych drobniejszych wierszach Schillera, obok rozlicznych i znacznych piękności, również wiele skaz i braków. Razi go tu nieco czeza patetyczność — np. w młodzieńczych lirykach — tam znowu, szczere zresztą, lecz zbyt wygodne poddawanie się szeroko rozlanej retoryczności — np. w filozoficznych wierszach, ówdzie pewien chłód abstrakcyi, niedostateczna plastyka zmysłowego wyobrażenia — np. w balladach, wreszcie sporadycznie: wadliwość lub bezbarwność rytmiki. Prawda, że tym wadom już ten sam krytyk przeciwstawi równie pokaźny poczet pierwszorzędných zalet, od szlachetności ogólnego nastroju aż do małowniczności poetyckiego obrazowania. Zastanowiwszy się dokładniej nad wrażeniem, wywołanem przez lirykę Schillera na umysły naiwne czy nawet bardzo wykwintne, byle tylko nie na podstawie samego artystycznego kryterium sądzące, estetyk spostrzeże, że to wrażenie jest silnem i trwałem, a zrozumie, czemu takiem jest. Na czytelników Schillera działają bowiem prócz wspomnianych ich rzeczywistych piękności, nawet ich mniej chwalebne cechy. Gdyby Schiller był np. istotnie głębokim i samodzielnym myślicielem, rozumianoby go gorzej niż w obec tego, że jest tylko bardzo szlachetnie filozofującym poetą; gdyby był zwięźlejszym, epigramatyczniejszym, byłby zapewne ulubieńcem wybranych, nie

mas, które chcą, by im jedno i to samo dwa i trzy razy powtórzono; gdyby był „dumnym samotnikiem,“ miałby bałwochwalczych czcicieli w ciasnych kółkach, nie w dużych rzeszach, które szukają poety, wyższego od nich, lecz w wysokości dla nich dostępnej ramionami, w ostatecznym razie wzrokiem. Więc nie ma się co gniewać, owszem cieszyć się trzeba, że filozoficzne i kulturno-histeryczne poezye Schillera są tak popularne, jak żadnego innego poety utwory tego rodzaju; więc ze spokojem można patrzeć na rozgłos, jakim się cieszą ballady Schillera (byleby się pamiętało, że są żywsze, plastyczniejsze od nich, u Goethego); a żałować trzeba chyba tego, że z tego bogatego źródła nie wypłynęły liryki tak nastrojowo i spokojnie wzruszająco uderzające w struny serca jednostki ludzkiej, jak nieśmiertelne poezye Goethego lub Heinego.

Zresztą przecież nie lirykowi ale poecie dramatycznemu, Schillerowi, stawia się pomniki na publicznych placach i we wnętrzu duszy. Wielkie tragedye Schillera są obok utworów Szekspira najcenniejszymi klejnotami w skarbcu wszechświatowym poezyi dramatycznej. Ich rozstrząsanie i wyjaśnianie nie może być oczywiście naszym obecnym zadaniem. Powołać się Polakowi trzeba na piękną książkę prof. St. Tarnowskiego, która mimo to, iż nie germanisty pióro ją napisało, jest najwybitniejszą pracą naszej zresztą bardzo ubogiej literatury schillerowskiej: tyle w niej jest serdeczności w tonie, estetycznej wrażliwości w sądzie, harmonii pomiędzy czią dla poety a niezależnością zdania w opracowaniu. Na tem miejscu, w ramach zakreślonego z góry przedsięwzięcia pytać się trzeba: có te dramaty poezyi i teatrowi przyniosły, jak się tłómaczy ich niespożyta moc przemawiania do serca czytelników i słuchaczy.

Szcześnieśliwym był zaiste Schiller w wyborze tematów, bohaterów i fabuły. Od *Zbójców* do *Demetriusza* nie ma ani jednej tragedyi opartej o przedmiot bądź banalny, bądź przykry, bądź do dramatycznego opracowania nie nadający się. Szekspirowi nie zawsze się tam powodziło, a miał on przecież rękę naogół szczęśliwą, gdzież jednak u Schillera szukać takich omyłek, jaką jest np.: Szekspira *Miarka za miarkę*? Nie ma ich wcale. Czy to będzie młody zapaleniec, w uczuciu doznanej krzywdy, którą zwyczajem tego wieku generalizuje, do walki ze światem występujący; czy dojrzały mężczyzna postawiony przez los na rozstajnych drogach, z których jedna do zadowolenia żądy panowania, druga do jej poświęcenia na ołtarzu równości obywatelskiej prowadzi; czy para kochanków, nierównych stanem, padająca ofiarą intrygi:

czy szlachetny królewicz nie mogący zerwać się do wysokiego lotu, bo mu skrzydła kępuje despotyzm ojca i nieszczęśliwa miłość ku macosze; czy wspaniały wódz, mający do wyboru zdradę przeciw monarsze lub zejście z dumnych wyżyn w bezślawne zacisze domowego życia; czy uwięziona królowa, za swe winy pokutująca, lecz zdolna do groźnych akcentów królewskości, gdy rywalka ją upokorzyć pragnie; czy przez Boga wybrana dziewczica, w której szcęk broni na długo, ale nie na zawsze głos kobiecego serca przygłusza; czy dwóch wrogich braci, których zawistny los na chwilę jedną godzi, by zaraz to, co ich złączyło, stało się zarzewiem straszliwszej jeszcze walki bratobójczej; czy naród pasterski przeciw ciemiężcom walczący; czy wreszcie pretendent do tronu, szczęśliwy, póki wierzy, że ma do niego prawo, zbrodniczy, odkąd straciwszy tę wiarę, kłamie ją przed obcymi — zawsze będzie to temat potężny, otoczony majestatem wielkiego tragizmu, a jednak bliski prostemu, ludzkiemu sercu. Z niezliczonymi wyjątkami charakter i losy jednostki postawione są na tle wielkich spraw, z niemi złączone ściśle. Przypatrzmy się, że stosunkowo najslabsze wrażenie wywierają te dramaty, w których owego związku bądź wcale nie ma, bądź też jest, ale mniej silny w napięciu, obojętniejszy w treści; tak jest np. z *Fieskiem* lub *Oblubienicą z Messyny*: w pierwszym wypadku losy Genui nie wiele nas obchodzą, w drugim nad tragizmem prześladowującym dzieci księżnej Izabelli ubolewamy, lecz widzimy w nim raczej szatański figiel losu niż miazdzące, lecz i podnoszące człowieka zarazem, działanie jakiejś wyższej, wszechmądrej, aczkolwiek bezlitosnej istoty. Warto zaś przypomnieć i to, że owa idea, łącząca jednostkę ze światem, ukazująca jej przygody niejako *sub specie aeternitatis* jest, jak u wszystkich prawdziwie wielkich tragików z Szekspirem na czele, niesłychanie prostą. Miłość, wolność indywidualna czy narodowa, ambicya, duma, oto osi tych konfliktów, podobnie, jak u Szekspira.

Co Schillera osobliwą jest właściwością, aczkolwiek nie zawsze zaletą, to szczególnie ukochanie jednego typu, posiadającego wszystkie warunki do oddziaływania zarówno na masy, jak i na wybranych. Młodzieniec szlachetny, pełen zapału i ognia, przepelniony najszlachetniejszymi uczuciami, które jednak zazwyczaj rozbijają się o twardą opokę otaczającego świata, gotując bohaterowi śmierć, lecz podziwu godną: oto ulubiony charakter schillerowski. Powtarza się on niemal we wszystkich jego dramatach, najwspanialej i najwyraźniej w *Zbójcach*, jako Karol Moor, w *Intrydze i miłości*, jako Ferdynand, w *Don Carlosie*, jako tytułowy

bohater, najpiękniej może w *Wallensteinie*, jako Max Piccolomini, potem z tą samą szlachetnością już raz tylko w *Maryi Stuart*, jako Mortimer. Ile serc on zdobył, ile będzie po wszystkie wieki zdobywał, któż to policzy? Ciekawem jest zaś, że ma on wielkość tylko wtedy, gdy jest od samego początku pojęty, jako postać tragiczna, na ofiarę szczytnych ideałów przeznaczona. W przeciwnym razie odrazu błędnie, gorący entuzjazm przybiera podejrzany wygląd słomianego ognia, efektownego fajerwerku, frazesu, pozy: takim jest np. Rudenz, najniefortunniejsza z postaci schillerowskich, dlatego właśnie, że jej nie opromienia tragiczność zgonu.

Świetnie pendzlem władający na wielką skalę, w zamasyzowanych płótnach historycznych lub pełnych dramaturgicznych obrazach współczesnego życia, Schiller psychologiem w dzisiejszym rozumieniu tego terminu nie jest. Stąd czasem poza płaszczem tragicznym kryje się, według sądu dzisiejszej estetyki, czczość, szkirowość, niekiedy nawet wprost niekonsekwencja lub niejasność: czyż np. majestatyczny *Wallenstein*, a zwłaszcza główna jego postać, pod lupą nie wykazuje tu i owdzie rysy i pęknięcia? Ma nasz poeta także skłonność do powtarzania paru sytuacji, zwłaszcza w sferze erotyki, ma i w dramacie niejednokrotnie znaną już z liryki wielomówność—to wszystko jednak są zaprawdę drobne plamy na słońcu, które świeci już więcej niż sto lat.

*

*

*

Świeci już więcej niż wiek cały nad poezją świata, nie zawsze jednak witane z równą radością. Za życia zaznał Schiller tryumfów, które w dzisiejszych czasach teatralnej manii są zapewne dość powszedniemi, wówczas jednak były wyjątkowem zjawiskiem. Później nie brakowało w tym kielichu rozkoszy i goryczy: było sztuczne przeciwstawianie Schillera Goethemu i Goethego Schillerowi, z czem nasz poeta dość nerwowo, Goethe daleko spokojniej bronią ironii walczył. Romantycy więcej z osobistych powodów — *cherchez la femme* — niż z rzeczowych byli jego przeciwnikami, często niestęchanie namiętnymi: Tieck np. walił w twierdzę kultu schillerowskiego z dział największych. Mury okazały się trwałemi: nie zburzył ich ani Tieck, ani liberalna pu-

blicystyka „Młodych Niemiec,“ zarzucająca piewcy *Pieśni o dzwonię* reakcyjność i kwietyzm, ani zjadliwa, chociaż miejscami niezupełnie słuszności pozbawiona, dramaturgiczna krytyka Ottona Ludwiga, łączącego zresztą bez powodzenia zawód poety dramatycznego z zawodem estetyka. Przetrwała ta mocna twierdza gwałtowny napad Fryderyka Nietzschego, rzucającego gromy pozepienia i pogardy na tego „Moraltrumpeter von Säkkingen,“ i niemniej napastliwe wycieczki współczesnego naturalizmu — i stoi dzisiaj, w sto lat po ukończeniu budowli, stoi silniej niż kiedykolwiek. Od kilku lat, niezależnie od oczekiwanej rocznicy, literatura i teatr wracają z utęsknieniem do Schillera. Idą ku niemu i rzesze maluczkich i wybredni samotnicy. I gdy teatrowi brak nowych, choćby znośnych dzieł, ucieka się do Schillera, nie po zasilenie kasy tylko, ale po literaturę, po sztukę, po poezję prawdziwą. Właściwemi, najpopularniejszymi i najbardziej literackimi „premierami“ są dzisiaj stare tragedye Schillera...

A jaki był, jaki jest nasz stosunek do Schillera? W szczupłych ramach okolicznościowego artykułu niesposób wyreczyć zmarłego przed dokonaniem zadania Kraszewskiego, który w r. 1859 obiecał napisać rozprawę o wpływie Schillera na literaturę polską. Trzeba się ograniczyć do nakreślenia jedną linią pochodzu niemieckiego poety przez Polskę. W tej drodze ciekawem jest to, że znany co prawda i przedtem, aczkolwiek bardzo pobieżnie, wszedł do nas, otwartemi ramionami powitany, przez romantyków wprowadzony. Gdy więc w ojczyźnie nowa szkoła demonstracyjnie od niego się odwracała, w Polsce pokrewni jej duchem, jego za jednego ze swych mistrzów wzięli. To znakomicie wzmocniło stanowisko Schillera w obrębie polskiej literatury, na zawsze złączyło imię jego z najwspanialszym i najbardziej narodowym razem okresem polskiej poezyi, z drogiemi postaciami Brodzińskiego, Mickiewicza, Odyńca. Stało się to zaś dzięki nie tyle estetycznej wartości utworów, ile mocą ideowej ich treści, tego szlachetnego entuzjazmu, który przeważną ich część, jak widzieliśmy, przenika. Odtąd Schiller stał się nam bliskim, pobratymcą naszym po duchu, a jeśli kult jego po czasach romantycznych osłabł, to wpływ na polską literaturę trwa dłużej, jest widocznym zwłaszcza w polskim dramacie aż do chwili, kiedy z nastaniem najnowszych, specyficznie narodowych prądów nie ma już dla niego tyle miejsca.

Jest go zawsze wiele jeszcze na polskim teatrze. Tu Schiller od stu lat częstym jest gościem, chętnie przez publiczność i przez aktorów witany. Nie ma dramatu Schillera, któryby

choć na krótko przez polską scenę się nie przesunął, niejedyn zaś przyczynił się do uświetnienia polskiego teatru, polskiego aktorstwa. Powodzenie byłoby tu jeszcze większem, gdyby nie jeden szkopol: brak dobrych tłumaczeń. Przekładów bibliografia podaje wiele, doskonałego nie ma ani jednego (Mickiewicz niestety tylko urywek z *Don Carlosa* spolszczył). I to jest nasz największy, najpilniejszy dług w obec wielkiego poety niemieckiego, którego setną rocznicę zgonu dziś świat cały obchodzi.

Dr. JÓZEF FLACH.

Putaski w Ameryce.

III.

Brandywine. — Warren Tavern. — Germantown.

Tegoż dnia, w którym Waszyngton z armią zajmował pozycję w Wilmington, Howe wylądowywał z 18000-ną armią w Turkey-point. 27-go posunął się ku rzece Elk, gdzie wydał proklamację wzywającą obywateli do powrotu pod władzę królewską, a obiecującą wszystkim powracającym amnestyę.

Nazajutrz po przybyciu do Wilmington Waszyngton osobiście robił rekonesans z całą niemal kawaleryą (prócz pułku Sheltona). Domyślać się należy, że brał w nim udział i Pułaski, a przy tej sposobności mógł się bliżej przyjrzeć części armii, której miał dowodzić. Rekonesans powtórzono 29 i 30 sierpnia; 3 września Maxwell z swoją lekką brygadą wyruszył ku rzece Elk, aby zabrać magazyny publiczne. Anglicy wszakże uprzedzili go w tem i po utarczce zmusili do cofnięcia się. Siódmego armia wyruszyła ku Newport, zajęła pozycję wzdłuż wschodniego brzegu Red Clay creek (strugi Czerwonej Gliny), i tu się zaczęła fortyfikować.¹⁾ Howe posunął wtedy przednią straż na Iron Hill (wzgórze Żelazne) na odległość 8 mil od Red Clay. Nastąpiła nowa utarczka z Maxwellem, który zajmował pozycję w pobliżu, i znowu Amerykanie musieli cofnąć się. Anglicy wtedy wykonali ruch demonstracyjny, chcąc niby odciąć armię amerykańską od

¹⁾ „On remua un peu de terre“ powiada Lafayette (Mémoires str. 17).

Filadelfii. Waszyngton zwołał tejże nocy (8-go) radę wojenną, która postanowiła obrać pozycyę nad strugą Brandywine.

O wpół do trzeciej zrana 9-go września wyruszyła armia ku obranej przez Greena pozycyi. Było to płaskie wzgórze u Chadd's Ford (brodu Chadd'a) na lewym brzegu rzeczki wymienionej, na drodze prowadzącej do Chester i Filadelfii. Zasłaniając w ten sposób przystęp do stolicy (jeśli wolno użyć tego wyrazu) Waszyngton stawiał rzeczulkę między sobą a nieprzyjacielem. Teżoż dnia Knyphausen z heskimi najemnikami zajął New Garden i Kemet Square a nazajutrz przyłączył się do niego Cornwallis i objął dowództwo.

Oba wojska gotowały się do bitwy, która nastąpiła jedenastego.

W bitwie tej po raz pierwszy na gruncie amerykańskim brali udział Lafayette i Pułaski. Lafayette, jako młodzieniec pełen zapału i pragnący odznaczenia, prosił Waszyngtona, aby mu pozwolił iść z dywizyą Sulliwana, która miała spotkać pierwszy ogień. Gdy dywizya ta pierzchnęła usiłował daremnie ją wstrzymać: dostał przytem postrzał w nogę, którego wszakże na razie nie zauważył. Porwany przez uciekających znalazł się wraz z nimi na drodze do Dillworth. Pułaski, jako dojrzalszy (miał wówczas lat trzydzieści) i wojownik doświadczony, trzymał się zapewne głównego sztabu, skąd lepiej mógł objąć całość akcji, a gdzie skuteczniej mógł okazać się pomocnym, o ileby sposobność się nadarzyła.

Jakoż istotnie, jeśli ufać mamy opowieści jednego ze świadków naocznych, sposobność ta nie ominęła go.

„W chwili, gdy nasze prawe skrzydło okrążone zostało przez zwycięskiego nieprzyjaciela, nacierającego na nas, a cofanie się szybkie tego skrzydła i centrum było następstwem, Pułaski zaproponował Waszyngtonowi, aby mu dał komendę nad jego strażą przyboczną, złożoną z 30 kawalerzystów. Zgodził się natychmiast główny dowódca, a Pułaski ze zwykłą sobie odwagą i przenikliwością uderzył z nimi na nieprzyjaciela, wstrzymując jego postęp, przez co spowodował zwłokę wielce korzystną dla naszej cofającej się armii. Prócz tego, bystry wzrok Pułaskiego dostrzegł rychło, że nieprzyjaciel manewruje w ten sposób dlatego, aby zająć drogę prowadzącą do Chester i przeciąć nam rejteradę lub przynajmniej odciąć bagaże. Pośpieszył więc do Waszyngtona i udzielił mu tę wiadomość, a natychmiast upoważniony został do zebrania tylu żołnierzy rozproszonych, ile znajdzie pod ręką i zaatakowania z nimi nieprzyjaciela. Zostało to jak najpomyślniej wykonane; skośnem uderzeniem na front i prawe skrzydło

nieprzyjacielskie przeszkodził on ich zamiarom, a zastonił nasze bagaże i odwrót armii.“¹⁾

Jest to jedyne świadectwo, jakie mamy o udziale Pułaskiego w bitwie u Brandywine. Skreślił je w czterdzieści lat po opisanych wypadkach jeden z późniejszych podkomendnych Pułaskiego, którego niebawem bliżej poznamy. Inne relacye donoszą, że Green cofając się przed nieprzyjacielem zatrzymał się w wąwozie, przez który przebiegała droga około mili na wschód od miejsca potyczki i tam wstrzymał go do nocy.

Tymczasem w tyle, na drogach do Dilworth i do Chester panował popłoch i zamieszanie nie do opisania. Pomieszczone oddziały wojska rozmaitej broni, konie, artylerya, wozy z amunicją i z bagażami, wszystko uciekało, tworząc zbitą masę.

Noc była pogodna i ciepła. Księżyc w pełni wznosił się oświetlając ten chaotyczny odwrót, podobniejszy do ucieczki. Pułaski jadąc konno wyprzedzał jeden za drugim przesuujące się oddziały piesze. Zrównawszy się z batalionem niemieckim, zauważył w jego szeregach młodego oficera, którego powierzchowność wskazywała francuskie pochodzenie. Pułaski zwolnił kroku konia i wdał się z nim w rozmowę. Młodzieniec narzekał, że nie mógł dostać się do kawalerji, w której pragnął być umieszczony. Pułaski, któremu podobał się młody oficer, przyrzekł mu, że przy pierwszej sposobności postara się go umieścić w konnicy, którą spodziewał się dowodzić i zapisał jego nazwisko. Był to Paweł Bentalou—autor przytoczonej wyżej relacyi o zasługach Pułaskiego w bitwie u Brandywine²⁾.

O dwunastej w nocy stanęła armia w Chester. Waszyngton napisał natychmiast krótką relacyę do Kongresu nie ukrywając ani niepowodzenia, ani jego przyczyny. Wieść ta sprawiła wielką panikę w Filadelfji. Patryoci i ludzie skompromitowani wobec rządu angielskiego tłumnie opuszczali miasto. Wywieziono archiwum Kongresu, amunicję. Przeniesiono szpitale z rannymi do Bethlehem i Princeton³⁾. Sam Kongres niebawem opuścił Filadelfję,

¹⁾ P. Bentalou. *Pułaski vindicated from an unsupported charge inconsiderately or malignantly introduced in Judge Johnson's Sketch of the Life of M. G. Nathaniel Green*. Baltimore, 1824 (broszura rzadka), str. 23—24.

²⁾ P. Bentalou. *A Reply to Judge Johnson's Remarks ...relating Count Pułaski* Baltimor 1826 str. 18. Ta druga broszura, będąca odpowiedzią na replikę Johnsona z powodu pierwszej, mniej jest znana biografom Pułaskiego.

³⁾ I. M. Toner. *Medical Men of the Revolution* Philad. 1876. Autor w czarnych barwach kreśli stan szpitalów.

przenosząc się najprzód do Lankaster, później zaś do Yorktown (na północy Wirginii).

Tymczasem armia posunęła się dwunastego ku Filadelfii, nazajutrz zaś wróciła do obozu u Schuylkil Falls, gdzie dawne zastając szafasy, w nich przenocowała. Nazajutrz przeszedłszy rzekę Schuylkil, posunięto się o kilka mil na zachód, a 15-go nocowano w Buck Tavern o 9 mil od Filadelfii. Ruchy te miały oczywiście na celu zagrozić tyłom nieprzyjacielskim, a przez to nie dopuścić przeciwnika do posuwania się ku Filadelfii. W tym też celu zostawił Waszyngton w Paoli, pozycyi odosobnionej i bardzo korzystnej, 1500 ludzi pod dowództwem Wayne'a.

Szesnastego armia amerykańska znalazła się przed południem koło oberży Warren'a (Warren Tavern). Tu poraz drugi wyświadczyć miał Pułaski ważne usługi armii, według relacyi znanego już nam Bentalou.

Rozdane były porce; armia znużona pochodem przygotowała się do wypoczynku i posiłku. Rozpalono ogniska i gotowano strawę. Ale Pułaski zawsze czujny i czynny,—posuwający do największej skrupulatności oględność, wyruszył z niewielkim podjazdem dla zbadania miejscowości i niebawem natrafił na kolumny nieprzyjacielskie posuwające się ku obozowi amerykańskiemu. Spotkanie to było zupełną niespodzianką—a Waszyngton nie wiedział o tem, że kiedy Cornwallis posuwał się ku Filadelfii przez Chester (w ślad za cofającą się armią amerykańską), Howe zajął dla zabezpieczenia tyłu armii Westchester i w ten sposób znajdował się w odległości kilku mil angielskich od miejsca, gdzie stała obozem armia amerykańska.

Pułaski uderzył na przednią straż nieprzyjaciela, a spowodawszy w ten sposób pewną zwłokę w ruchu nieprzyjaciela, udał się w największym pośpiechu do głównej kwatery i zażądał widzenia się z Waszyngtonem. Odpowiedziano mu, iż jest zajęty i nie może przyjąć. Pułaski nalegał i naglił, aż sam wódz słysząc głośnie rozmowę, wyszedł dowiedzieć się, o co chodzi. Przez pośrednictwo Hamiltona, adjutanta Waszyngtona, który znał język francuski i służył za tłumacza, doniósł Pułaski o niebezpieczeństwie grożącym armii. Wieść ta wprawiła w zdumienie Waszyngtona. Hamilton wtedy zrobił uwagę, że może Pułaski omylił się biorąc za nieprzyjaciół jakiś oddział spóźniony armii amerykańskiej. Uwaga ta rozgniewała Pułaskiego. Waszyngton, dowiedziawszy się o co chodzi, zaczął tłumaczyć Hamiltona, zapewniając, że nie chciał obrazić Pułaskiego, a zarazem zapytał, co by należało uczynić.

— Oddział z trzechset ludzi pieszych z kawaleryą, którą posiadam, wystarczy na wstrzymanie nieprzyjaciela dopóki wojsko nie stanie w pozycji, odrzekł Pułaski.

Rozkazano więc pułkownikowi Scott wyruszyć pospiesznie z oddziałem wirginińczyków, a Pułaski udał się również na spotkanie wroga. Jednocześnie uderzono alarm. Armia stanęła pod bronią i poczęła gotować się do przyjęcia nieprzyjaciela. Zaledwie wszakże zdołano zamienić kilkanaście strzałów, gdy rozpoczął się deszcz szybko wzrastający w potędze. Niebawem ulewa stała się tropikalną. Amunicya zwilżona nie reagowała na iskry krzemiennych zamków. Deszcz ten dzielił walczących i ocalił prawdopodobnie armię amerykańską ¹⁾).

Amerykanie zaczęli się cofać pod ulewą. Woda w dolinach przecinających drogę dosięgała kolan. Błoto utrudniało pochód, czyniąc go niezmiernie nużącym. Późno w nocy stanęło wojsko w Yellow Springe. Większa część armii nie miała namiotów, a deszcz był tak gęsty, że ogniska rozpalano trzymając nad nimi rozciągnięte kołdry ²⁾).

Nazajutrz wyruszono do Warwick Furnace (luty Warwickie), gdzie znajdowały się warsztaty broni i odlewnia armat założone w r. 1776. Tu przyszły depezesy Kongresu, przynosząc nominację Pułaskiego na dowódcę kawaleryi, którą ogłosił Waszyngton w rozkazie dziennym z dnia tego ³⁾).

Armia zostawała tu do 27-go. Stan jej pod względem zaopatrzenia był opłakany. Waszyngton narzekał w liście do Kongresu, że przeszło tysiąc ludzi pozbawionych jest obuwia. Tymczasem 20-go na Wayne'a znienacka napadł w nocy Gray. Część oddziału została wyrznięta, reszta rozproszyła się; część wróciła do obozu Waszyngtona. Brygada Smallwood'a, o milę tylko odległa a zostawiona dla poparcia Wayne'a, nietylko, że mu w pomoc nie przysłała, lecz cofnęła się w nieładzie.

Zabezpieczywszy się w ten sposób z tyłu, Anglicy przekroczyli Schuylkil a 25-go Cornwallis wkroczył uroczyście do Filadelfii.

Po zajęciu „gniazda buntowników“ i wypędzeniu z niego Kongresu, Howe uważał wojnę niemal za ukończoną. Niedobitki

¹⁾ Bentalou. Pierwsza broszura str. 24—26; druga br. str. 20 i nast.

²⁾ Ob. list Howarda pisany na prośbę Bentalou w drugiej jego broszurze str. 22—23.

³⁾ *Washington's Orders* Vol. 2. Fol. 308. (Rękopisy Kongresu).

armii Waszyngtona można było pozostawić własnemu losowi: zima, brak żywności i dezercya zdziesiątkują je niezawodnie. Posunąwszy forpoczty ku Germantown, zajęto się więc fortyfikacją Filadelfii, powierzoną głównie pułkownikowi Montresorowi. Po za tem wszyscy oficerowie armii, zaczynając od głównego dowódcy, oddali się przyjemnościom i rozrywkom ¹⁾.

Przewidywania co do losu armii amerykańskiej okazałyby się niezawodnie słusznymi, gdyby powodzenia na innym teatrze wojny nie podniosły jej ducha, i nie dodały bodźca wodzowi, którego wytrwałość zresztą była niezrównaną.

Dwudziestego siódmego armia posunęła się do Pottsgrove. Przyszły tu do obozu Waszyngtona wieści o nowem zwycięstwie Gates'a w Stillwater, dokonaniem w dniu 18 września. Rozkaz dzienny 28 września nakazał z tego powodu paradę i salwę z 13 strzałów armatnich. Armia, jak zwykle w tych wypadkach, dostała porcyę rumu. Jednocześnie zwołał Waszyngton radę wojenną, której przedstawił przedsięwzięcie jakichkolwiek kroków zaczepnych. Armia otrzymała w tym czasie pewne posiłki z północy, zamiar ten więc wydawał się uzasadnionym. Wszakże rady wojenne amerykańskie owego czasu odznaczały się wielką roztropnością i oględnością. Widziano zawsze jaśniej przeszkody, niż widoki powodzenia i prawie zawsze decyzje były przeciwko krokom stanowczym. Tak też stało się i 28 września: rada wypowiedziała się przeciwko atakowi na nieprzyjaciela. Mimo to Waszyngton trwał w swoim zamiarze; 29-go posunął się on nieco ku liniom nieprzyjacielskim, aby być w pogotowiu, a 19-go października zajął pozycyę u rzeki Skippak. Dnia tego pisał on do gubernatora Trumbulla: „Mam nadzieję, iż nieco czasu i wytrwałości, a nasunie się nam sposobność powetowania naszych strat i posunięcia spraw naszych ku bardziej kwitnącemu stanowi“ ²⁾.

1) Ob. pamiętniki Tarletona i innych. Liczne materyały znajdujemy także w Watson *Annals of Philadelphia* 3 tomy 1891 T. II, oraz w Scharf and Westcott *History of Philadelphia*, 3 tomy 1884.

2) Pod datą 30 września znajdujemy pierwszy rozkaz Waszyngtona do Pułaskiego:

„Panie,

„Po przybyciu do domu znalazłem załączony list generała Reed'a. Proszę więc natychmiast sformować oddział z 50 koni co najmniej, których część powinna być z pułku Moylana; ich czerwone mundury wprowadzą w błąd zarówno nieprzyjaciela jak i ludność wiejską (t. j. zostaną wzięci za anglików,

Zamyślał on jeden z tych niespodziewanych, w największej tajemnicy przygotowanych a z błyskawiczną szybkością wykonywanych napadów, które stanowiły jego silną stronę. Powód do tego podała przyniesiona do obozu wieść o tem, że część wojska angielskiego została przesunięta z Germantown do Filadelfii.

którzy, jak wiadomo, mają mundury tego koloru). Nie mogę dać lepszych wskazówek co do drogi, jaką obrać mają, nad zawarte w liście gen. Reed'a. Polecam tylko Panu oddać ten oddział pod komendę dobrego oficera i wysłać go niezwłocznie.

Jestem z wysokim szacunkiem i t. d.

G. Waszyngton.

(Listy Waszyngtona do generalów w rękopisach B.; tom IV karta 154, № 647). Nie mogliśmy znaleźć listu Reed'a, któryby wyjaśnił cel zamierzonej wyprawy. Natomiast w drukowanych „Papierach Bland'a“ znaleźliśmy pierwszy prawdopodobnie rozkaz Pułaskiego, wydany wskutek poprzedniego:

Główna kwatera, gmina Worcester. 1 października 1777.

„Panie,

„Zgodnie z rozkazem Jego Excelencyi proszę oddzielić pięćdziesięciu dobrych kawalerzystów o bardzo wczesnej godzinie, aby dopomóc generalom Reed i Cadwalader w specjalnem przedsięwzięciu. Znajdą oni generała Reed w jego kwaterze w odległości mili lub dwóch od domu Comer'a.

Obok tego niech major Jameson wybierze tylu, ile może, wśród lekkiej konnicy, i będzie gotów wyruszyć z nimi jutro o południu. W tym samym czasie cały pułk pański stanie u mojej kwatery razem z innymi pułkami mojej brygady.

Pułaski, general brygady kawaleryjskiej.“

Data 1 oktobra, zdaje się, świadczy, iż list ten pisany po północy. Pod datą 2 października znajdujemy kartkę Hamiltona (po francusku): „Jego Excellencya życzy sobie, aby Pan zgromadził całą kawaleryę jak najprędzej kolo jego kwatery, gdzie znajdzie Pan miejsce właściwe dla jej ulokowania, z wyjątkiem tych, którzy są zajęci w służbie. Proszę zawiadomić Jego Excellencyę o przybyciu swoim. Nie mam czasu do stracenia. Jestem i t. d.

A. Hamilton.“

Pułaski na białej stronie tej kartki pisał do Blanda: „Otrzymuję obecnie odmienny rozkaz Jego Excellencyi, jak Pan tu widzi, i proszę połączyć się ze mną w armii jak najrychlej.

Pułaski, general kawaleryi.“

Można sądzić, że zamierzony był jakiś większy rekonesans. (*Bland Papers published by Charles Campbell, Petersburg, 1840. Str. 69).*

Około godziny 6-ej wieczór, 3 października, gdy ogniska w obozie były rozpalone i zostawione razem z bagażami pod dozorem inwalidów i niemających broni żołnierzy, z nakazem podtrzymywania ich przez całą noc, wysłał Waszyngton najprzód Armstronga z milicyą, który miał zająć oddziały niemieckie, obozujące na lewym brzegu rzeczutki Wissahicon.

Główny atak stanowić miały trzy kolumny, które wyruszyły zaraz po milicyi. Pierwsza z nich, pod dowództwem Sulliwana i Wayne'a z Conwayem skierowała się ku wzgórzom Kasztanowemu (Chestnut Hill) unieszczonego przed frontem nieprzyjaciela. Brygady Maxwella i Nasha, pod dowództwem Stirlinga, stanowiły rezerwę, przy której, według reguły, znajdował się główny dowódca.

Green i Stephen mieli obejść z boku i uderzyć na prawe skrzydło. Smallwood i Forman z milicyą Marylandu i Nowego Jersey, mieli wyruszyć po staro-jorkskiej drodze i uderzyć z prawej strony i z tyłu.

Główna kolumna przybyła przed świtem i wpadła na śpiący obóz lekkiej piechoty angielskiej, niecząc w nim popłoch. Mszcząc się za nocny napad i rzeź w Paoli, Amerykanie zabijali nawpół sennych żołnierzy angielskich. Powstała panika: Anglicy uciekali tłumnie ku Filadelfii, ścigani przez Amerykanów. Gęsta mgła sprzyjała napadającym. Nacierali oni z takim impetem, że pułk piąty, który zdążył się sformować i nadbiegł na pomoc, po krótkiej walce zmuszony został do szybkiego odwrotu. Wtedy nadbiegł pułkownik Musgrave z 40-ym pułkiem i z częścią jego rzucił się do masywnego domu między dwiema ulicami, po których pędzili Amerykanie (dom Chew'a). Ten manewr ocalił Anglików od porażki. Amerykanie rozpoczęli niepotrzebne oblężenie improwizowanej twierdzy i, zamiast zostawić niewielki oddział dla jej pilnowania, stracili tyle czasu, że uciekający zdążyli opamiętać się z popłochu a widząc małą garść nacierających, gdy jednocześnie gwardya nadbiegała zdwojonym krokiem z Filadelfii na pomoc, zamienili odwrót na natarcie. Na domiar niepowodzeń ukazały się w tej chwili we mgle nowe oddziały wojska na prawym flanku Anglików. Była to spóźniona kolumna amerykańska, którą Waszyngton wziął za posiłki angielskie. Nakazał więc odwrót, byłby się on zamienił w klęskę, gdyby nie osłonił go Green z piechotą i Pułaski z kawaleryą. Amerykanie „uciekając z objęć Zwycięstwa, które im się ofiarowało,“ jak mówił Wayne w swoim liście,

stracili 673 zabitych i 400 wziętych do niewoli. Strata Anglików nie przewyższała 535. Cała akcja trwała 2 godz. i 40 minut ¹⁾.

Bitwa pod Germantown była więc przegrana przez Amerykanów. Nietylko zmuszeni zostali do cofnięcia się z pola, ale strata ich była dwakroć większa niż nieprzyjaciela. Mimo to przyczyniła się ona do podniesienia ducha armii. Sama już zmiana postawy wyczekująco-obronnej na zaczepną, chwila tryumfu, widok uciekającego nieprzyjaciela, obudziły w żołnierzach nadzieję dalszych powodzeń. W tym też duchu zredegowany był rozkaz dzienny Waszyngtona, nazajutrz po bitwie (5 października): bitwa ta przekonała armię, powiada on, „że nieprzyjaciel nie jest zabezpieczony przeciw energicznemu atakowi, i że może być zmuszony do ucieczki, gdy odważnie się nań uderzy.“ Dla Pułaskiego jednak bitwa pod Germantown stała się powodem do rozczarowania. Rozbicie kawaleryi na niewielkie oddziały, przyłączane do brygad piechoty i służące rozmaitym potrzebom tych oddziałów, czyniły jej liczbę, pozostającą pod komendą głównego dowódcy, tak nieznaczną, że niepodobna było nic poważnego z nią przedsięwziąć ²⁾.

Po bitwie Waszyngton cofnął się ku Kenybakker's Mill; ale i Anglicy uczuli potrzebę ściągnięcia forpocztów swoich bliżej ku Filadelfii.

IV.

Sprawy kawaleryi. — Moylan i Zieliński. — Valley Forge. — Trenton.

Miesiąc, który upłynął po bitwie pod Germantown, nie był obfity w wypadki dla armii Waszyngtona. Z Rennybakker's Mill przesunęła się ona do Towamencin, gdzie 9-go przy udziale wszystkich oficerów wolnych od służby, z należytą uroczystością, odbył się pogrzeb generała Nash'a, śmiertelnie ranionego w Germantown. 11-go przyszło podziękowanie Kongresu za tę bitwę oficerom i żołnierzom; 13-go przybył generał Varnum z Peekskill przy-

¹⁾ Bentalon. Pierwsza broszura str. 26.

²⁾ Udział Pułaskiego w tej bitwie został upamiętniony paru nazwami w dzisiejszem mieście Germantown: ulica Pułaskiego przecina tu ulicę Wayne'a. Cała otaczająca część miasta nazywa się „Pułaski town.“ (Ob. „Pensylv. Mgz.“ vol VI, str. 131).

prowadzając pożądane posiłki; 15-go przyszła wieść o zwycięstwie Gates'a w drugiej bitwie u Stillwater; 16-go wyruszono do gminy Worcester, gdzie stała armia przed samą bitwą, a więc bliżej ku nieprzyjacielowi; 20-go posunięto się ku Whitepain na odległość zaledwie 15 mil od Filadelfii; ¹⁾ tu zostaje armia do końca miesiąca; 25-go winszuje Waszyngton armii pomyślnego odbicia ataku Donopa na Fort Mercier (u Red Bank, na Delaware), w którym zginął ten odważny dowódca hesseński.

Takie są główne wypadki, których radość lub smutek podzielał Pułaski z całą armią. Osobiście niemało mu przyczyniało kłopotów świeżo objęte dowództwo nad kawaleryą. O ile sympatycznym dla niego był pułk Bland'a, utrzymywany w dobrym porządku, a o którego dowódcy odzywa się z życzliwością, o tyle niechętnym i zawistnym okazał się pułkownik Moylan, najstarszy w kawaleryi (t. j. najwcześniej mianowany w tej wojnie), mający przytem możność szkodzenia Pułaskiemu drogą insynuacyj wobec głównego dowódcy. Moylan bowiem pełnił przez jakiś czas obowiązki adjutanta Waszyngtona, co musiało wytworzyć pewną zażyłość, pozwalającą udawać się bezpośrednio do wodza głównego. Z drugiej strony stanowisko jego, jako starszego pułkownika w kawaleryi, mogło budzić w nim nadzieję, że skoro awans da mu rangę generalską, jemu przypaść winna komenda nad całą kawaleryą. Nominacya więc Pułaskiego, niweczając te nadzieje, wywołać musiała uczucia zazdrości i nieżyczliwości. Z raportu Pułaskiego widać, że pułk Moylana był najbardziej zaniedbany pod względem służby, a kilka listów Waszyngtona do tego pułkownika stwierdza, zdaje się, to świadectwo.

W Moylanie więc miał Pułaski przeciwnika, który przez wpływ wyraźny na podkomendnych przeciwdziałał jego zamiarom; pokątnemi zaś relacyami starał się psuć opinię Pułaskiego w oczach Waszyngtona.

Do jawnego starcia powód dał następujący epizod. W szeregach kawaleryi znajdował się w roli ochotnika Polak, Jan Zieliński, zapewne kuzyn Pułaskiego, gdyż matka jego była z domu Zielińska. Nie wiemy z jakich powodów Moylan obszedł się brutalnie z Zielińskim, uderzając go, w chwili, gdy był bezbronnym i każąc go aresztować; na wstawienie się zaś Pułaskiego, odpowiedział mu Moylan grubiańsko.

¹⁾ Widzimy z tych ruchów jak każda wieść o zwycięstwie na północy powoduje zbliżenie armii amerykańskiej ku nieprzyjacielowi.

Pułaski, pragnąc dać przykład karności, oddał Moylana pod sąd wojenny, który zebrał się 24 października.¹⁾ Sąd wszakże uniewinnił Moylana, a Waszyngton potwierdził ten wyrok.²⁾

Pułaskiego bardzo dotknęła taka decyzja. Lafayette, skarżąc się w liście do Waszyngtona na podobnyż uniewinniający wyrok względem dwóch oficerów, oskarżonych przez niego o nie-dbalstwo w pikietach, nadmienia, iż „Pułaski wziął za obrazę decyzję sądu wojennego, uniewinniającą zupełnie pułkownika Moylana.“ „Znając wszakże zwyczaje angielskie, dodaje Lafayette, nie dziwię się wcale podobnej stronniczości.“³⁾

Zaraz po zajęciu, skoro tylko został uwolniony z aresztu, Zieliński przesłał Moylanowi, przez majora Thompsona, wyzwanie na pojedynek. Moylan wszakże, po przeczytaniu listu, odpowiedział przez oddawcę, „że on nie jest gotów zostać zabójcą; że nie uważa Zielińskiego ani za „gentlemana“ ani za oficera i, że każe swemu służącemu obić kijem Zielińskiego, gdziekolwiek go spotka.“⁴⁾

1) W zbiorach autografów Emmeta (w Lenox Library w New Yorku) znaleźliśmy następującą kartkę Pułaskiego do Blanda:

„Panie,

„Proszę odłożyć sąd do jutrzejszego rana, gdyż nie przygotowałem jeszcze ani oskarżenia, ani dowodów przeciwko pułkownikowi Moylan. Ponieważ otrzymałem rozkaz dopiero późno wieczorem, nie miałem czasu dać znać o tem oficerom poszczególnych pułków. Przypuszczam wszakże, iż zbiorą się oni wszyscy w pańskim mieszkaniu dziś przed południem. Proszę wtedy odłożyć zgromadzenie na godzinę, którą Pan uzna za właściwą.“

Jestem, ... i t. d.

22 października, 10 godz. z rana.

K. Pułaski, Gen. Kawal.

2) W księdze Rozkazów Waszyngtona (T. II, fol 341, Rękopisy Kongresu) znajdujemy pod datą 31 października: „Główny Dowódca potwierdza następujący wyrok sądu wojennego konnej brygady, który miał miejsce 24 b. m., pod prezydencją pułk. Blanda:

„Pułkownik Moylan oskarżony był o „Nieposłuszeństwo rozkazom Generała Pułaskiego, tchórzliwy i nieszlachetny (ungentleman, like) czyn, polegający na uderzeniu p. Zielińskiego, gentlemana i oficera w polskiej służbie, gdy ten był rozbrojony; o oddanie go pod straż; o odpowiedzi rozdrażnione Generałowi Pułaskiemu.“ Sąd jest tego zdania, że pułk. Moylan nie jest winien i uwalnia go od odpowiedzialności. Pułkownik Moylan uwolniony jest z aresztu.“

3) *Mémoires etc.* str. 58.

4) Świadcstwa zebrane przez Pułaskiego i przesłane Waszyngtonowi. (Listy do Wasz. Tom 21, fol. 275).

Pogróżka ta skrupiła się na groźącym. Nie uzyskawszy bowiem satysfakcyi honorowej, Zieliński skorzystał z przypadkowego spotkania Moylana, po za obozem, w miesiąc później i, w obecności oficera francuskiego Baillyville'a i dragona, obił go kijem; gdy zaś Moylan chwycił za szablę i pistolety grożąc Zielińskiemu bronią, ten uderzeniem na płask drzewcem od lancy wyrzucił z siodła straszego pułkownika.¹⁾ Moylan zaniósł skargę i domagał się sądu wojennego; ale zapewne nie zbyt gorąco nalegał, czując niewłaściwość i śmieszność pozycyi swej, gdyż nigdzie nie znaleźliśmy śladów, iżby sąd ten miał miejsce.²⁾

Wyprzedziliśmy nieco bieg wypadków, aby zakończyć z tym epizodem, który oczywiście nie mógł przyczynić się do wyrobienia dobrych stosunków wśród oficerów kawaleryi.

Tymczasem zima zbliżała się; armia nieprzedsiębrała nic stanowczego. Zwołał więc Waszyngton radę wojenną 29 października; jestto, o ile mogliśmy przekonać się, pierwsza, w której brał udział Pułaski. Obok niego znajdowali się Waszyngton, Sullivan, Green, Stephen, Lafayette, Mac-Dougall (generałowie majorowie); Maxwell, Smallwood, Knox, Varnum, Wayne, Mühlenberg, Weedon, Huntington i Conway — generałowie brygad.

Waszyngton przedstawił obecną sytuację. Była ona taka. Armia nieprzyjacielska, według najdokładniejszych obliczeń, nie przenosiła 10,000 żołnierzy i oficerów, ulokowanych w Filadelfii lub jej okolicach najbliższych. Założyli oni baterye na wyspie Province naprzeciwko fortu Mifflin, dokuczając z nich garnizonowi jego; 22-go usiłowali wziąć Red Bank, lecz zostali odepchnięci ze stratą; 23-go statki ich i baterye również bezowocnie bombar-

¹⁾ Listy Pułaskiego i zeznania świadków. W listach do Waszyngtona Tom 21, fol 215 (5 grudnia) i 275.

²⁾ W lutym 1778, gdy Pułaski przedstawił Zielińskiego na porucznika kawaleryi, Waszyngton odpisał: „Charakter jego nie jest jeszcze oczyszczony z poważnego oskarżenia wniesionego przez pułkownika Moylana. Sąd wojenny powinien być niezwłocznie zwołany nad nim, zgodnie z dawno wydanym rozkazem.” (Listy Waszyngtona, Rękopisy T. IV, fol 32). Na to Pułaski, który przesłał był Waszyngtonowi zebrane od świadków zeznania, odpowiedział, że sądu dotąd zwołać nie mógł z powodu rozproszenia kawaleryi i nieobecności Moylana, t. j. oskarżyciela. „Jeśli Wasza Excelencya rozkaże pułk. Moylanowi stawić się lub przysłać oskarżenie i dowody, sąd zostanie natychmiast zwołany.” (List Pułaskiego 8 lutego z Trenton. Listy do Waszyngtona w rękopisach. Tom 21, fol 251). Widocznie wszakże Moylan uznał za właściwe nieukazywać się i sprawę nie poruszać.

dowały fort Mifflin. Pomimo wszakże obstrukcyj na rzece i pozostających w ręku Amerykanów fortów, zdołali Anglicy utorować komunikację Filadelfii z flotą przez jedną z wysp na Delawarze. Siły amerykańskie wynosiły: 8,313 armii lądowej¹⁾ i 2,717 milicyi. Garnizony Mud Island i Red Bank wynosiły 300 i 350 ludzi; dwa oddziały milicyi w pobliżu — 300 i 500. Niezadługo kończył się termin około 2,000 milicyi, lecz na miejsce uwolnionych, mieli przybyć nowi. Wreszcie komunikował Waszyngton wieść o kapitulacji Bourgoyne'a jako pogłoskę, jeszcze urzędownie nie stwierdzoną; nie było też żadnych wiadomości co do tego, co przedsięwzięcie Gates po owem zniweczeniu północnej armii brytańskiej.

Przedstawiwszy w ten sposób położenie rzeczy, główny dowódca postawił pytanie, czy mają przedsięwziąć coś przeciwko nieprzyjacielowi. Odpowiedź większości była ujemna. Na następane pytanie: jaką pozycję ma zająć armia, odpowiedziano: wzgórze na lewo od obecnego obozu. Prócz tego postanowiono wysłać posiłki obu fortom i zażądać posiłków od armii północnej.²⁾

Wskutek tego postanowienia przeniesiono obóz do White Marsh na odległość 13 mil (dwadzieścia parę kilometrów) od Filadelfii. Listopad upłynął bez żadnych ważniejszych zmian; tylko smutna wieść o ewakuacji fortu Mifflina 12 listopada przyszła do obozu. 24-go zwołał główny dowódca radę wojenną i jeszcze raz postawił pytanie: czy ma się coś przedsięwziąć przeciwko Filadelfii? Odpowiedź była, naturalnie, przecząca. Jakoż nazajutrz wyjechał Waszyngton, aby osobiście obejrzeć fortyfikacje angielskie w tem mieście i przekonał się, że są one zbyt potężne, aby można było coś przedsięwziąć. 30-go rozesłał więc do generałów zapytania: czy ma udać się armia na zimowe leże, czy pozostawać w polu? Jeśli pierwsze — to jaką obrać miejscowość?

Wszyscy generałowie nadesłali odpowiedzi pod datą 1 grudnia. Przytaczamy tu odpowiedź Pułaskiego, harmonizującą doskonale z niezłomną siłą charakteru, niewyczerpaną energią i zawsze żywą żądzą czynu, charakteryzującą tego wojownika:

„Wybór miejscowości pozostawiam tym, którzy lepiej obeznani są z krajem. Sam ograniczam się do rozważania korzyści,

¹⁾ Armiją lądową nazywały się wszystkie oddziały wojsk, które pojedyncze kolonie wysłały na oblężenie Bostonu w r. 1775 i które przeszły pod zarząd Kongresu, jako całość. Było to wojsko regularne, zaciągnięte na dłuższe terminy, lub na cały przeciąg wojny. Obok tego pojedyncze kolonie posyłały milicyę swoją na krótki termin.

²⁾ Rękopisy Kongresu Serya 52, tom 2, karta 278.

wynikających z przedłużenia kampanii, a niedogodności, jakie wypłyną z oddalenia się na posterunki zimowe. Trwanie nasze w stanie czynnym doda odwagi naszym przyjaciółom, będzie przeciwdziało osłabieniu energii młodego żołnierza i ćwiczyło go w trudach, które przebyli weterani, wprawiając zarazem w trudności zawodu i ucząc. Przeciwnie, nieczynność zimowego wypoczynku zrujnuje armię, odbierze odwagę krajowi, pozostawi rozległą część terytorium na rabunek i wyludnienie przez nieprzyjaciela. Obok tego, jak możemy wiedzieć, czy nie otrzyma nieprzyjaciel posiłków przed rozpoczęciem nowej kampanii? Sądzę więc, że tylko inwalidom z każdego pułku pozwolić należy oddalić się w miejscowość jakąś, gdzieby pod kierunkiem odpowiednio dobranych oficerów mogli wypocząć i wrócić do siły. Z resztą zaś uczyniłbym silny atak na nieprzyjaciela, skoro tylko zamarnie rzeka Schnylkill.“

K. Pułaski.

„Na wypadek jeśli postanowiony zostanie wymarsz na zimowe kwatery, proszę Jego Excelencyę o pozwolenie mi pozostania z oddziałem piechoty i kawaleryi w pobliżu linii nieprzyjacielskich.“

Przyszłość potwierdziła w znacznym stopniu przewidywania, wypowiedziane w tej notatce. Trudno jednak było mierzyć się osłabionej, źle ubranej armii amerykańskiej, z dobrze wyćwiczoną, a we wszystko zaopatrzoną żółnierzem angielskim, ukrytą tym przytem w okopach. W istocie tylko nieczynność Anglików przez zimę, ocaliła Waszyngtona.

Na kilka dni przedtem (23 listopada) złożył Pułaski Waszyngtonowi memoryał, w którym przedstawiał najpilniejsze potrzeby kawaleryi. Przytaczamy go w tłómaczeniu, według oryginału francuskiego, jako dający obraz stanu rzeczy w tej części wojska, a świadczący zarazem o gorliwości i pomysłowości jego dowódcy:

„Generale,

„Chęć spełnienia sumiennie obowiązku swego zmusza mnie do częstego przedstawiania Waszej Excellencyi rzeczy dotyczących kawaleryi; pożądanem byłoby zająć się nią jak najrychlej.

„Oto jest plan mój: jeśli będę o tyle szczęśliwy, iż odpowie widokom Twoim, niezbędnem jest, aby został wykonany bez zwłoki.

„I-o. Ponieważ nie ma widoków, abyśmy się udali rychło na posterunki zimowe, trzeba będzie utworzyć oddział, wybrany z całej kawaleryi a złożony z 1 majora, 2 kapitanów, 2 poruczników

ków, 1 korneta, 4 sierżantów, 10 kaprali i 120 dragonów. Reszta uda się z pułkownikami swymi na zimowe kwatery w miejsca, gdzie każdy pułk został sformowany. Tam p-wie pułkownicy zajmą się rekrutowaniem i ćwiczeniem żołnierza, a będą gotowi na początku kwietnia stanąć w miejscu, które obrane zostanie dla ćwiczeń zbiorowych. Potrzeba będzie tam zabawić ze 20 dni, aby dać kawaleryi należytą znajomość najniezbędniejszych ruchów wspólnych.

„2-o. Gdy cała armia stanie na zimowe kwatery, połowa reszty kawaleryi przyłączy się do pułków; pozostała zaś część, utworzona z samych podoficerów i dragonów, użyta zostanie do sformowania bosniaków (ułańów) z lancami, których podejmuję się sam wyćwiczyć doskonale. Powiększenie kawaleryi jest niezbędnem, jak nadmienilem już w poprzednim liście. Chcę więc uformować szwadron ułańów w liczbie 120, który będzie bardzo użyteczny, zaręczam za to.

Skład jego będzie następujący: 2 kapitanów, z których pragnę sam być pierwszym; 2 poruczników, 1 chorąży, 1 adjutant, 1 chirurg starszy, 1 kwatermistrz, 2 sierżantów, 10 kapralów, 2 trębaczy, 120 bośniaków, 1 kowal, 1 siodlarz. Ponieważ liczebność kawaleryi nie będzie jeszcze wystarczającą dla spełnienia wszystkiego, czego potrzebuje armia, potrzeba będzie mieć 200 milicyonerów konnych, którzy pełniąć mniej ważną służbę, ułatwią zadanie kawaleryi.

„3-o. Jest w kawaleryi oficer dosyć inteligentny, który znudzony będąc nieładem panującym w jego pułku,¹⁾ chce podać się do dymisji. Imię jego Henryk Belken; jest on adjutantem pułku. Byłoby stratą dla kawaleryi, gdyby on porzucił służbę. Można by go zadowolić dając mu nominację na kapitana przy kawaleryi z pensją, którą ma jako adjutant. Mogłby zostać przy mnie do chwili, póki znajdzie odpowiednie zajęcie. Potrzebujemy uczyć wszystkich oficerów; można by mu powierzyć ćwiczenia konne. Potrzebamy jeszcze przynajmniej trzech innych rozmaitej rangi, którzy będąc przywiązani do kawaleryi wogóle, nie obrażaliby pretensyj innych, a byłiby bardzo użyteczni w służbie.

„Powtarzam tu moje prośby o rychłą decyzję. Będzie ona stanowiła o losach broni, od której zależy może powodzenie całej armii.“

K. Pułaski, General Kawaleryi.²⁾

¹⁾ Pułk Moyłana.

²⁾ Listy do Waszyngtona (rękopisy). Tom 20, karta 37.

Piątego grudnia Anglicy ukazali się na Chesnut Hill i atakowali parokrotnie obóz amerykański, bardzo zresztą nieenergicznie, tak iż z łatwością odparci zostali.¹⁾ Wycieczka ta, zdaje się, miała na celu jedynie pozbycie się zbyt bliskiego sąsiedztwa Amerykanów. Jakoż w kilka dni później zwinął Waszyngton obóz w White-Marsh, a przesuając się zwolna stanął 19-go w Valley Forge, miejscowości obranej na zimowy wypoczynek.

Była to obszerna dolina otoczona skalistymi wzgórzami, tworzącemi rodzaj naturalnej fortecy, pokryta gęstym lasem, doskonale odpowiadająca potrzebom obronnego obozu, zaopatrzona w świeżą wodę, przez przepływającą w niej rzeczułkę, a umieszczona przy kilku drogach, prowadzących do Filadelfii. Położenie to ułatwiało przejmowanie zapasów żywności, podwożonych do miasta tego, odległego zaledwie o 25 mil od obozu amerykańskiego.²⁾ Był to prawie jedyny sposób prowiantowania, a że był niedostateczny, łatwo się domyśleć. Oddziały partyzanckie Amerykanów musiały staczać walki o prowiant z podobnymiż oddziałami konnymi ochotniczymi torysów, walczącymi pod sztandarami brytańskimi przeciw whigom, a których, dla ich rubasznosci, przewano pastuchami (cow-boys).

To też zima ta, która przytem była niezwykle surową, dała się boleśnie we znaki Amerykanom, w znacznej części pozbawionym ciepłego odzienia i obuwia. Na śniegu, okrywającym ścieżki obozowe, często widzieć można było krwawe ślady, pozostawione przez bose, pokaleczone nogi patryotycznych żołnierzy. Niekiedy, gdy w ciągu dni całych armia zostawała bez pożywienia, wychylały się z szafasów wychudłe twarze weteranów i krzyczano przechodzącym oficerom: „No bread, no soldier!“ (Bez chleba niema żołnierzy). Lecz na ogół znoszono cierpliwie wszystkie przywacye, a główny dowódca dawał przykład skromnością swoich wymagań i prostotą swego stołu. Kiedy większa część zamężnych obywateli Pensylwanii wyprawiała uczyty oficerom angielskim, opływającym we wszystkie wygody, a panie uprzyjemnia-

¹⁾ W akcyi tej brał udział Pułaski, jak widać z listu do Waszyngtona, Armanda (de la Rouerie), który, wyliczając w nim swoje zasługi, nadmienia: „u White Marsh, gdy nieprzyjaciel uderzył na nasze lewe skrzydło, ja rozpoznałem akcyę z garścią jazdy, aż nadjechał Pułaski i objął komendę.“ („Collection of the Histor. Soc. of. New York 1878.“ Listy Armanda).

²⁾ Około 40 kilometrów.

ły im długie, niezajęte miesiące zimowe, zabawami i flirtem, biedny ludek z wytrwałym wodzem swoim, przymierając z głodu i chłodu, trzymał wartę nieopodał, zaskaniając głąb kraju przed najazdem. Daremnie pisał Waszyngton pełne wyrzutów listy do kongresu, domagając się trzewików, kołder, chleba. Wszystko to przybywało powoli i w szczupłej ilości. To też dezercya, zwłaszcza ku końcowi zimy, dosięgła rozmiarów niesłychanych. Armia topniała szybko i zaledwie szczątki jej dotrwały do wiosny.

Te najsmutniejsze chwile wszakże nastąpiły już ku końcowi zimy. Pierwszy miesiąc obozowania upłynął wśród czynności i nie był pozbawiony przyjemnych chwil, przynajmniej dla oficerów. Zaraz po przybyciu na miejsce zajęła się armia budowaniem chałup drewnianych, w których miała przebyć zimę. Wszystkie były jednakowej wielkości i ustawione w równe szeregi tworząc ulice. Każdy przeznaczony był na 12 żołnierzy i odpowiednią do rangi mniejszą liczbę oficerów. Około Bożego Narodzenia przybyły żony niektórych dowódców: panie Waszyngton i Green ożywiały obecnością swoją zgromadzenia, którym werwę nadawał żywy temperament licznych oficerów francuskich.

Pułaski i cała kawalerya zostawała w obozie do końca grudnia, pełniąc liczne służby, pikiety, patrole, podjazdy, rekonesanse. Przez cały ten czas Pułaski gorliwie zajmował się planami organizacyi owej części wojska, przekładając Waszyngtonowi cały szereg memoriałów w tym przedmiocie. Przypomina on w nich dawne wywody o konieczności zwiększenia kawaleryi, obszernie je motywując, wytyka brak znajomości służby u oficerów i podoficerów, konieczność naznaczenia mistrza musztry, na które to stanowisko proponuje pułkownika Kowacza, niegdyś oficera w szeregach pruskich, podczas siedmioletniej wojny; wytyka potrzebę osobnego kwatermistrza i oddziału ułanów; wytyka dezorganizujący wpływ, jaki wywiera rozbijanie kawaleryi na drobne oddziały, przydawane do większych oddziałów piechoty; przypomina konieczność wysłania kwatermistrza dla przygotowania furazu w miejscowości, która przeznaczona zostanie na zimowe stanowisko dla kawaleryi; narzeka wreszcie na obciążenie jej czynnościami służbowemi i niedostateczne odżywianie. ¹⁾

¹⁾ Listy do Waszyngtona (rękopisy). Tom 20, fol. 177, 292, 294. T. 21, 223. Dwa z nich (1-szy i ostatni wydrukowane są w Sparksa *Correspondence of Revolution*, ostatni z drobnemi opuszczeniami).

31 grudnia otrzymał wreszcie Pułaski rozkaz wymarszu do Trenton na zimowe leże. 8-go stycznia 1778 r. stanął Pułaski w tem miasteczku, a następujący list pisany nazajutrz do Waszyngtona wskaże, jak mało uwzględnione zostały jego wskazówki, a zarazem jak gorliwie zajmował się sprawami swego oddziału:

„Panie,

„Przybyłem tu wczoraj z kawaleryą; spodziewałem się znaleźć dostateczną ilość furazu, chociażby na dni kilka. Oficer prowiantowy mojej brygady był zawiadomiony przez pułkownika Biddle'a, że zapasy są porobione i że pozostaje tylko wydać je. Stało się przeciwnie: niema ani jednej fury siana w całym mieście, a z największą trudnością znaleźliśmy miejsce, gdzie złożyć głowy. Udałem się do władz cywilnych po wskazówki, jak utworzyć magazyn. Tymczasem konie potrzebują karmu. Zmuszony więc jestem podzielić je na kilka hufców i posłać o jakie dwie mile po za miasto, aż niezbędne środki, zapewniające prowiant i kwatery zostaną przedsięwzięte.

„Nie będę mógł rozkwaterować jazdy w tem mieście, chyba że odwołają stąd majtków, którzy utrzymują, że mają rozkaz od gubernatora i rady państwa pozostać tutaj, a jako pierwsi przybyli, czują się do tego w prawie. Potrzebuję pozytywnego rozkazu Waszej Excelencyi, jak mam postąpić, a jeśli otrzymam potwierdzenie poprzedniego rozkazu, koniecznem jest, aby kazano majtkom opuścić miasto. Mam zaszczyt oznajmić Waszej Excelencyi, że kawaleryi na wszystkim zbywa. Wypada ją musztrować i uczyć służby od pułkownika do szeregowca. Pułkownik Kowacz jest człowiekiem wysokich zalet i zasługuje na urząd instruktora. Jestto oficer, jakiego poszukiwać należy: pomimo jego gruntownej wiedzy, zdolności jego nakazują go przyjąć. Mogę go polecić i zapewnić, że Wasza Excelencya nie pożałuje położonego w nim zaufania. Jeśli ta propozycja podoba się Waszej Excelencyi, wtedy im prędzej zostaną o tem zawiadomiony, tem lepiej, przydałby się bowiem niesłychanie dla kawaleryi podczas kwaterunku zimowego.

„Spotkałem tu handlarza bronią z Easton, który podejmuje się dostarczyć mi lanc, pistoletów, karabinów i t. d. Jeśli Wasza Excelencya aprobuje ten wybór, Kwaternistrz Generalny odbierze Pańskie rozkazy w tym względzie.

Po wsiach są tu doskonałe konie; ponieważ pułkownik Lutherloh uzyskał rozkaz poboru koni zdatnych do służby, mógłby tu

nabyć niemało. Nie potrzeba wszakże zwlekać, gdyż jak słyszę, wiele osób sprzedaje je nieprzyjacielowi.“

Pozostaję z szacunkiem

K. Pułaski, Generał.

Trenton, 9 stycznia 1778.

Waszyngton odpowiedział 14-go proponując Flemingtown zamiast Trenton. „Skoro tyle powiedziane było o zdolnościach i charakterze p. Kowacza, ¹⁾ pisze dalej główny dowódca, nie mam nic przeciwko temu, aby został przyjęty w roli naczelnika musztry na kilka miesięcy; jednocześnie muszę ostrzedz Pana przeciwko pochopności do wprowadzania cudzoziemców do służby: ich nieznanomość języka, kraju i ducha narodowego powoduje często trudności i niesnaski, na które nie powinniśmy się narażać, chyba dla wyjątkowych talentów i zalet.“ ²⁾

Po bliższem zbadaniu okolic rozmieszczono pułki w pojedynczych miastach: Baylora i Moylana w Flemingtown: Blanda i Sheldona w Penntown. Sam Pułaski został w Trenton z oddziałem wybranym z wszystkich pułków, który ćwiczył osobiście. Jednocześnie zajął się układaniem regulaminu dla służby kawaleryjskiej, który chciał wydrukować i rozdać oficerom.

Jako przykład niekarności i brutalnego obejścia, z którym ciągle walczyć musi, przytacza Pułaski następujący epizod: „Dwóch dragonów z pułku Moylana okazali brak uszanowania względem oficera, imieniem Tassi, który aresztował ich i prowadził do mojej kwatery. Gdy jeden z nich chciał udać się do mnie, oficer chwycił szablę szyldwacha i zadał dragonowi dwa ciosy, które okaleczyły go. Aresztowałem oficera za jego pasyę i za użycie szabli szyldwacha, również jak i obu dragonów. O ile mam powód narzekać na złą wolę oficerów (tego pułku), o tyle mogę tylko chwalić oficerów pułku Blanda, którzy zachowują się z największą właściwością...“ „Mało wygraliśmy zmieniając nasze kwatery—dodaje żartobliwie, kończąc ten długi list—w obozie kawalerya dostawała rum od czasu do czasu, tu go wcale nie mamy. Mam nadzieję, Generale, że gdy wydajesz rozkazy o dostarczeniu

¹⁾ Crovatch w rękopisie.

²⁾ Listy Waszyngtona do Generalów, Egz. B. — V. 152. (Kopie pod jego kierunkiem sporządzone. Znajduje się tu wiele listów, które pozniwały już z egzemplarza, zawierającego autografy).

piechocie środków dodania sobie wesołości, nie zostawisz i kawalerii w złym humorze.“¹⁾

Główną troską Pułaskiego był ów oddział „lansierów“ czyli ułanów, do którego wybrał najlepszych dragonów, ćwicząc go osobiście. Chciał z niego, jak domyślać się wolno, utworzyć oddział doborowy, dobrze wyćwiczony, odważny, zwinny, na wszystko gotowy, z którymby mógł dokazywać takich cudów jak niegdyś w Polsce.²⁾ Na kapitana do niego proponował Craig'a, oficera zniechęconego przez Moylana; na porucznika — Zielińskiego. Czyniąc tę propozycję Waszyngtonowi dodaje, że Zieliński już służył w podobnym oddziale w Polsce i że ręczy za jego odwagę i inteligencję w służbie. „Donosiłem Waszej Excellencyi o jego sprawie z pułkownikiem Moylanem, mówi Pułaski, będziesz Pan ją sądził nie jako sędzieja publiczny, lecz jako człowiek i żołnierz, który rozumie wartość honoru i umie go utrzymać...“ „Mam nadzieję, że pozwolisz mi uwolnić go (Zielińskiego) z aresztu; odpowiadam za to, że nie uchyli się od sądu i że nic nie przedsięwzięmie przeciw p. Moylanowi. Zapewniam Cię, Generale, że gdybym nie znał jego talentów militarych, wołałbym wysłać go do Europy, niż zajmować się tu jego sprawą... Wasza Excelencya dajesz mi do zrozumienia, że mało oszczędzam kawalerię i że jest bardziej obciążona służbą, niż to było w obozie. Mam zaszczyt donieść Ci, że przyniesiono Ci fałszywą wiadomość, a ci, którzy chcą Cię w błąd wprowadzić, muszą być surowo ukarani. Kawaleria wymaga więcej troskliwości i więcej czasu na ćwiczenia, niż piechota. Zadają sobie wiele pracy, aby uczyć ją; lecz jeśli wszyscy niezadowoleni znajdować będą posłuch, lepiej będzie, abym się oddalił ze służby, gdyż muszę albo protegować nieporządki i próżniactwo, albo wywoływać niezadowolenie.“³⁾

Na początku lutego (4-go) donosił Pułaski Waszyngtonowi, że ma w Burlingtonie nagromadzony zapas furazżu, wystarczający na wyżywienie koni całej kawalerii w ciągu dwóch tygodni i miejsce to proponował na ćwiczenia ogólne dla wszystkich pułków konnicy.⁴⁾ Dziesiątego posyłał mu zupełnie wyekwipowanego ułana na wzór, załączając kosztorys podobnegoż wyekwipowania dla

¹⁾ Listy do Waszyngtona (rękopisy). T. 21, fol. 161.

²⁾ W literaturze amerykańskiej przechowało się sporo anegdot o niezwykłej zręczności Pułaskiego, oraz o sztukach, jakie dokazywać umiał na koniu.

³⁾ 29 stycznia 1778. Listy do Waszyngtona. T. 21, fol. 215.

⁴⁾ Tamże. T. 21, fol. 234.

całego oddziału i nagląc o zadośćuczynienie potrzebom kawaleryi. „Cokolwiek ma być dla nas uczynione, powiada, mam nadzieję, iż zostanie wykonane bez zwłoki; czasu bowiem nie wiele zostaje, a przypuszczam, że kawalerya rozpocznie przyszlą kampanię; jeśli nie będzie w stanie tego uczynić, nie będzie to pochodziło z braku starań z mojej strony.“¹⁾

Doznał wszakże Pułaski zawodu w tym kochanym planie swoim; 14-go lutego Waszyngton pisał do niego: „Otrzymałem list pański z dnia 10 stycznia z kosztorysem odzienia i wyekwipowania (oddziału) kawaleryi i przedłożyłem go Komitetowi Kongresu.“²⁾ Ci panowie w żadnym razie nie zgodzą się na projekt, który wydaje się im tak nadzwyczajnie kosztownym. Ponieważ każdy z pułkowników przedsięwziął zaopatrzenie swego pułku, ułani zaś mają być z nich wybrani, ludzie więc, którzy wejdą w skład tego oddziału muszą być zaopatrzeni w odzienie i broń narówni z innymi dragonami.“³⁾

Pułaski został widocznie dotknięty tą odmową; 19 lutego pisał do tegoż Komitetu:

„Panowie,

„Mam przykreść widzieć najlepsze plany moje obrócone wniwecz przez tę lub ową okoliczność: przypisuję to klimatowi tego kraju, który tak wpływa na mieszkańców jego, że każe im ustawicznie różnić się w opinii ze mną, chociaż od naszego porozumienia zależy powodzenie moich zamiarów. Przewyciężając niezliczone przeszkody dostałem wszystkie rzeczy w sposób przystępny, wyszukałem rzemieślników dla wykonania tego co niezbędne dla kawaleryi, wciąż jednak nie mogę być zrozumiany przez tych, do kogo udaję się o pomoc i poparcie. Projekt mój utworzenia oddziału lansierów nie został, jak widzę, przyjęty przez Was, Panowie, dzięki sumie niezbędnej na jego wyekwipowanie. Nie po-

¹⁾ Tamże. Tom 21, fol. 272.

²⁾ Bawiącemu wówczas w obozie dla porozumienia z Waszyngtonem. W skład jego wchodził: Franciszek Dana, Józef Reed, Nataniel Folsom, Jan Harvie, Karol Carall i gubernator Morris. Głównym przedmiotem debatów było polepszenie armii. Waszyngton przedstawił w tym przedmiocie memoryał na 50 stronach folio ułożony na podstawie relacyi generalów. Komitet bawił w obozie około 3 miesięcy, a odjechać musiał znacznie później, niż podaje Baker (*Washingtons Itinerary*), skoro Pułaski spodziewał się go zastać na początku kwietnia (ob. niżej).

³⁾ Waszyngton do Generalów (rękopisy). T. V, 54.

winno to stanowić przeszkody, gdyż postaram się wyekwipować go za sumę, jaką zechcecie mi przeznaczyć. Dajcie mi znać jaką ma być i prześlijcie pieniądze, a wyekwipuję czterdziestu ułanów. Prawda, że z taką liczbą nie będę się mógł bardzo przyczynić do wygrania bitwy, lecz okaże się widocznie niekorzyść tego, że nie ma ich więcej, a wtedy nie odmówią mi wyekwipowania tylu, ile żądać będę.

„Mam zaszczyt zawiadomić Panów, że Anglicy zwiększyli swoją kawaleryę, kupując konie od przyjaciół swoich¹⁾ za jakąkolwiek bądź cenę; od innych biorą bez opłaty, gdy my tymczasem oczekujemy aby je nam dostarczono po cenie, za którą nie mogą być nabyte. Niedawno kupiłem trzy konie na własny użytek; z tych jeden kosztował mnie 1000 dolarów: dwa inne po 1200, a żaden z nich nie jest zbyt dobrym dla prostego dragona. Cena koni sama wystarcza, aby zrujnować człowieka, który chce być dobrze zaopatrzonym na potrzeby służby. Z tego powodu zmuszony jestem prosić o pensję swoją, jako generała kawaleryi. Nie upominałbym się o nią dla innego celu, jak tylko na zaopatrzenie wyżej wymienionego oddziału. Proszę więc o wypłacenie mi jej od czasu mojej nominacyi do sierpnia r. b. Mam nadzieję, że zechcecie uwzględnić nadzwyczajne wydatki, jakie ma generał kawaleryi w porównaniu z generałem piechoty. Doświadczyłem już ich, a we wszystkich innych krajach, różnica jest czyniona we wszystkich względach.

„Mam nadzieję, iż Panowie zaszczytacie mnie odpowiedzią również, jak i na dwa poprzednie listy, które miałem honor Wam przestać. Załączam projekt regulaminu dla kawaleryi na Waszą aprobatę; jeśli ją uzyska, proszę o możliwie rychły zwrot jego z rozkazem, aby był wydrukowany w celu rozdania w pojedynczych pułkach.

Mam zaszczyt i t. d.

K. Pułaski, Generał Kawaleryi.²⁾

Rozdrażniony ton tego listu tłómaczy się po części ustawiczną obstrukcyą jego zamiarów, po części pozostawieniem bez odpowiedzi listów, o czem nadmieniam. Widzimy z niego, że pensyi dotąd nie pobierał, a nie znaleźliśmy nigdzie śladów, iżby ją pobierał później. Waszyngton mówi o jego „bezinteresownych usłu-

¹⁾ T. j. torysów.

²⁾ Listy do Waszyngtona. Tom 21, str. 275 (Rękopisy Kongr.).

gach.“ Przeciwnie nawet, z późniejszego się okaże, że znaczne sumy własne wkładał na wyekwipowanie legii.

Rozgoryczenie Pułaskiego znalazło wyraz w liście do siostry (zapewne Amy) pisany w kilka dni potem:

24 lutego 1778, z Trenton.

„Dość wiedzieć będziesz o mnie, Kochana Siostrze, że zdrowie moje jest w całości, powodzenie zaś rozmaite, jak w czasie wojny. Ja tu komenderuję całą kawaleryą; w różnych byłem atakach dość pomyślnie; bawić tu długo nie myślę. Obyczaje tutejsze nie mogą się zgodzić z moim humorem, do tego i strata jest próżna czasu w tej służbie: nie dobrego czynić nie można. Ludzie tu są bardzo zazdrośni: zgoła wszystko przeciwne. Jednak jeszcze przyszłej kampanii bawić tu będę. Dalej, jeśli będzie można, handlować zacznę, co tu jest najużyteczniejsze. Dług Marquis d'Essange przypominam; jeśli można będzie co mi posłać, przez jego ręce mnie dojdzie. Adieu. Imci do nóg upadam i całej familii kłaniam.“

Pułaski,

Général de Cavalerie des États Unis. ¹⁾

V.

Wyprawa do N. Jersey. — Opuszczenie dowództwa kawaleryi.

W kilka dni po tym zawodzie spotkała Pułaskiego nowa przykrość. W tym czasie Anglicy zrobili wycieczkę z Filadelfii do Nowego Jersey w celu ściągnięcia furazu i bydła dla żywienia armii. Waszyngton, zawiadomiony o tem, wysłał natychmiast generała Wayne'a z oddziałem piechoty, polecając mu niszczenie

¹⁾ Jest to jedyny list do rodziny z czasów pobytu w Ameryce, który do nas doszedł. Podaje go Julian Bartoszewicz według autografu w *Encyklopedyi Powszechnej* Orgelbranda (art. Pułaski). Nadmienia też o drugim, który posiadał. Daremnie udawaliśmy się w tym przedmiocie do syna jego p. Kazimierza Bartoszewicza w Krakowie: nie miał już żadnego z tych listów, a nie mógł objaśnić, gdzie się znajdują. Wielka szkoda, gdyż są to jedyne źródła, z których nieosłonięte urzędową formą prawdziwe uczucia bohatera naszego w tej dobie wyczytać można.

furażu i przeszkadzanie, o ile będzie możliwe zamiarom nieprzyjacielskim. „Pisałem do generała Pułaskiego, dodaje główny dowódca, aby okazał Panu wszelką możliwą pomoc z niewielkim oddziałem kawaleryi, jaki ma w Trenton.“¹⁾ Musiał list Waszyngtona do Pułaskiego opóźnić się, tak iż Pułaski otrzymał niespodziewanie zlecenie od Wayne'a, aby połączył się z nim w Mount Holly.

Dotknęło to go podwójnie. Najprzód przy wstąpieniu do armii, parokrotnie zaakcentował był chęć nie zostawiania pod inną komendą, prócz głównego dowódcy; a chociaż, jak widzieliśmy, Lovell dał był nieprzychylną opinię co do tego zastrzeżenia, żadna wszakże rezolucya w tym przedmiocie nie była Pułaskiemu zakomunikowana. Uważał więc żądanie to za przyjęte. Powtórnie, zlecenie oddania się pod komendę Wayne'a, który chociaż w jednej był randze z Pułaskim, ale miał dawniejszą nominacyę, nie przyszło od głównego dowódcy, tylko od samego Wayne'a.

Napisał więc Pułaski 24 lutego do Waszyngtona, prosząc o wyjaśnienie obowiązków swoich:

„Panie,

„Przesyłam przy niniejszym list gen. Wayne'a, który zaszczycił mnie rozkazem swoim, abym się z nim połączył w Mount Holly. Odpisałem mu, że to nie jest możliwe, gdyż cała jazda, jaka przy mnie zostaje, tworzy mały oddział niezbędny dla służby miejscowej. Że na ogół, nie mógłbym zebrać więcej od 18 ludzi,²⁾ z których najlepiej zaopatrzonych posyłam na drogę do Filadelfii,³⁾ w celu konwojowania transportów wołów idących do armii.

„Pragnę zapytać Cię, Generale, czy będąc brygadierem młodszym od innych,⁴⁾ muszę podlegać ich rozkazom? Potrzebne mi jest to wyjaśnienie. Wiem, że w innych krajach naczelnik kawaleryi podkomendny jest tylko dowódcy armii; tak więc wstępując

1) Listy do generałów. Rękopisy B. T. V, 104. Także u Sparksa *Washington's Writings*. T. V, str. 250.

2) Prawie wszystko odzienie, rynsztunek i broń oddane były do reparacyi, o czem donosił Pułaski Waszyngtonowi w liście z 31 stycznia: „Wysłałem do naprawy wszystką broń i cały rynsztunek i żołnierze są źle ubrani,“ prosi z tego powodu, aby ich czasowo zastąpiła milicya w pikietach i patrolach. (Listy do Waszyngtona, t. 21, 220).

3) Ta sama droga prowadziła z Trenton do Valley Forge.

4) T. j. z nominacyą późniejszą.

do armii sądziłem, iż będę jedynie od Ciebie zależny; jeśli jest inaczej, muszę o tem wiedzieć.“

Pozostaję z poważaniem i t. d.

K. Pułaski, Gen. Kaw. ¹⁾

Trenton 24 lutego.

Na to odpisał Waszyngton 1 marca:

„Panie,

„Otrzymałem list pański z d. 24 ostatniego miesiąca i w odpowiedzi na pańskie pytanie, dotyczące prawa komendy pomiędzy oficerami równej rangi w piechocie i w kawaleryi, informuję Pana, że niema w naszej służbie innego pierwszeństwa prócz tego, które wynika z czasu służby. Oficer, którego nominacya ma wcześniejszą datę, dowodzi nad wszystkimi posiadającymi ten stopień zarówno w piechocie, jak i w kawaleryi.

„Pan zechce okazać generałowi Wayne wszelką możliwą pomoc i to tem rychlej, że służba, którą ma spełnić, jest wielkiej wagi. Liczba koni, wystarczająca na pikiety ku zapobieżeniu wszelkiej niespodzianej napaści nieprzyjaciela na jego oddziały, jest wszystkim czego się wymaga.“

Jestem etc.

J. Waszyngton.

Tymczasem nadejść musiał pierwszy list Waszyngtona z instrukcyami. ²⁾ Pułaski wyruszył więc zebrawszy ile mógł żołnierza. Stanąwszy na nocleg w Burlington, wysłał przez kuryera do Waszyngtona następujący list, datowany „Burlington, 28 lutego 1778, o północy:“

„Panie,

„Mam zaszczyt donieść Ci, że zgromadziwszy całą kawalerię pułku Blanda oraz oddział, który mam przy sobie, znalazłem tylko 44 żołnierzy i 5 podoficerów zdatnych do służby, a chociaż i ci nie są w najlepszym stanie, wyruszyłem z nimi na nieprzy-

¹⁾ Listy do Waszyngtona. (Rękopisy). T. 22, fol. 77.

²⁾ Tego listu (wymienionego w liście do Wayne'a i w późniejszym do Pułaskiego) w archiwach nie znaleźliśmy.

jaciela. Zmuszony jestem spędzić noc w Burlington, gdyż droga jest nie do zniesienia. Jutro mam zamiar zrobić rekonesans i postąpię zgodnie z jego wynikami. Zobaczę się z gen. Wayne, naradzę się z nim i nie zaniedbam nic takiego, czego dobro służby wymaga; lecz nie spodziewam się być pod jego komendą; będę służył wszakże jakkolwiekby z uszczerbkiem własnym a w interesie publicznym.

„Następnie, Generale, będę starał się zmniejszyć kłopoty, jakie Ci przyczyniam, składając urząd, którym Kongres zaszczycił mnie wskutek Twego polecenia. Posyłam stąd dwie łodzie uzbrojone na rzeczulkę Anapes, aby z rzeki obserwować zbliżenie nieprzyjaciół, którzy o 2-iej po południu znajdowali się na czterech statkach w miejscowości, znanej pod nazwą San Merize. ¹⁾

„Powtarzam Waszej Excellencyi o konieczności uczynienia zadość potrzebom kawaleryi. Brak jej wszystkiego. Chciałem przynajmniej wyekwipować pułk Blanda i ułanów; lecz ponieważ nie sądzono mi tego uczynić, powinny być przedsięwzięte inne środki, ²⁾ bez zbytecznego polegania na pułkownikach, którzy niezawodnie nie są w stanie wypełnić tego. Nie ze względu na siebie to mówię, gdyż nie spodziewam się mieć zaszczytu stać na czele tego oddziału w przyszłej kampanii. Ponieważ jednak zawsze zostanę przyjacielem sprawy amerykańskiej, czuję się w obowiązku wypowiedzieć swój pogląd na rzeczy, tem bardziej, że jeśli dowództwo kawaleryi powierzone zostanie pułkownikowi Moylanowi, cała jazda będzie doprowadzona do tego stanu, w jakim jest obecnie jego pułk. Pułkownik Bland jest oficerem czynnym; najwłaściwszym byłby na to stanowisko; p. Moylan zaś mógłby być wynagrodzony czem innem. Mówię to, co uważam za konieczne i mam zaszczyt pozostać i t. d.“

K. Pułaski. ³⁾

Odpowiedź Waszyngtona ma datę 3 marca; zredagowana jest w wyrazach widocznie zmierzających ku złagodzeniu Pułaskiego:

¹⁾ Statki te (na Delawarze) służyły, zdaje się, ku ochronie wyprawy łądowej. Ob. niżej.

²⁾ T. j. ktoś inny,znaczony na dowódcę kawaleryi.

³⁾ Listy do Waszyngtona. T. 22, fol. 100. Cały własnoręczny i po francusku pisany. Tłómaczenia (jak zwykle obok innych listów) nie znaleźliśmy.

„Panie,

„Otrzymałem list pański z 28 ubiegłego miesiąca zawiadamiający, iż wyruszył Pan z częścią pułku Blanda, aby połączyć się z gen. Wayne'm; musiał Pan otrzymać moje instrukcye co do usług, jakie Pan ma okazać.

„Zamiar pański złożenia urzędu oparty jest na powodach, które jak sądzę, każą Panu uważać środek ten za niezbędną. Mogę więc tylko powiedzieć, że zawsze miło mi będzie dać świadectwo gorliwości i odwadze, jakie okazał Pan przy każdej sposobności.

„Właściwe środki przedsięwzięte są dla uzupełnienia kawalerji i nie wątpię, iż znajdzie się na stopie należytej przy otwarciu kampanii.“

Jestem i t. d.

S. Waszyngton. 1)

Czynność, której tak pragnął ustawicznie, i słowa uznania ze strony głównego dowódcy, rychło poprawiły humor Pułaskiego, chociaż nie wpłynęły na zmianę postanowienia.

Trzeciego marca wysyłał następujący list do Waszyngtona, pełen otuchy i zyczliwego usposobienia:

„Generale,

„Stoczyliśmy bitwę z Anglikami; lecz piechota przyszła cokolwiek za późno i w małej liczbie, tak iż Anglicy, ośmieleni, wyruszyli na nas z 3 armatami i 600 piechoty, których widziałem na własne oczy. Nasza piechota i konnica z początku atakowały, później broniły się wytrwale, a cofając się potrochu wracały do ataku. Zraniono mi dragonów i koni zabito. Trzech jest ciężko okaleczonych i trzech lekko rannych. Straciłem również w tej potyczce konia, który mię bardzo wiele kosztował i był doskonały; dostał on postrzał w nogę. Pozwolisz mi, Generale, tymczasem wybrać innego wśród koni dragonów, zanim sobie wynajdę według mego upodobania.

Mam zaszczyt donieść Waszej Excellencyi, że dragoni dokazali cudów. Są oni dobrymi żołnierzami, lecz pozbawieni będąc wszystkiego, tracą chęć do służby. Prześladowając nieprzyjaciela

1) Listy Waszyngtona do generałów. B. T. V, fol. III. Także Sparks T. V, 251.

wziąłem 7 jeńców, w których liczbie znajduje się jeden kapitan okrętu: chcąc z bliska przyjrzeć się naszym manewrom, wpadł w sieci. Wszyscy inni są najtkami, którzy rąbali drzewo i zostali odcięci przez naszą kawaleryę. Przed tym atakiem zaniepokoiłem ich w nocy, tak, iż cofnęli się pośpiesznie opuszczając także i Haddonfield; moje patrole, goniąc ich, schwytały jednego jeńca, który oświadczył, że było ich 1200 z 4 działami. Oto są szczegóły.

„Co się tyczy generała Wayne'a, dałem mu do zrozumienia, że nadużył swego starszeństwa i że wiedział, iż rozkazy jego nie dotyczyły mnie, wobec specjalnego rozkazu, który miałem od Waszej Excellencyi: że przytem wykluczony być muszę od wszelkiej innej zależności, jako dowódca kawaleryi; że wreszcie wstąpiłem do armii nie inaczej, jak pod warunkiem, że zostanę podkomendnym jedynie Głównemu Dowódcy. Że wszakże gorliwość moja dla służby przewyższa drażliwość na punkt honoru i że, po porozumieniu się z nim, uczynię wszystko, co on uzna za użyteczne do wykonania. Postąpiłem zgodnie z tem oświadczeniem i nie mam powodu narzekać na generała w jakimkolwiek bądź innym względzie. Przeciwnie, po tem oświadczeniu sposób postępowania jego był bardzo grzeczny i muszę mu oddać wszelką sprawiedliwość w tym względzie.

„Powtarzan Waszej Excelencyi, że konie są bardzo potrzebne; ta partya, która ze mną była, nie może się posługiwać nadal swemi, wskutek złych dróg. Jeśli znajdę u jakiegokolwiek kwakra¹⁾ dobrego konia, zabiorę go. Generał Wayne ma ich około 20, lecz nie daje mi ich, czekając na rozkaz.“

Mam zaszczyt i t. d.

K. Pułaski, Generał Kawaleryi.²⁾

Bardziej systematyczny opis potyczki znajdujemy w raporcie Wayne'a, pod datą 5 marca, z Haddonfield.³⁾ Dowiadujemy się z niego, że stanąwszy w Mount Holly, otrzymał wiadomość, iż nieprzyjaciel rozdzielił się na drobne oddziały, które zajęły się zbieraniem furazu, bydła i t. d. w okolicach. Postanowił więc

1) Kwakrowie wogóle byli przeciwnikami rewolucyi i w przeważnej masie należeli do torysów, t. j. zwolenników rządu.

2) Listy do Waszyngtona. T. 22, fol. 102.

3) Listy do Waszyngtona. T. 22, fol. 111.

wykonać szybki ruch w celu odcięcia niektórych z tych oddziałów. Około 9-ej wieczór stanął w pobliżu Haddonfield, gdzie naścignął go Pułaski w 58 koni. O dziesiątej Pułaski zrobił próbę ujęcia forpoczty nieprzyjacielskiej w odległości pół mili od Haddonfield, lecz nie udało mu się to. Pułkownik Stirling,¹⁾ dowodzący wyprawą, gdy otrzymał przesadne wieści o liczbie amerykańków, spłoszony odważnym atakiem Pułaskiego, zwinął pośpiesznie obóz o 11-ej w nocy i dotarł przed świtem do Coopers Ferry, naprzeciw Filadelfii, oddzielonego od niej tylko Delawarem, pozostawiając po drodze bydło, konie i wozy zagarnięte od mieszkańców, które Amerykanie zabrali do obozu i zwracali zgłaszającym się po nie.

Ponieważ wojsko amerykańskie znużone było szybkim pochodem, nie mógł Wayne wyruszyć wcześniej, niż o późnym poranku. Przytem chciał się zabezpieczyć z tyłu, więc posyłał po drodze do Salem zbadać, czy niema tam oddziałów nieprzyjacielskich. Dopiero przekonawszy się, że nie mu z tej strony nie grozi, udał się z Pułaskim obejrzeć pozycję nieprzyjacielską u Cooper's Ferry. Wiatr był zbyt silny, aby mógł się przeprawić do Filadelfii, lecz statki osłaniały jego flanki swojemi działami tak, iż (jak sądził Wayne) nie można było nie przeciwko niemu przedsięwziąć.

Około 4-ej wiatr spadł i Anglicy zaczęli przeprawiać bydło, którego jeszcze zatrzymali kilkadziesiąt sztuk. Widząc to Pułaski zaczął nalegać, aby atakowano ich. Rozkazał więc Wayne kapitanowi Doyle, który z 50 piechoty zajmował stanowisko wysunięte o 3 mile naprzód, uderzyć na nieprzyjaciela, posyłając resztę oddziału w ślad za nim pod dowództwem pułkownika Butlera. Tymczasem nadeszła wiadomość, że posiłki z Filadelfii przeprawiwszy się niżej, podążają ku Cooper's Ferry. Pułkownik Ellis z milicją zasłaniał im drogę i wyruszył na ich spotkanie.

Przednia straż pod dowództwem Doyle'a uderzyła w tej chwili na forpoczty angielskie,²⁾ zmuszając ich do cofnięcia się. Pułkownik Stirling wyruszył na jej poparcie. Oddział Amerykanów cofał się, utrzymując ogień i starając się zbliżyć do pułkownika Butlera, którego ruch był jednak zbyt powolny, Stirling zaś nie

¹⁾ Nie należy go mieszać z lordem Sterling, który walczył po stronie amerykańskiej, a z którym już spotykał się czytelnik.

²⁾ Zestawiając te dane z doniesieniem Pułaskiego, widzimy że, kawalerya jego brała udział w tym ataku.

usuwał się z promienia strzałów dział okrętowych, które rozpoczęły ogień, osłaniając go. Grenadyerzy hesseńscy usiłowali przejść z Filadelfii po moście na pomoc Stirlingowi, lecz wstrzymani zostali przez Ellis'a. Tymczasem noc zapadła; około 9-ej wieczór Anglicy przeprawili się, pod osłoną ciemności, do Filadelfii. Prawdopodobnie cały oddział zostałby zniszczony, gdyby, zamiast wypoczywać do późnego ranka, Wayne był pogonił w nocy za uciekającym ku Cooper's Ferry nieprzyjacielem. Ale generał ten, chociaż poetyzująca, a często bałamutna tradycja, ochrzciła go imieniem „szalonego Antosia“ („made Antoni“), był w rzeczywistości nie więcej zdeterminowanym od innych kolegów amerykańskich. O Pułaskim odzywa się on z wielką pochwałą: „Hr. Pułaski zachowywał się ze zwykłą sobie odwagą; zabito pod nim konia; raniono również kilka innych koni.“¹⁾

Prawie jednocześnie z doniesieniem o wydaleniu nieprzyjaciół z Nowego Jersey przysłała pochlebna relacya gubernatora Livingstona o postępowaniu Pułaskiego podczas pobytu w Trenton;²⁾ 14-go bowiem marca odpisywał Waszyngton Livingstonowi: „Jestem bardzo rad z przychylnego sprawozdania, które Pan daje o zachowaniu się hr. Pułaskiego w czasie pobytu w Trenton. Jest on gentlemanem bardzo czynnym i odważnym po nad wszelką wątpliwość; brak tylko mu dokładniejszej znajomości naszego języka i zwyczajów, aby uczynić zeń cennego oficera.“³⁾

(d. c. n.)

WŁADYSŁAW M. KOZŁOWSKI.

¹⁾ Listy do Waszyngtona. Rękopisy. T. 22, fol. III.

²⁾ Dotycząca zapewne głównie karności jego oddziału.

³⁾ Sparks, *Washington Writings*, V, 279. Ford, item, VI, 426. Raportu Livingstona nie znaleźliśmy w rękopisach. Jest list od niego bliskiej daty (2 marca, tom 22, fol. 92), lecz w nim tylko drobna wzmianka o Pułaskim, dotycząca oddziałów konnicy, o których pisał mu Waszyngton.

Wiosenne witanie ziemi.

Nie wszystko smutkiem, nie wszystko żałobą,
Jeszcze ty z nami, a my — jeszcze z tobą!
Nie odumarłaś sierot do ostatka,
Ty, — nasza matka!

Znów do swojego przytulasz nas łona,
Z ciemnicy grobu w blask słońca wskrzeszona,
Znów tchniesz moc swoją w mdlejących serc bicie,
Ty, — nasze życie!

O, karmicielko! O, stary nasz domie,
Gdzie gore Zniczem żywiące nas płomień,
Ty rody polne hodujesz i ptasze,
O, gniazdo nasze!

Piers twoja ciemna znów bierze kolory,
Tajnymi szumy gadają twe bory,
Sto rzek pieśń swoją do morza donasza,
Ty, harfo nasza!

Skowronki twoje znów lecą w błękity,
Szumi żurawi klucz zorzą nakryty,
Chlebem przyszłości twe pola runieją,
Nasza nadziejo!

Ucieczko słabych! Bezobronnych zbrojo!
Niezwycięzeni, przy tobie co stoją...
Ciebie wichr burzy ni grom nie przestrasza,
Ty — twierdzo nasza!

O, zatajona skarbnico ty ducha!
O, złoty szybie, skąd życie nam bucha!
W tobie się iści co będzie, co było,
Ty, nasza siło!

MARYA KONOPNICKA.

ROZMAITOŚCI.

Dwa listy Bronisława Trentowskiego do Joachima Lelewela. 1)

Oryginały listów niniejszych znajdują się w archiwum Biblioteki przy Muzeum Narodowym Polskiem w Rapperswilu. Rzucają one światło na stosunek dwóch polskich uczonych z pierwszej połowy zeszłego stulecia, i dla tego już samego zasługują na to, aby je opublikowano. Pozatem zawierają materiał dla biografa Trentowskiego, jak również dla badacza filologii polskiej. Jakiej wartości jest ten materiał — nie moja rzecz sądzić, niechaj ocenią go specjaliści: nie o krytykę dokumentu w danej chwili chodzi, ale, przez podanie do publicznej wiadomości tego, co nie wszystkim dostępne, o umożliwienie tej krytyki. Rola wydawcy ogranicza się na kilku wskazówkach biograficzno-bibliograficznych, jakie udało mu się zebrać i z odnośnych źródeł przy końcu zestawień.

I.

Lelewelowi

*Freyburg w Bryzgowii
dnia 18 maja 1837.*

Szanowny Panie!

Cześć, którą cały nasz Naród nieszczęśliwy Panu winien i która duszę mą wypełnia, zobowiązuje mię do przesłania Panu jednego egzemplarza dzieła mojego, które właśnie na widok publiczny wychodzi. 2) Wiem dobrze, iż praca ma wielu rodakom naszym się niepodoba, dla tego, że zamiast polityki czystą trudni się umiętnością, i że nawet w tych miejscach, gdzie o wolności mówię, więcej biorę względu na Niemców i ich wyobrażenia, jak na stromiectwa nasze. Od światła Pańskiego spodziewam się jednak sprawiedliwości. Czas pewien wymagał od historyka, żeby był bez ojęzyczny, bez mniemań czasowych i t. d. skoro chce być przyjacielem prawdy. Od filozofa wymagać tego w wyższym stopniu potrzeba. Ja przecież nie zaniedbałem

i wśród filozoficznego pisma i wśród najoderwańszych poszukiwań pokazać się Polakiem. Gdybyś Pan dzieło moje za godne przekładu na język francuski osądził i o przekładacza się postarał, zrobiłbyś mi wielką przyjemność.³⁾

Cześć i uwielbienie

Trętowski (tak!).

(na ćwiartce żółtego papieru 20.7 × 13.2 cent.).

II.

Wielmożnemu Lelewelowi⁴⁾

Frejburg w Bryzgowii
dnia 20 lutego 1843.

Czeigodny, zasłużony patriarcho nauki narodowej!

Wraz s tym listem przesyłam poszyt pierwszy *Roku 1843*,⁴⁾ który wychodzi w Poznaniu. Redaktorami jego są Libelt i Moraczewski. Ci błagają Cię przezemnie, Szanowny Panie, że jeżeli Ci podoba się dążność pisma, ażebyś raczył, stósownie do celu, zasilać je Twą pracą i Twem imieniem.⁵⁾ Przesyłki adresują się do księgarni Kamińskiego i spółki (którą jest Moraczewski) w Poznaniu. Honorarium dają niewielkie wprawdzie, lecz powiększyć się mogące z upowszechnieniem pisma. Wreszcie, jak ja sędzę, miłsze małe, a nawet żadne honorarium od największego, skoro pismo ma postęp i światło na celu. Pan znany jesteś ze swej bezinteresowności, a więc nie będziesz zwał na to.

List Pański z d. 25 maja 1842 otrzymałem. Miły mi był z dwu względów. Raz, że od Pana, drugi raz, że zajęty był Etymologią, nad którą wtenczas, przystępując do Loiki polskiej, pracowałem. Z uwagami mi porobionemi zgadzam się w ogóle i starałem się z nich korzystać. Nad Etymologią pracowałem dawniej wiele, jako filolog, poświęcający się szczególnie narodowej mowie i pisałem zgoła pod tym względem niektóre rozprawki do Pamiętnika Warszawskiego przed i z roku 1830. Później w Niemczech uczyłem się nie tylko nowej, lecz i starej Niemieczyzny, jaka jest np. w Lutrze, Nibelungach i t. p. To znowu wiodło mnie do Etymologii. Jednakże nigdzie nieróżnią się ludzie tak bardzo w zdaniu, jak na tych polach. Ja przyszedłem do przekonania, które podzielają ze mną Etymologowie niemieccy, że nie samogłoska, lecz spółgłoski stanowią wyrazowe pierwiastki, że samogłoska, jest tylko segieciem (vehiculum) dźwigającym pierwiastki, że samogłoska się zmienia niemal co język, a spółgłoski zostają, że wreszcie zmiana spółgłosek idzie zwykle nie za Etymologią, lecz za *Eufonią*. O tej Eufonii etymologicznej i gramatycznej pisałem dawniej rozprawę, drukowaną w Pamiętniku.⁶⁾ Chodziło Panu o wyrazy me *stalenie*, *stność*. Patrzymy na pierwiastki. Sanskryckie *asti* zostaje greckiem *εστιν*, to łacińskiem *est*, to zaś niemieckiem *ist*, a polskiem *jest*. Cóż tu jest korzeniem? Nie samogłoski *a*, *e*, *i*, *je*, które się co język

zmieniają, lecz spółgłoski *st*. Dalej w językach wypuszczających samogłoski, np. hebrajskim, haldejskim itd., jest zowie się li *st*. To *st* przyjmuje apostrof, albo s początku, albo na końcu, czyli raz jest 'st, a drugi raz st'. To zaś czyta się różnie, np. aest, ast, est, ist itp., stae, sta, ste, sti itp. Skoro więc samogłoski ulegają tu tak wielkim odmianom, i skoro nie na nich, lecz na *st* opiera się tu wyraźnie Etymologia, więc sądząc, iż moje *stnienie* i *stność*, jako pierwiastki (nie etymologiczne, lecz filozoficzne) istnienia i istności, są dobrze utworzonymi wyrazami.—Podobnież mam usprawiedliwienie co do wyrazu *strzeń*. Nie szło mi bowiem o *besstrzeń*, którego wyrazu także używam, chcąc oznaczyć brak przestrzeni wszelkiej, ale o *przestrzeń in potentio*, o ziarno nasienne przestrzeni. *Przestrzeń* jest oczywiście złożonym wyrazem. Zaczem to, czego szukałem, nie może być czem innym, tylko *strzenią*. Pogodzilibyśmy się tu snadno ustnie, lecz na piśmie trudno, gdyż jak widzę, mamy inne zupełnie pojęcia o przestrzeni. Co do innych uwag Pańskich, szczególniejsz dotyczących się końcówek, cieszyłem się bardzo, iż w liście Pańskim natrafiłem na me przekonania i stwierdzałem je przez to. Odróżniając *pożytek* od *użytku* i mówiąc, że pierwszy pochodzi od *pożywać*, drugi od *używać*, miałem, jak naturalna, na myśli pochodzenie grammatyczne, nie zaś etymologiczne, którem jest żyw, żyt.—Anschauung przekładam przez *widzenie*. Nasze widzenie, nie jest to li zmysłowe niemieckie *Sehen* lecz także łacińskie *videre*, znaczące widzieć duchem, pojmować etc. Jeżeli Pan raczysz dalsze mi czynić uwagi, nie tylko etymologiczne, lecz jakie zechcesz, przyjmę je z największą radością i poświęcę im całą mą uwagę. A niechodziło mi nigdy o mienie racyi, lecz o prawdę naukową i ustępuję chętnie tam, gdzie mogę się przekonać!

Co do mych prac literackich *Chowanna*⁷⁾ t. j. Pedagogika narodowa wyszła z druku w czterech tomach. Dziś jest w druku *Myśli*,⁸⁾ czyli loika narodowa w dwu tomach i wyjdzie koło Św. Michała. Zabiorę się za jakie parę miesięcy do napisania *Historji Filozofii*,⁹⁾ która przecież wymaga najmniej lat trzech pracy, mimo tego, że mam znakomite dla niej zapasy. Gdy loika wyjdzie, będę ciekaw szczególniejsz na Pańskie uwagi. Tu musiałem wprowadzić cały wielki *gieł* nowych wyrazów. Udało się mi przecieź zrobić użytek s przestarzałych i oddawna zapomnianych polskich wyrazów, ze stosowną do rzeczy odmianą. Wreszcie piszę rozprawy do Biblioteki Warszawskiej,¹⁰⁾ *Orędownika*¹¹⁾ i *Roku 1843*,¹²⁾ starając się służyć ukochanemu narodowi wedle mej siły i przyrodzonych usposobień. Od lat trzech piszę li po polsku, s poświęceniem mej kariery, które zrobić mógłbym, gdybym dłużej pisał po niemiecku. Zgoła me prelekcye¹³⁾ niemieckie zawiesilem, przekonywając się co dzień więcej, że niepodobna dwu Panom służyć. Chciawszy filozofować w Niemczech, potrzeba wszystkie swe wyteżyć siły; inaczej inni nas prześcigną. Tożsamo rozumie się o filozofowaniu w polskiem języku. Dziś żyję z autorstwa wraz z mą rodziną i skarżyć się nie mogę na biedę, gdyż zaeni patrioci poznawszy dopomagają mi, np. wynajdując dla mych pism wydawcę, co drukuje swym kosztem, a sprzedaż dzieła na mój dochód przeznaczają i t. p. Wzywano mię już dwakroć do Poznania, raz na Rektora szkoły Realnej, drugi raz na Rektora głównego liceum. Ale lubo duchowieństwo nasze protestowało przeciw mnie aż do samego króla. Czemu? Dlatego w gruncie, że jestem —

Dyssydentem.—List Pański napelił mię pewną melancholią. Czyliż i my młodsi nie powinniśmy spodziewać się śmierci, a szczególnie w obcym klinacie? Życząc Ci Panie najdłuższego życia i dobrego humoru ku szczęściu spólnej matki Ojczyzny, pozostaję z głębokim szacunkiem

Bronisław Trentowski.

(na arkusiku papieru listowego 21.2 × 13.2 cnt.).

- 1) Przypominam daty urodzin i śmierci Lelewela i Trentowskiego. Joachim Lelewel urodził się w Warszawie 22 marca 1786 r., zmarł w Paryżu 29 maja 1861 r. Bronisław Ferdynand Trentowski (Trętowski) urodził się w Opolu pod Warszawą 21 stycznia 1808 r., zmarł w Freiburgu w Bryzgowii 16 lipca 1869 r.
- 2) *Grundlage der universellen Philosophie von Bronislaus Ferd. Trentowski, Doctor der Philosophie, ehemaligen Lehrer am Gymnasium zu Szczuczyn in Polen, Carlsruhe—Freiburg—Paris. Herder—A. Jełowicki, 1837, in 8-o, pp. XVI, 339, 1 nlb.*
- 3) Dzieło to w przekładzie francuskim nie było drukowane.
- 4) *Rok 1843* (1844, 1845, 1846) pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych. Redaktor J. Moraczewski. Poznań. Druk i nakład Kamińskiego.
- 5) Lelewel w *Roku* żadnej pracy nie drukował.
- 6) *Pamiętnik umiejętności moralnych i literatury*, Warszawa, Gałęzowski, 1830, w 8-ce, Tom IV, str. 61—75: „Eufonia jako zasada języka polskiego,“ (podp.): Fer. Br. Trętowski (tak!).
- 7) *Chowanna czyli system pedagogiki narodowej, jako umiejętności wychowania, nauk i oświaty, słowem wykształcenia naszej młodzieży przez Bronisława Ferdynanda Trentowskiego. 2 tomy; Poznań, w Księgarni Nowej (Łukaszewicza), 1842, w 8-ce; T. I, str. 2 nlb, LXX, 2 nlb, VI, 2 nlb, 785, 1 nlb. T. II, str. 1119, 1 nlb, IV.*
- 8) *Mysłini, czyli całokształt loiki narodowej przez Bronisława Ferdynanda Trentowskiego. 2 tomy; Poznań, Nakładem Autora u N. Kamińskiego i S-ki, 1844, w 8-ce. T. I, str. 4 nlb, XXXVII, 1 nlb, 482, 2 nlb. T. II, str. 4 nlb, III, 1 nlb, 492, 4 nlb. (Notatka u Estreichera, Bibliogr. Polsk. t. IV: Dnia 4 kwietnia 1844 r. zabrała policya z drukarni cały nakład 750 egzemplarzy Mysłini. Kamiński odwołał się do najw. cenzury w Berlinie).*
- 9) Myślał już wtedy Trentowski niezawodnie o *Panteonie wiedzy ludzkiej*, który jednak opuścił prasę dopiero po jego śmierci, w lat. 1873—1881.
- 10) W *Bibliotece Warszawskiej* drukował Trentowski w r. 1842 (T. IV, str. 25—62) artykuł p. t. „Związek duszy z ciałem,“ podpisany B. T., z datą 8 maja 1841 r. Ponadto w r. 1845 (T. III, 537—582) podał

Teodozy Sierociński wypis z dzieła Trentowskiego p. t. „O uwadze i rozwadze.“

- 11) *Oređownik Naukowy*, pismo czasowe, poświęcone literaturze, historii, krytyce i nowinom literackim, wydawany przez A. Poplińskiego i J. Łukaszewicza, Poznań, 1840—45.

W *Oređowniku naukowym* drukował Trentowski:

a) Aforyzmy, dotyczące się ogólnego lub też naturalnego przeznaczenia człowieka, czyli rzecz o małżeństwie (Rok 1841, str. 213—217, 221—224, 229—233, 237—242, 261—266, 269—275, 293—298, 301—307, 309—313, 317—320; art. podp. imien. i nazwisk., oznaczony datą: Freiburg w Bryzgowii w ostatnim dniu r. 1840).

b) Wyciąg ze wstępu do Chowanny czyli systemu pedagogiki (Rok 1841, str. 73—77, 81—89, 93—100).

c) Stara walka wolności z koniecznością (Rok 1842, str. 25—29, 33—37, 41—45, 49—53, 57—61, 67—70, 81—87; art. podp. imien. i nazwisk., oznaczony datą: Freiburg w Bryzgowii 5 maja 1841).

d) Wyjątek z 2-go tomu Chowanny (Rok 1842, str. 78—80, 89—91; na str. 78 dopisek red., że niebawem dzieło całe prasę opuści. „Jakież by to było — pisze redakcyja — dla księstwa Poznańskiego szczęście, gdybyśmy w gronie naszym ujrzyć mogli do przewodniczenia młodzieży powołanego męża, który w naukach filozoficznych taką stanowi epokę, jaką Mickiewicz w poezyi. Poszukują podobno zdatnych przewodników naukowych instytutów; oto jest mąż, co nietylko u nas, ale i w Niemczech, Francyi i Anglii zaszczytby przynosił każdemu uczonemu zgromadzeniu, na którego czele by stanął.“

e) Listy naukowe

List pierwszy: O Szellingu (Rok 1842, str. 178—182, 185—189, 193—198, 201—205, 209—214, 217—220; art. podp. imien. i nazw., datowany z Freiburga w Bryzgowii dnia 9 kwietnia 1842).

List drugi: O Floryanie Bochwieu, Janie Bukatym i Eleonorze Ziemięckiej (Rok 1842, str. 387—390, 394—399, 400—405, 409—414 i Rok 1843, str. 1—6, 9—15, 17—21; art. podp. imien. i nazw., datowany z Freiburga w Bryzgowii d. 24 kwietnia 1842).

f) Demonomania czyli nauka nadziemskiej mądrości w najnowszej postaci (Rok 1844, str. 19—23, 24—30, 35—39, 43—45, 49—55, 57—64, 65—70, 73—79, 81—86, 89—94, 99—103, 105—109, 115—119, 121—127, 130—134, 137—143; art. podp. imien. i nazw., datowany z Freiburga w Bryzgowii d. 15 października 1843).

g) Ułamek z 1-go tomu Chowanny Bronisława Trentowskiego. Wydanie drugie (Rok 1845, str. 28—29, 33—37, 41—47, 49—53, 57—60, 65—70, 73—78).

- 12) W *Roku* (p. opis bibliogr. w dop. pod licz. 4) drukował Trentowski:

a) Stosunek filozofii do teologii (*Rok 1843*, T. I, str. 1—94; art. podp. i datowany, Freiburg w Bryzgowii d. 22 listopada 1842).

b) Hołne Wronski, czyli Mesyanizm polsko-francuski (*Rok 1844*, zes. II, str. 1—33; zes. III, str. 31—60; zes. IV, str. 51—82; art. podp. i datowany z Freiburga w Bryzgowii d. 20 grudnia 1843 roku).

c) Ułomek z Teozofii Bronisława Trentowskiego (*Rok 1845*, zes. I, str. 1—28; art. dat. z Freiburga w Bryzgowii d. 15 grudnia 1844 r.).

d) Czy można uczyć się filozofii narodowej od ludu i jakie cechy mieć powinna ta filozofia (Głos Bronisława Trentowskiego) (*Rok 1845*, zes. III, str. 1—38; art. datowany z Freiburga w Bryzgowii d. 5 lutego 1845 r.).

- ¹³⁾ Nie mogąc znaleźć w źródłach, jakimi rozporządzałem, dokładnego oznaczenia lat, w których Trentowski wykładał, zarówno co było przedmiotem jego prelekcji, zwróciłem się do sekretaryatu uniwersyteckiego w Freiburgu w Bryzgowii, skąd łaskawie nadesłano mi następującą odpowiedź: „Privatdozent Dr. Trentowski hat an der hiesigen Universität folgende Vorlesungen gehalten: *Wintersemester 1838/9*: Pädagogik. Metaphysik. Das Verhältnis Gottes zur Schöpfung als Einleitung zur Wissenschaft der Natur. — *Sommersemester 1839*: Logik. Logisches Repetitorium. Metaphysik. Philosophie der Naturkategorien und der Naturkanonik. — *Wintersemester 1839/40*: Philosophische Encyklopädie der Wissenschaften. Logik. Geschichte der Philosophie. — *Sommersemester 1840*: Philosophische Encyklopädie der Wissenschaften. Pädagogik. Metaphysik. — *Wintersemester 1840/41*: Logik. Geschichte der Philosophie. — *Sommersemester 1841*: Metaphysik. — *Wintersemester 1841/42*: Logik. — *Sommersemester 1842*: Logik. — *Wintersemester 1842/3*: Geschichte der Philosophie“ (list z d. 4 kwietnia 1905 r.).

Rapperswil, w kwietniu 1905 r.

KAZIMIERZ WOŹNICKI.

PIŚMIENNICTWO.

Archivum Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana wielkiego koronnego. Tom I 1553—1579, nakładem Hr. Maurycego Ordynata Zamoyskiego, pod kierunkiem Komisji historycznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydał Dr. Wacław Sobieski. Warszawa 1904 r.

W treściwej przedmowie, wydawca, Dr. Wacław Sobieski w następujący sposób przytacza powody, które wpłynęły na rozpoczęcie druku powyższego wydawnictwa: Zbliża się rok 1905, w którym 300 lat upłynie od chwili śmierci Jana Zamoyskiego, wielkiego kanclerza i hetmana koronnego. Kiedy dziś niepodobna się jeszcze zdobyć na skończoną monografię, tego, tak pełnego, tyłu różnemi pasmami snującego się żywota, trzeba poprzestać na pracy przygotowawczej: na wydaniu jego korespondencji. Wydawnictwo, którego pierwszy tom wychodzi obecnie w świat, jest owocem obrad III-ciego zjazdu historyków polskich, odbytego w Krakowie w r. 1900 z powodu jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Według powziętego planu, wydawnictwo ma być możliwie wyczerpującem. Zawrzeć ma wszystkie listy pisane do i od Zamoyskiego, jakie tylko da się gdziekolwiek odnaleźć. Okazało się, że wprawdzie w Bibliotece Ordynacji Zamoyskiej, znajduje się ich bardzo wiele, bo z górą 5200, ale brak jeszcze znacznej ich części, zwłaszcza zaś listów od Zamoyskiego, których szukać należy po różnych bibliotekach i archiwach, krajowych i zagranicznych.

Wydawca, zapoznawszy się naprzód należycie z materiałem złożonym w Ordynacji, odbył w latach 1901—1902 liczne podróże archiwalne do Krakowa, Lwowa, Dzikowa, Poznania, Gdańska,

Królewca, Nieświeża, Moskwy, Petersburga, Stockholmu, Wiednia, a nadto pozyskał pośrednio odpisy z Rygi, Rewla, Frauenburga (na Warmii), Rzymu (arch. watykańskie), Paryża i Londynu i zebrał przeszło 1500 listów i aktów, tak że cały zbiór z aktami i listami Ordynacyi Zamoyskich obejmuje około 7000 numerów. Całą tę masę aktów należało przedewszystkiem uporządkować chronologicznie, skopiować i wogóle przygotować do druku według zasad metody krytycznej. Dla tego powodu druk pierwszego tomu rozpoczął się dopiero w marcu 1903 r., a w 1904 mógł się okazać w druku. Tom powyższy obejmuje listy i akty z lat 1553 do 1579 w przeważnej części dotąd nieznanie i niewydane, Z ogólnej bowiem cyfry 430 tego tomu, to jest listów 362 a dodatków 68, wydano tu po raz pierwszy 351, a tylko 79 było już dawniej drukowanych.

Z całej masy 7000 listów przygotowanych do powyższego wydawnictwa, drobną tylko część, bo $\frac{1}{10}$ (przeszło 700) mieszczą w sobie już dawniejsze wydania, ale te drukowano dotąd dorywczo, stąd są porozrzucane po różnych dziełach, drukowane przytem po kilka razy. Już za życia Zamoyskiego, lub niebawem po jego śmierci, wydano niektóre jego listy. Sam Zamoyski wydał ich także pewną ilość. Ze wszystkich zaś archiwów i bibliotek, które dostarczyły materiału do powyższego wydawnictwa, na czele trzeba wymienić bibliotekę Ordynacyi Zamoyskich, a w niej przedewszystkiem zbiór korespondencyi kanclerza Zamoyskiego. Wszystkich listów w zbiorze, i to prawie samych oryginałów, w tem listów od samego Zamoyskiego, jest tylko około 46. Nadto do niniejszego tomu dostarczyły wiele materiału następujące biblioteki: 1) w Poznaniu, biblioteka hr. Raczyńskich, biblioteka Towarzystwa przyjaciół nauk, archiwum państwowe; 2) we Wrocławiu biblioteka miejska; 3) we Frauenbergu (na Warmii) archiwum biskupie; 4) w Gdańsku, archiwum państwowe; 5) w Królewcu, archiwum państwowe; 6) w Warszawie, biblioteka Ordynacyi Krasieńskich, archiwum Izby Skarbowej i archiwum główne; 7) w Krakowie, biblioteka Uniwersytecka i muzeum książąt Czartoryskich; 8) w Dzikowie, biblioteka hr. Tarnowskich; 9) we Lwowie, archiwum miejskie, biblioteka Ossolińskich, biblioteka hr. Baworowskich, hr. Dzieduszyckich, archiwum akt grodzkich i ziemskich; 10) w Sławucie, archiwum książąt Sanguszków; 11) w Nieświeżu, archiwum ks. Radziwiłłów; 12) w Moskwie, archiwum ministerium sprawiedliwości i archiwum ministerium spraw zagranicznych; 13) w Petersburgu, biblioteka publiczna i biblioteka sztabu generalnego; 14) w Paryżu, biblioteka narodowa; 15) w Rzy-

mie, archiwum watykańskie: 16) w Wenecyi, archiwum państwowe; 17) w Padwie, biblioteka uniwersytecka; 18) w Wiedniu, archiwum dworu i państwa. Co do sposobu i metody wydania, wydawca stosował się ogółem do zasad przyjętych w tym względzie w publikacjach Komisji historycznej Krakowskiej; w końcu zaś zaznacza, że wydawnictwo doszło do skutku dzięki trzem czynnikom: chętniej i hojnej pomocy hrabiego ordynata Zamoyskiego, pomocy prof. Tadeusza Korzona, przedewszystkiem zaś bezustannej pomocy prof. Wincentego Zakrzewskiego, jako dyrektora wydawnictw Komisji historycznej przy Krak. Akademii Umiejętności.

Przed korespondencją zamieścił wydawca na czele pierwsze- go tomu nieznany żywot Jana Zamoyskiego. Żywot powyższy napisany został w r. 1600 na rozkaz i pod okiem Zamoyskiego oraz został wysłany Karolowi margrabiemu Burgau, synowi arcyksięcia Ferdynanda Tyrolskiego (syna cesarza Ferdynanda), z jego małżeństwa morganatycznego z Filipiną Weser. Margrabia Burgau był właśnie w latach 1596 — 1604 komendantem wojsk cesarskich w Węgrzech; z tego to zapewne powodu korespondował z nim Zamoyski i na jego dwukrotną prośbę posłał mu swój portret i żywot, w którym tak dyplomatycznie omawia swoją walkę z arcyksięciem Maksymilianem po śmierci Stefana i akcentuje w zakończeniu swoją skłonność do „ligi“ przeciw Turkom. Nie podlega wątpliwości, że istotnym autorem tego żywota co do treści jest sam Zamoyski, a tylko formę mu nadał i opisał go któryś z domowników. Zdaje się, że owym domownikiem był Knut, którego zdolność oceniał Zamoyski czyniąc go podskarbinem na swoim dworze. Knut zajmował się także naukami, bo przenosząc się ostatecznie z Zamościa do Prus, poleca z drogi, aby mu przesłano sztukami, płynącemi do Gdańska, jego książki. Utrzymywał również stosunki z uczonymi, a o Szymonowiczu wyraża się jako o „amice meo.“ To właśnie, że ów żywot napisali domownicy Zamoyskiego, nadaje pewną cechę owemu „elogium“ a zarazem i wartość źródłową. Knut był ciągłym towarzyszem Zamoyskiego, pisał ten żywot na jego życzenie i niezawodnie pod jego kontrolą. Sam bowiem Zamoyski zaraz następnego dnia (po dacie listu Knuta) do margrabiego Burgau, w 1600 r. pisze list, nadmieniając skromnie, że choć nie równa się z wielkimi ludźmi, jednak chcąc dogodzić dwukrotnym jego prośbom, posyła obok portretu Króla Stefana i swego także „cum robore nonnullo meo“ i tę swoją biografię (rerum mearum descriptio).

Korespondencje, zawarte w tomie I, mają niewątpliwie wielkie znaczenie i doniosłość dla ustawy politycznej oraz cywiliza-

cyjnej państwa Polskiego. Przedewszystkiem znajdują się dokumenty stwierdzające, jak Zamoyski wpływał na rozwój prawa państwowego polskiego. Znajduje się bowiem w tym tomie wyrażony pogląd na elekcyę „viritim“, czyli szykiem bojowym, t. j. mówiąc inaczej pospolitem ruszeniem. W ten sposób zorganizowana elekcyja okazała się w skutkach najgorszem złem, wpychającem w przepaść Rzeczpospolitą, służyło jej jednak logiczne i prawdopodobne przypuszczenie, że tak imponującej masy szlacheckiej obcy pretendenci przekupywać nie tylko nie będą mogli, ale nie będą nawet usiłowali. Tymczasem rzeczywistość okazała najzupełniejszą mylność powyższych przypuszczeń i elekcyja „viritim“ zaważyła ciężko i złowroźnie na losach Rzeczypospolitej. Tak samo w pierwszym tomie znajdujemy pierwsze ślady instrukcyj poselskich i sejmików relacyjnych. Dowodzą one, że dopiero pod koniec XVI w. organizacja stanowa spowiła na wskroś sejmy i sejmiki polskie. Prócz tego w pierwszym tomie znajdujemy dowody, jak wcześniej Zborowscy poczynają się burzyć przeciw królowi Stefanowi i jak wcześniej powstają zawiści między Radziwiłłami a Chodkiewiczami. Ciekawym jest także szczegół wydobytający się z korespondencyi, jak król Stefan pragnie ożenić synowca swego z królowną szwedzką Anną i utorować mu drogę do sukcesyi w Polsce. Nietylko pod względem politycznym korespondencya pierwszego tomu jest nieocenioną. Znajdują się w niej bowiem nieocenione przyczynki do historii rycerskich obyczajów, do historii sztuki i do historii oświaty w Polsce i we Włoszech.

Na wydrukowanie całej korespondencyi trzeba będzie najmniej tomów sześciu, a gdy owa publikacya ukończona zostanie, można będzie pomyśleć na seryo o nowej monografii poświęconej Janowi Zamoyskiemu, która oświeci ówczesną dobę historyczną w Polsce i wydobędzie niejeden szczegół i zdarzenie. Wydrukowane w r. 1785 przez Staszica „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“ choć nie mogą dziś we wszystkim odpowiedzieć naukowej potrzebie, świadczą jednak, że Staszic miał poważną część korespondencyi w ręku i zużytkował ją należycie do swojej pracy. Wpływ bowiem Zamoyskiego na wytworzenie elekcyi „viritim“ i na zaprowadzenie sejmików relacyjnych, Staszic określił ściśle, nadmienając nawet o rozdaniu gruntów ordynackich na własność włościanom, o czem się nie dowiadujemy z pierwszego tomu korespondencyi.

W końcu nadmienić należy, że wydawca wyliczył wszystkich, którym zawdzięczamy owo piękne i poważne wydawnictwo, po-

nijając siebie najzupełniej. Do tego grona musimy go jednak zaliczyć, bo nie skąpił pracy sumiennej, wytrwałej, której tom pierwszy jest cennym i pożytecznym owocem.

A. R.

Prof. DYDYŃSKI. *Historja źródeł prawa rzymskiego*. Warszawa, 1904.

W poważnej pracy prof. Dydyńskiego, witamy rzadkiego gościa w literaturze naszej prawniczej, bo studjum historii prawa rzymskiego poświęcone. Autor należał do grona złożonego z czterech profesorów wykładających prawo rzymskie w byłej Szkole Głównej i on jeden wytrwał w pracy naukowej, poświęconej wykładanemu przedmiotowi, aż do chwili obecnej. Franciszek Maciejowski zamknął już bowiem w r. 1865 swoją działalność „naukową.” Okęcki w jednej tylko monografii, poświęconej prawu familijnemu u Rzymian, zamyka swe studia nad wykładanym przedmiotem, Paweł Popiel znikł z horyzontu Szkoły Głównej bez żadnego naukowego śladu, jeden tylko prof. Dydyński przypominał się w przeciągu lat bilizko czterdziestu, monografiami prawu rzymskiemu poświęconemi. Pierwszą jego dysertacją habilitacyjną, była rzecz o różnicy między zastawem (pignus) a hypoteką podług prawa rzymskiego. Następnie tłumaczył i objaśniał instytucje Gaiusa, dalej, wydrukował ciekawą rozprawę o prawodawstwie agrarnem u Rzymian i o cesarzu Hadryanie. Po niemiecku napisał rzecz specjalną o wydawnictwach „Corpus juris” Justiniańskiego. W końcu zaś słownik łaciński do źródeł prawa rzymskiego i wreszcie *Historję źródeł prawa rzymskiego*, którą poświęcił młodzieży uniwersyteckiej, oddającej się nauce prawa rzymskiego, owego po wszystkie czasy niewyczerpanego źródła wszelkiej wiedzy i mądrości prawniczej.

Na uniwersytecie warszawskim alexandryjskim miał prof. Dydyński poprzednika w wydrukowaniu historii prawa rzymskiego. Poprzednikiem tym był Wacław Aleksander Maciejowski, profesor używający wysokiej powagi w Aleksandryjskim uniwersytecie, który ogłosił w 1820 r. książkę p. t. „Principia juris romani,” gdzie sto dwadzieścia kilka stron poświęcono historii prawa rzymskiego. Pomijając język łaciński utrudniający, do pewnego stopnia przynajmniej, studjum przedmiotu, sama rozprawa Maciejowskiego po tylu latach jest już przestarzała i dość przejrzyć literaturę naukową niemiecką, na którą się Maciejowski powołuje, aby dostrzedz, że prócz nielicznych powag, jak np. „celeberrimus Savigny,” reszta

dawnych wielkości spoczęła w honorowym antykwarskim katalogu. Prof. Dydyński wystąpił więc ze swym podręcznikiem historii prawa na czasie i oddał młodzieży uniwersytetu warszawskiego niewątpliwej doniosłości usługi. Dla młodzieży akademickiej potrzebnymi są podręczniki stojące na wysokości zadania, czyli obejmujące najnowsze wyniki naukowych badań. Następnie młodzież słuchając przez tyle lat wykładów profesora, mimowoli żywi zaufanie do jego podręczników, stara się zapoznać bliżej z jego naukową treścią, pogłębiając tym sposobem własne studia i nie ograniczając je na posiłkowaniu się litografowanymi kursami. Podręczniki profesorów z innych uniwersytetów nie przemawiają tak żywo do umysłów młodzieży, a my jesteśmy jeszcze w tem położeniu, że nie mamy do wyboru innych podręczników. Wprawdzie mamy cenne monografie, historii prawa rzymskiego poświęcone, prof. Zolla z Krakowa, prof. Źródłowskiego ze Lwowa, ale nie są to podręczniki (Lehrbuch) w pełnem znaczeniu tego wyrazu, któreby mogły być należytą pomocą przy egzaminach w uniwersytecie warszawskim.

Historia źródeł prawa rzymskiego prof. Dydyńskiego przekonywa, że autor zawładnął należycie przedmiotem i zdobył w tym kierunku rozległą erudycję. W pracy swej uwzględnił prof. Dydyński najnowszą literaturę naukową, bądź to niemiecką, która jest najbogatszą, bądź francuską, włoską, rosyjską, czy wreszcie polską. Najważniejszą zaletą książki prof. Dydyńskiego jest jasność i treściwość wykładu, unikającego ogólnikowych frazesów i zbytnej rozwlekłości definicyi czy też naukowych wniosków. Autor uzasadnia zadania historii prawa rzymskiego przystępnie i zrozumiale, a myśl prawodawcy rzymskiego objaśnia wszędzie logicznie i konsekwentnie. Autor nadmienia, że od czasów Leibniza, nowsi prawnicy dzielą zwykle historję prawa rzymskiego na zewnętrzną i wewnętrzną. Zewnętrzna nauka prawa rzymskiego wskazuje nam dziejowe postępy tworzenia się ustaw i ich zbiorów, bada źródła prawa (fontes) i te stosunki państwowe, które na rozwój i doskonalenie się ustawodawstwa wpływały. Zadaniem zaś wewnętrznej historii prawa, jest rozbiór pojedynczych instytucyj prawnych, z wykazaniem powstania, ustanowienia, zmian i uchylecia tychże. Wewnętrzna nauka prawa, podług prof. Dydyńskiego, stanowi treść, czyli jakość wewnętrzną prawodawstwa rzymskiego popopolitego. Otóż z tego określenia wnosząc, Historia źródeł jest przeważnie historją zewnętrzną, nie można zatem wątpić że prof. Dydyński uzupełni ją niedługo historją wewnętrzną. Czytając ustępy jego podręcznika o senacie i senat-konsultach, które

i o państwie rzymskiem opowiedziały tyle ciekawych szczegółów, żałować należy, że autor pominął pracę przestarzałą wprawdzie cokolwiek więcej aniżeli „Principia juris romani“ Maciejowskiego, ale stanowiącą dla nas miłą pamiątkę, t. j. rozprawę Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana „De senatu romano.“ Zresztą podręcznik prof. Dydyńskiego przedstawia się bardzo poważnie i niewątpliwie odda należyte usługi młodzieży akademickiej.

A. R.

JÓZEF WEYSSENHOFF. *Syn marnotrawny.* Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1905, 8-o, str. 446.

Jak „Podfilipski“ jest historią jednego człowieka, który może być uważany za typ, tak „Syn marnotrawny“ kresli nam dzieje—rodziny. Wiele tu osób, tłum wypadków w różnych zakątkach ziemi, na północy i na południu; ale ostatecznie wszystko sprowadza się do zapytania: czy splendor i powaga możnego rodu Dubieńskich straci co na swoim blasku i chwale, czy rozbłyśnie na nowo, cnotę ojców przynosząc na synów.

Nikt nie wątpi, nie ośmiela się wątpić, że właściciele Chojnogóry są ludźmi naprawdę godnymi szacunku, godnymi tego, by zbliżano się ku nim z głową schyloną, z oznakami najgłębszej czci i bogobojnego strachu.

Pan Maciej, to patriarchy rodu, poważny i majestatyczny starzec, przed którym korzą się z szacunkiem wszyscy dokoła, bliżsi i dalsi, Rzymianin, senator, *pater patriae*. Głowę trzyma wysoko, bark nie zegn timer ku ziemi, choć ciężar honoru i dobrobytu rodu Dubieńskich na nich trzyma, co powie, to wyrocznia, choć złotem pisz głoskami. Dokoła niego, jak młode dębezaki u stóp rozłożystego praszczura, kupią się we wspólnej pracy dla dobra rodziny synowie, córka i zięć, a on sam, „wyciosany z granitu, nieprzepuszczalny na wpływy, posągowy, niby żyjący antenat, trzyma wysoko swój sztandar, na którym pod klejnotem rodzinnym „Dąb“ wypisał godło: Bóg mnie złamie, ludzie nie zegn timer.“

Wszyscy Dubieńscy są do siebie podobni: mają wysokie, wypukłe czoła, oczy jasne, nosy wydatne; syn idzie w ojca, wszyscy wspólną ożywieni myślą, wspólnem pragnieniem. A jeżeli nawet znajdzie się jakiś niespokojny duch, co wyleci precz z gniazda rodzinnego szybować po obcym niebie, niema w tem powodu do rozpaczy: wróci, wróci zbłąkany, skruszony, zapomni

o wybrykach młodości, bo—nie Dubieńskim przystoi walka z wiatrakami!

Miał pan Maciej stryjecznego brata Tadeusza. Gdzie ten człowiek nie był, czego nie przeszedł, na co się nie ważył! Należał do wyznawców „najzgubniejszych idei: socjalizmu, wolnomularstwa, liberalizmu“; z Turcyi przerzucał go los do Stanów Zjednoczonych, z Londynu do Wiednia; wreszcie, o zgrozo! ożenił się ze śpiewaczką teatralną. W Chojnogórze nie wolno było wymawiać jego imienia. Wszyscy mieli go już za straconego, zapisano go na indeksie zapomnianych.

A jednak — odnalazł się. Zrobił olbrzymi majątek, powrócił do kraju, usatkwował się najzupełniej, przystał nawet na małżeństwo swej córki jedynej Estelli z młodszym synem pana Macieja, Jerzym. Tak wielka jest potęga uczuć rodzinnych, głosu krwi, tak łączą się ludzie i — fortuny.

Ow Jerzy to po Tadeuszu druga „rana życia“ pana Macieja. Odrodził się, potoczył daleko od rodzinnej jabłoni. Nie wiedzieć, co trzymać o nim i jego przyszłości. To nic, że wiersze pisze; najlżejszy to grzech na jego sumieniu. Gorzej już, że na uniwersytecie w Krakowie wdał się w stosunki z młodą szkołą literacko-artystyczną, którą nazywają „dekadentami.“ To zaś najgorsze, że wpłatał się w romans z jakąś mieszczańką, panną Karoliną Kulig — gotów jeszcze jakie szaleństwo popełnić.

Pan Maciej, „namiestnik Chrystusowy w swoim powiecie,“ chwytła się ostatecznych środków dla ocalenia młodej latorośli domu Dubieńskich: posyła za Jerzym do Nicei córkę i zięcia, Władzia i Terenię ks. Kobryńskich, by wypłynęli na niego, odwiedli od pokus, wskazali drogę honoru i obowiązków.

Ale atmosfera tantejsza pełna jest miazmatów zepsucia. Wszyscy tu chodzą pijani, nawpół nieprzytomni, odurzeni, jak winem stuletniem, chodzą po tych drogach, „przystrojonych pachnącą roślinnością, nad morzem, chłodzącem zbyt upały, po domach i zakładach, urządzonych dla wszystkich zachcianek.“ Tu, w zgiełkliwym, różnobarwnym i błyszczącym przepychem i radością tłumnie mieszają się wszystkie nacye, sprowadzone tu jedną wspólną żądzą,—żądzą użycia, wychylenia do dna pułarów rozkoszy. Polacy, Francuzi, Niemcy, Anglicy, Żydzi tłoczą się razem przy stołach gry, wspólne urządząją wycieczki i zabawy. Oto kilka nazwisk: państwo Granowscy, państwo Rubensonowie, Anna Oleska ze swoim nieodstępnyim opiekunem, Fabiuszem Oleskim, Raul margrabia d'Anjorant z żoną i siostrą żony, lady Cosway, miejscowy cicerone i totumfacki, Edward hrabia Słuszka, baron

von Schwind Westfalczyk, państwo de Nielles, udająca hrabinę awanturnica, Fernanda de Sertonville, kilka kurtyzan bardzo wysokiego i kilka bardzo niskiego pochodzenia, kilku pretendentów do korony, powycieranych po antykamerach dworskich—wszystko to razem, zgodnie bawi się, szaleje, grzeszy.

Trudną więc misję mieli Kobryńscy do spełnienia. Łatwo było panu Maciejowi przy ciepłym rodzinnym kominku w Chojnogórze dawać ojcowskie rady i napomnienia, ale tu, pod upalnym słońcem południa, przyspieszającym bieg krwi w żyłach najpospolitszego nawet śmiertelnika, jakże ciężko odwieść kogoś od biesiady rozkoszy, jakże trudno i samemu ustrzedz się pokusy!

To też Władysław nie wyszedł cało z tego odmetu: rozmiłował się w hazardzie, przegrywał swoje i nie swoje pieniądze, pożyczając zewsząd, pofałszował podpisy żony na wekslach, dał się usidlić wdziękowi pani de Sertonville. I tylko szybka akcja ratunkowa Tereni i jej starszego brata Romualda, którzy śpiesznie wywieźli go z tego przekłętą kraju, ocaliła honor rodów Kobryńskich i Dubieńskich.

A Terenia, słodka, dobra, łagodna Terenia? Zgrzeszyć nie zgrzeszyła, boć czyż można grzechem nazwać wzięcie udziału w czarownej wycieczce morskiej na jachcie d'Anjoranta? albo to przelotne, prawie niewinne uczucie sympatii, może siostrzanej, może odrobinę więcej niż siostrzanej, dla Antosia Granowskiego, młodego i rozumnego chłopczyka? Ale wstydzi się nawet tej myśli i płoszy ją surowym przypomnieniem obowiązków i cnót.

Stanowczo powietrze nicejskie ma w sobie coś oszałamiającego. W sukurs Kobryńskim przyjeżdża Romuald, taki stateczny, poważny młodzieniec, najwięcej ze wszystkich dzieci do ojca podobny. Jedna wizyta u pani de Sertonville, jedno spojrzenie jej płomiennych oczu, jedno rozkoszne dotknięcie jedwabnej jej słów—i byłby się może zapomniał. Ale trzeba było wracać do Chojnogóry, nie było pozoru do pozostania dłużej na jasnym brzegu: hartowna dusza Romualda ocalała od skazy. Ma więc prawo ten człowiek powiedzieć do siostry w powrotnej podróży do kraju:—Tak, tak, Tereniu. Cokolwiek się mówi, życie nasze jest twarde. A „niezłomna“ siostra doda z powagą i przeświadczeniem: — Ale szczytne.

Traf chce, że akcja, którą Dubieńscy przedsięwzięli dla ocalenia i uleczenia marnotrawnego Jerzego, spóźnia się zawsze — o jedną dobę. Siostra przyjeżdża do Nicei nakłonić go do porzucenia panny Kulig—okazuje się, że już oddawna ją opuścił, zuu-dzony śmiertelnie jej sentymentalizmem małomiejjskim. Romuald

udaje się do pani de Sertonville, chcąc wpłynąć na nią, by powróciła swobodę Jerzemu, już wtedy, gdy sam Jerzy o niej dawno zapomniał, w inną stronę zwróciwszy swe serce.

Raz tylko trafiono w porę. Jerzy uwikłał się w romans z panią Anną Oleską, piękną, młodą wdową. Sprawy zaszły daleko. Już i pierścionki zamieniono, i Jerzy pisał do ojca z zawiadomieniem, że oświadczył się o rękę pani Anny i został przyjęty. Czuwał wszakże geniusz Dubieńskich; wszyscy zgodnie wyteżyli siły, by zapobiedz skandalowi. Ojciec zagroził Jerzemu cofnięciem pensyi, brat kategorycznie zażądał w imieniu rodziny zerwania, siostra prosiła i tłómaczyła; nawet stryj Tadeusz, na którego Jerzy najbardziej liczył, okazał się tym razem prawdziwym Dubieńskim i wszelkiej pomocy odmówił. Jerzy z początku buntuje się i bluźni, a kiedy Romuald grozi mu, że ojciec go wydziedziczy, woła w rozgoryczeniu: „Znam to, już Terenia przywozła mi podobne pogrózki. Namyślałem się nad nimi i doszedłem do ciekawych wniosków o prawdziwym znaczeniu naszej rodziny. Jest to stowarzyszenie do wyrabiania zasad w pocie czoła stowarzyszonych, z kapitałem, skoncentrowanym w ręku naczelnika firmy i wynalazcy pomysłu. Wszystkie inne nasze spójnie to frazesy. Miłość, która nie liczy się ani trochę z cudzą indywidualnością! Obowiązki społeczne, polegające na dobieraniu zasad ku własnej wygodzie, czy to obowiązki? Co myśmy kiedy uczynili dla kogo? Żyjemy, jak każdy bankier, jak każdy żarłok, tylko nazywamy to cnotą, a apetyty innych — występkiem. A ja ci prawem wolnego człowieka powiem, że jedyny powód, któryby mnie wstrzymywał od wprowadzenia pani Anny Oleskiej do Chojnogóry, to wstyd okazania jej takiej rodziny, ale na ten wstyd już się zdecydowałem.“

Nie dziw, że Romuald oburzył się na te słowa, i niewiele brakowało, żeby dwaj Dubieńscy, „przechodząc od słów do gestów, potraktowali się, jak dwaj szewcy.“

Ale chwila zapomnienia szybko minęła. Jerzy wkrótce ochłodził, zastanowił się, przemówił w nim dobry duch rodziny. I przebaczone mu i to uniesienie, i te słowa niebaczne i lekkomyślne; co bowiem z dobrego źródła początek bierze, zawsze musi wrócić ku dobremu. Zapomniał więc Jerzy o pani Annie, powrócił do Chojnogóry, ucałował ręce ojcowskie i zaręczył się z Estellą, córką Tadeusza, który w tym samym właśnie czasie sprowadził swe bogi domowe do gniazda rodzinnego.

Dochodzimy do wniosku, że Jerzy tylko z oddalenia wydawał się „marnotrawnym synem“; w samej rzeczy nie gorszy był

od innych: przelotne miłostki szybko wietrzały mu z głowy, a poważny zamiar matrymonialny względem pani Anny był może tylko aktem chwilowej nierozwagi, porywu szlachetności nie wczesnej, któregooby potem sam może gorzko żałował. Pozostaje żyłka do pisania wierszy; ale z tem się wszak ślubu nie bierze.

Tacy są więc Dubieńscy, którzy zrozumieli doskonale, że „siła pieniędzy nie tylko staje się źródłem siły moralnej, ale może tę ostatnią w pewnych wypadkach zastąpić“; tak więc „etykę chrześcijańską wybornie posiadli i misternie dostroili do potrzeb większej własności ziemskiej.“ Mają oni, jak widzieliśmy, pewną odrębną fizyognomię, a także „swój katechizm, swój słownik, swój styl udzielny,“ słowem, stanowią wybornie odosobnioną jednostkę w organizmie społecznym. Spokój, samozadowolenie, równowaga — oto ich ideały życiowe. O spełnienie tych dążeń modlą się do Boga, który umie czytać w ich duszach. „Gdyby Stwórca Dubieńskich—mówi autor—nie przenikał serc, lecz chciał uważać tylko na słowa modlitwy, nie wiedziałby, co ma dać: zadowolenie sumień, czy pieniądze. Ale Stwórca Dubieńskich wie zapewne, że to jedno i to samo.“

Spójrzmy na korowód tych ludzi poważnych, majestatycznych, jak snują się wstęgą wśród pól chojnegórskich, niby ów polonez w „Panu Tadeuszu“: „Przodem kroczą dwaj patryarchowie: Maciej i Tadeusz. Nie mają sobie już nic prawie do powiedzenia: dokonali głównych zadań żywota i trawią rozkosznie swe zadowolenie. Jerzy, zaręczony z Estellą, Romuald z Ewą Kostkówną. Sprawa ordynacyi na najlepszej drodze: cała Chojnegóra i kapitały pana Macieja staną się udziałem starszej linii Dubieńskich, od Macieja i Romualda idącej, da Bóg, w setne pokolenie. Młodsza linia Tadeusza zaczerpnie swe soki w fortunie tego ostatniego, przechodzącej niepodzielnie na Jerzego i Estellę, rozwinie się za granicą i powróci, da Bóg, do rodzinnego kraju. Wszystkie te idealne urzządzenia przeszły już ze sfery pobożnych życzeń w dziedzinę faktów, są obwarowane należyty mi aktami i pieczęciami. Tryumf zatem na obliczach dwóch protoplastów nie jest ulotnem oświeceniem, lecz trwałą aureolą w rodzaju gloryi, wieńczącej głowy wybranych Pańskich... Orszak wyginał się po skrętach i falach wązkiej ścieżki, a nawet, gdy wszedł na wielką drogę, sadzoną drzewami, pozostał w tym samym układzie. Wywoływał niskie ukłony napotkanych kmieci, niby jakaś ciągnąca procesya. Ozdabiał rytmicznie krajobraz, i tylko barwnych strojów staroświeckich brakowało mu do pozoru klasycznego poloneza. „Patrzcie, patrzcie, młodzi!...“

Tym obrazem lazurwego spokoju, błogiej ciszy i zadowolonej z siebie sytości, kończy się „Syn marnotrawny.“ Tonów ostrych, zgrzytliwych, barw jaskrawych, karczemnie efektownych, tu nie znajdziemy. A jeżeli odezwie się jaki dysonans, to jest zawsze tylko przelotnem, chwilowem wrażeniem, a potem daje powód do tem wyraźniejszego podkreślenia swej odrębności: *nous autres...*

Unosi się Jerzy, ale — rychło powraca mu równowaga; zaręcza się z panią Oleską, lecz, opamiętawszy się, wypłasza jej wspomnienie ze swego serca i wyobraźni. Może powróci ono kiedyś — w poezyi?

I hrabia Słuszka zapomina się, kiedy w zapale twierdzi: „Towarzystwo, w którym się obracam, przeniknałem na wylot; oni przede mną nic nie ukryją. Wiem, że nie można z takich złożyć społeczeństwa; oni są tylko pianą kultury i, jako tacy, bawią mnie. A także boją się mnie, bo im nie oszczędzam słów prawdy. Może nawet utrzymuję niektórych w rygorze, szczególnie kobiety... Gdyby nie kobiety, dawno porzuciłbym tę międzynarodową koteryę. Sądzę jednak, że, pozostając w niej, umiem być pożytecznym.“

Radykalizm Słuszki nie jest jednak tak niebezpieczny, jak się pozornie wydaje: ot, poprostu kaprys, pańska zachcianka, a może wynik złego humoru.

Gorszy jest stokroć wyżej wymieniony Fabiusz Oleski, figura dziwna i dwuznaczna: daleki krewny męża pani Anny, nieodstępny jej towarzysz i opiekun. W rzeczach sztuki niby znawca, zapewne dyletant, ale wymowny i gorąco rozprawiający o muzach i ideałach. Podczas pobytu całego towarzystwa w Rzymie bierze na siebie rolę cicerona: oprowadza, pokazuje, rozpowiada, słowem — małe *causeries romaines*. Dobrze to — na krótką metę i po przesycie orgią zmysłów w Nicei i Monte-Carlo.

Po powrocie na jasny brzeg Fabiusz ni stąd, ni zowąd zaczyna przypominać swych rzymskich imienników, wchodzi w rolę bociana, karci, napomina, nie proszony, nie dziękowany, wchodzi w karnodziejstwo i morały, doprowadza do nieprzyjemnych starć, pojedynków. Nic też dziwnego, że czuje się obcym w tem towarzystwie, które zaczyna spoglądać ze zdziwieniem, jak na intruza: skąd się wziął taki? „Jedni mnie ostro sądzą — mówi Fabiusz — inni mnie bronią, nie wiem, co wolę z dwojga; jestem pod opieką tego nienawistnego stada, które już zabierałem się pożegnać na zawsze. To doprawdy zbyt śmieszne dla mnie. Tylko kobieta może poważnego człowieka wpędzić w takie opapy.“

Zostawmy Fabiusza jego myślom i zgrzyzotom. Sami zaś rzućmy raz jeszcze okiem na ostatnią powieść Weysenhoffa.

Stwierdźmy przedewszystkiem z przyjemnością, że ostrze satyry autora „Zaręczyn Jana Bełskiego“ nie stępieło bynajmniej. Kompozycją przypomina „Syn marnotrawny“ bardziej „Podfilipskiego“, niż „Sprawę Dołęgi“; brak tu bowiem żywotniejszej treści, któraby mogła stanowić węzeł intrygi. Jak w „Podfilipskim“, mamy tu wiązanek scen i epizodów, które składają się na historię rodu Dubieńskich: patryarchalne ognisko rodzinne w Chojnogórze, uczta życia w Nicei, pokutnicy w Rzymie, Fabiusz-Don-Quichot, Jerzy i pani Anna, ocalenie honoru rodzinnego, powrót marnotrawnych, nie mówiąc już o epizodach drugorzędnych, jak: dom gry, szalony jacht d'Anjorranta, wycieczka na samochodach i t. p.

Na każdym kroku drobne, czasem tylko energiczniejsze ukłócia szpileczką subtelnej ironii, którym pod względem przyzwoitości towarzyskiej nic zarzucić nie można; ale niemniej są nieraz dotkliwie. I pod tym też względem „Syn marnotrawny“ przypomina „Podfilipskiego.“

HENRYK GALLE.

STANISŁAW MAYKOWSKI. *O poezji Maryi Konopnickiej*. Luźne wrażenia. Sprawozd. gimn. w Nowym Sączu za r. 1903.

Luźne wrażenia? Czy rzeczywiście tak? Wszak sam autor (na str. 14) pisze: „Nie idzie mi o niewolnicze wertowanie kartki za kartką, ale o zwięzłe i barwne zaznaczenie kolei, jakie przebywał piękny duch autorki.“ Nie luźnie tedy, ale w porządku z góry wytkniętym, acz niedość systematycznym, barwnie i żywo, lecz bynajmniej nie zwięzłe, wyłuszcza autor nie tylko swe wrażenia, lecz bardzo często, aż nazbyt nawet śmiałe, rozumowania i wnioski o poezji Konopnickiej. Zaczyna od kwestyi kobiecej, aby dojść do wniosku, że „kobiecej twórczości niema, są tylko tworzące kobiety.“ Nie będę mierzył głębokości tego aforyzmu, tylko zapytam, czy to ma być wyrazem „luźności“, aby każdą rzecz zaczynać od stworzenia świata? A czyni to nieraz. Wyjaśniając religijność Konopnickiej, cofa się aż w czasy, kiedy Polska przyjęła chrześcijaństwo: mówiąc o wpływie jej poezyi, uważa

za potrzebne rozwodzić się nad teorią Hennequina o wzruszeniach doznawanych pod wpływem rzeczywistości w porównaniu ze wzruszeniami artystycznymi. Nie mam za złe, że usiłuje scharakteryzować stan naszej poezji z ósmego dziesiątka zeszłego wieku, z którego wyrosła Konopnicka. Szkoda tylko, że charakterystyka płytka, może dla tego, iż pragnie być nazbyt ciętą. Jeżeli się o Gomulickim powie tylko tyle, że „awanturuje się po buduarach,” a o Asnyku tylko tyle, „że zamknięty w swoim gabinecie dochodzi do pogardy konkretnego życia“ (? dziennikarz trzeźwy, autor „Gałązki heliotropu,” „Braci Lerche“ i t. d.!), a o Sowińskim tylko tyle, że był „reżyserem trupy liryków poromantycznych, parodujących wielkie dzieła poprzedników“: — to humor ten może komuś podobać się w zdawkowym felietonie, nie wystarcza jednak w rozprawie poważnej. Zamiast tego wolelibyśmy szczegółowiej przeczytać, o ile to poezja Konopnickiej jest wyrazem reakcji w stosunku do czasów pozytywizmu, a co tym czasem zawdzięcza. Najdłużej zatrzymuje się autor nad dwiema pierwszymi seryami poezji Konopnickiej i trzeba przyznać, że wypowiada wiele uwag nie tylko trafnych, ale bystrych, śmiałych i subtelnych. Przeważnie są to opinie ujemne: brak skupienia, planu i kryterium w poezjach jej społecznych, brak organicznego związku między treścią a formą, altruizm powierzchowny, konwencyonalny, w miłości brak charakteru kosmicznego i „katechumeńska wstrzemięźliwość,” unysł samodzielny, ale „mało wyrobiony,” w uczuciach religijnych „fenomenalna” niejednorodność, zmienność. I tu humor zwodzi autora na manowce, podżegając do wybryków. „Każde z tych zdań — powiada na str. 24 — z jakimi się spotykamy w czterech seryach, mogłaby wypowiedzieć pierwsza lepsza czuła dama na raucie, lub nerwowy pan w klubie. Stąd pochodzi zapewne popularność Konopnickiej...” Na str. 28 odsyła poetkę do Karmelitanek Bosych, a na str. 29 pisze uszczypliwie: „Jak jej ślicznie z temi prostymi słowami. Czy tak nie mógłby odezwać się chłopiec wiejski, pasący konie, któremu żal, że nie może policzyć gwiazd na niebie“?

Poezje ludowe Konopnickiej zyskują natomiast wiele uznania i pochwał autora. Usiłuje oczyścić poetkę z zarzutów, że poezje te zawierają pierwiastek destruktywny, a dalej, że przedstawiają lud nasz fałszywie i pod względem religijnym są nieprawowierne. „Wogóle — powiada — żadna religia nie może być zupełnie prawowierna, jeżeli ją sobie wyobrazimy w życiu codziennem.“ Poezja ludu nauczyła Konopnicką patrzeć na naturę, którą malu-

je z subtelnością i pracowitością „szydełkowych kobiecych robót,” z poezji ludu wyłoniła się własna, oryginalna jej forma i jej osobista liryka. Jej biblijne obrazy, w których „z gorliwością neofitki” trzyma się przedwczorajszych kanonów estetycznych, „czuć czasem terpentyną i pracownią malarską,” a w obrazach ze świata klasycznego uczy się poetka mówić plastycznie. Podczas gdy seryom z lat 81 i 83 poświęcił autor 76 stron uwag, seryę III-cią z r. 1887, najświetniejszą, w której charakter plastyczny, malarzski i muzyczny zlewają się w harmonijną całość, a pod względem treści poetka wytwarza stałą syntezę — zbywa na dwóch stronach. A szkoda, bo tu miał sposobność okazania równej bystrości w analizie zalet, jak ta, którą okazał w krytyce cech ujemnych. Pobieźnie także zbywa okres III rozwoju, a raczej upadku twórczości Konopnickiej, za którego początek uważa wydanie seryi IV poezyj w r. 1895. Jako cechy znamienne tego „trzeciego okresu” wymienia „ton niedołęstwa, jękającego lekliwie wyrazy, ton starczy... zgryźliwy.” „Praca społeczna, walka, zapał — to wszystko zostało za nią...” Lekarstwem miała być wielka sztuka klasyczna. Powstała Italia. O tej „Italii” nie wiele więcej chce autor powiedzieć, jak tylko, że jest „dziwną.” A prawda, mówi jeszcze, że „czytając ją doznajemy *zupełnie* podobnego wrażenia, jak gdybyśmy przypatrywali się migotliwym i drżącym obrazom w Panoptikum!” Czyni jeszcze poetce zarzut, że nadto „hałaśliwie” uwielbia Giotta i wilę Cycerona, że nie umie uchwycić istotnych cech omawianych arcydzieł malarskich i trwałego wrażenia nie wywiera.

W ogólności okazuje młody widocznie autor wiele werwy literackiej, ma niezawodnie talent krytyczny, umie wnikać we własne wrażenia i przetwarzać je w refleksye. Jest odcytany i lubi się tem popisywać, cytując, jakby na okaz, choć niekiedy bez potrzeby koniecznej, „Dziką kaczkę” obok „złego poety Laskowskiego,” Tetmajera i Hamsuna, Garszyna obok Cycerona, Ujejskiego i Gorborga, Homera i Asnyka, Dostojewskiego i Chopina, Hennequina i Słowackiego. Przypomina w tem nieco obrzydliwy styl i manierę osławionego „Małpiego Zwierciadła,” a to tem bardziej, że zbyt śmiało, niekiedy z pozą lekkomyślną i lekceważącą wyższości, folguje złośliwej i uszczypliwej chęci taniego dowcipu. Ze swadą przypnie łatkę Chmielowskiemu, któremu z wyżyn swego geniuszu raczy powierzyć kwestyę dat lub wyliczenia, ile razy Konopnicka się powtórzyła: zadrwi z Tetmajera, że jest zapięty w gładki surdut pod brodę; zadrwi z „Romansu Wiosennego,” że

go czuć mocno Saską Kępą i obfitym obiadem mieszczańskim, zamówionym przy niedzieli przez czułą parę; zaczepi i Grozę i Kostrzewskiego i ks. Gnatowskiego, ba, nie daruje nawet pannie Czaki, która „kiedyś była naiwną w Rozmaitościach.“ Oczywiście gniewać się o to na młodego autora nikt z zaczepionych nie będzie, najmniej Konopnicka. Życzymy mu, aby kiedyś wytrwałą pracą przewyższył nawet Chmielowskiego.

M. MAZANOWSKI.

Kronika miesięczna.

Ze spraw szkolnych. — Działalność Warszawskiego Towarzystwa Hygienicznego w roku 1904. — Ogrody im. Rau'a — Instytut higieny dziecięcej im. bar. Lenvala. — Sanatorium w Rudee. — Sztuka kościelna i duchowieństwo. — Nowy dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. — Wspomnienia pozgonne: ś. p. Walery Eliaz-Radzikowski; ś. p. prof. Edward Poznański; ś. p. dr. Zbigniew Kniaziolucki.

„Język rosyjski i język polski w szkołach.“ Pod tym tytułem „Gazeta Polska“ umieściła w № 94 z d. 15 kwietnia r. b. artykuł, w którym czytamy:

„Prasa rosyjska zajmuje się obecnie obszernie kwestją szkół w Królestwie Polskiem; mamy także w tym przedmiocie wynurzenia osób urzędowych. W zasadzie prasa i wspomniane osoby urzędowe zgadzają się na to, że Polacy, mający znakomitą przeszłość historyczną i rozwiniętą kulturę narodową, słusznie domagają się języka polskiego, jako wykładowego, w szkołach Królestwa, — upatrują jednak w zadośćuczynieniu tego dwie trudności: 1) szkoła polska ma stanowić niebezpieczeństwo dla interesów Państwa Rosyjskiego i 2) młodzież polska, słuchająca wykładów w szkole i w uniwersytecie w języku polskim, nie będzie umiała po rosyjsku.“

Rozpatrzmy bezstronnie oba powyższe zarzuty.

Wiadomo, że od chwili przyłączenia Królestwa Polskiego do Cesarstwa Rosyjskiego do r. 1869 wykłady w szkołach elementarnych, średnich i wyższych odbywały się w języku polskim i jedynie w planie nauk figurował język rosyjski, jako przedmiot obowiązkowy. Jak dalece taki stan rzeczy nie był uważany przez Rząd za sprzeczny z interesami Państwa, stwierdza ta okoliczność, że język polski utrzymany był jako wykładowy bez wzglę-

du na zmiany zasadnicze, wprowadzane od r. 1831 w zarządzie Królestwa — i nie bacząc na to, że w przeciągu czasu od 1839 do 1861 roku wydział oświaty w Królestwie przez ustanowienie Okręgu naukowego warszawskiego pod zwierzchnictwem kuratora Rosyanina, przeszedł pod zarząd ministra oświaty Cesarstwa.

Reformy Cesarza Aleksandra II, rozszerzające autonomię Królestwa i przywracające Komisję Rządową Oświecenia Publicznego, zastały szkołę średnią *polską* i — co za tem poszło — *Szkoła Główna* warszawska stała się uniwersytetem czysto polskim.

Po uśmierzeniu powstania 1863 r. ustanowiony został komitet urządzający z zaleceniem wprowadzenia takich zmian w zarządzie Królestwem, któreby je ściślej zjednoczyły z Cesarstwem, i wtedy jednak Cesarz Aleksander II wyraźnie zastrzegł, że szkoła ma pozostać polską, wypowiadając w ukazie Najwyższym, że nie pozwoli ani sobie, ani nikomu wprowadzić do szkoły polityki.

Przytoczone fakty przekonują, iż Rząd w szkole rządowej polskiej nigdy nie upatrywał niebezpieczeństwa dla Państwa Rosyjskiego i że, przeciwnie, wprowadzając czasowo zmiany w sposobie rządzenia Królestwem, uznawał za swój obowiązek uszanowanie przyrodzonych właściwości narodu polskiego, przyczem Rząd uznawał, że pomieszczenie w planie nauk szkół średnich języka rosyjskiego, jako obowiązkowego, daje zupełną gwarancję, że Polacy dostatecznie językiem tym władać będą.

Powyższy pogląd Rządu okazał się zupełnie usprawiedliwiony.

Z chwilą zorganizowania przez Komitet urządzający rządów gubernialnych i zarządów powiatowych w Królestwie, wprowadzono język rosyjski, jako urzędowy, do tych instytucyj; naczelne stanowiska zajęli Rosyanie, urzędnicy inni, Polacy, pozostali na zajmowanych dotychczas miejscach. W roku 1876 wprowadzono reformę sądową także z językiem urzędowym rosyjskim. Posady sądowe częściowo zajmowali Polacy, adwokatura składała się wyłącznie z Polaków. Pomimo, że wszyscy urzędnicy Polacy, administracyjni i sądowi, oraz adwokaci kończyli zakłady naukowe polskie i uczyli się języka rosyjskiego w tych zakładach tylko jako jednego z przedmiotów wykładanych, okazali się oni zupełnie uzdolnionymi do spełniania swych obowiązków służbowych w języku rosyjskim i bez przesady rzecz można, że znali ten język lepiej, niż obecne pokolenie, które kształciło się w szkole średniej i uniwersytecie z językiem wykładowym rosyjskim, co się tem tłumaczy, że ówczesna młodzież, rozumiejąc potrzebę języka rosyjskiego, uczyła go się bez uprzedzeń i chętniej, niż

późniejsza, która wstępowała do szkoły rosyjskiej, lekceważącej jej język rodzinny i uważającej rozmowę po polsku za jedno z najcięższych wykroczeń przeciw dyscyplinie szkolnej.

Z powyższego wynika, że Polacy mogą się dokładnie nauczyć języka rosyjskiego w szkole polskiej i że szkoła rosyjska w Królestwie Polskiem wprowadzona została nie dla tego, aby szkoła polska szkodziła interesom Państwa Rosyjskiego, lecz jedynie w celach rusyfikacyjnych. Gdy zaś cel ten okazał się nie do osiągnięcia, a brak szkoły polskiej, ujemnie wpływający na rozwój kultury i nauki polskiej, wywołuje zaostrenie stosunków polsko-rosyjskich, przeto przywrócenie szkoły polskiej w Królestwie jest konieczne w interesie obu narodów.

Wywód ten jest całkowicie słuszny i mainy zupełną nadzieję, że Rząd w tym właśnie duchu załatwi sprawę szkolną u nas, kładąc kres obecnemu, nad wyraz dla społeczeństwa ciężkiemu stanowi rzeczy.

Szkoły średnie od dłuższego już czasu nie funkcjonują, nauka ustała nawet w szkołach niższych, miejskich, uniwersytet został zamknięty na mocy rozporządzenia p. ministra oświaty, a młodzieży kazano wyjechać do miejsc stałego zamieszkania i tam oczekiwać na zwrot papierów, w politechnice wreszcie zostały zawieszony wykłady do września.

Tak więc w chwili obecnej nauka została przerwana na czas nieograniczony w całym Królestwie Polskiem, co ujemnie odbija się nie tylko na życiu społeczeństwa polskiego, ale i dla Państwa stanowi rzecz pierwszorzędnej wagi, doniosłą w swoich skutkach i wołającą o szybkie załatwienie, zwłaszcza w kraju, który, jak nasz, dzięki fatalnym dotychczasowym stosunkom, panującym w szkolnictwie wogóle, a w szkolnictwie początkowym w szczególności, stoi na bardzo niskim szczeblu oświaty. Udowodnił to niedawno w doskonale opracowanej broszurze p. Adolf Suligowski, omawiając braki „Szkolnictwa początkowego w Warszawie.“

Oto kilka cyfr, zaczerpniętych z tej ciekawej a smutnej pracy.

Po zwinięciu w Warszawie Komisji Wyznań i Oświecenia i oddaniu spraw szkolnych pod zarząd ministerium oświaty w Petersburgu, co nastąpiło w r. 1838, na zasadzie obliczeń, zrobionych na r. 1840, ogólna liczba szkół w Cesarstwie wynosiła 1992, w Królestwie zaś 1235, z których na szkoły początkowe przypadało w Królestwie około 1000, a w Cesarstwie w tymże stosunku około 1600.

W 40 lat później, a mianowicie w r. 1880 szkół początkowych było w Rosyi Europejskiej (bez Królestwa i Finlandyi) 20483, zaś w Królestwie — 2287, czyli, że gdy w Cesarstwie ilość szkół początkowych powiększyła się 12 razy, w Królestwie zaledwie podwoiła się z małym okładem. Dalej, wedle opartej na cyfrach za r. 1898 ostatniej statystyki ministryum oświaty, o jakiej powyżej była mowa, liczba szkół początkowych w Rosyi Europejskiej (również bez Królestwa i Finlandyi) doszła do 66792, Królestwo zaś posiadało ich wtedy tylko 3646, czyli że w ciągu dalszych 18 lat liczba tych szkół powiększyła się w Rosyi Europejskiej w trójnasób przeszło, w Królestwie zaś powiększyła się zaledwie o 60%, zatem przyrost był 5 razy słabszy.

Dodać należy, że w ostatnich latach pod wpływem wzmożonej działalności ziemstw i zarządów miejskich, a niezależnie od tego pod wpływem nakładów ze strony rządu z funduszków skarbu, stosunek uległ jeszcze dalszej zmianie na niekorzyść Królestwa, gdzie podobnej akcji w kierunku rozszerzenia szkół początkowych nie było.

Skutkiem zaniedbania sprawy szkolnictwo początkowe doszło do zupełnego upadku.

Rzecz prosta, iż stan rzeczy, oświetlony wyżej przez bezstronne i beznamiętne cyfry, musiał wśród społeczeństwa wywołać żywe pragnienie szukania ratunku wobec wielkiego niebezpieczeństwa, *wobec nieobrachowanej w następstwa klęski ciemnoty.*

Tak jest ze szkolnictwem elementarnem. A wykształcenie średnie i wyższe? Tą sprawą p. Suligowski nie zajmuje się, pośrednio jednak nabieramy o niej pojęcia z rezultatów spisu jednolitego ludności z r. 1882. Z dat, zebranych wówczas, okazało się, że Warszawa przy ludności wynoszącej 387395 mieszkańców posiadała osób z wyższem wykształceniem 5773, ze średniem 19668. Obecnie ludność Warszawy wynosi 710000, jeżeli więc przyjmiemy, że w tym samym stosunku, co zresztą jest rzeczą bardzo wątpliwą, wzrosła w niej ilość osób z wyższem i ze średniem wykształceniem, to otrzymamy dla pierwszej kategorii cyfrę + 11000, dla drugiej + 39000. W sumie daje to 50000 ludzi wykształconych, czyli 7% zaledwie. Jeżeli tak jest w głównem ognisku naszej kultury, skupiającem w sobie najliczniej siły intelektualne narodu, to jakież rozpaczliwy stosunek panować musi na prowincyi, w miastach gubernialnych i powiatowych?

Tymczasem jest rzeczą niewątpliwą, że stosunki te polepszyłyby się znacznie przy zmianie obecnego systemu szkolnego, przy powiększeniu ilości szkół i udostępnieniu ich ludności, która dziś

ciągle słyszy o „braku miejsca,“ przy wprowadzeniu wreszcie języka polskiego, jako języka wykładowego, dzięki czemu ilość kończących szkoły średnie byłaby bez porównania większa, niż obecnie.

*

*

*

Świeżo ukazało się w druku sprawozdanie z działalności Warszawskiego Towarzystwa Hygienicznego za r. 1904.

Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że w roku ubiegłym wyjednano zezwolenie Naczelnika kraju na utworzenie oddziałów: piotrkowskiego, płockiego, kieleckiego i łomżyńskiego, oraz zatwierdzenie dla nich instrukcyi. Nadto wystąpiła Rada z petycją o zatwierdzenie oddziałów: w Ostrowcu (dla powiatu opatowskiego), w Radomiu (dla pozostałych powiatów gubernii), we Włocławku (dla powiatów włocławskiego, kutnowskiego i nieszawskiego), oraz w Łowiczu. Oddział Radomski zatwierdzony został już w roku bieżącym, odnośnie do Włocławskiego nastąpiła odmowa ze strony p. Generał-Gubernatora, decyzya co do oddziałów Ostrowieckiego i Łowickiego jeszcze nie nastąpiła.

Wydziały Towarzystwa pozostały w roku sprawozdawczym w dotychczasowej postaci co do przeznaczenia swego i ilości; wydział higieny miast i mieszkań, czasowo nieczynny, powołała Rada do życia znowu na początku roku 1904. Prace nad wytworzeniem systematycznego programu wszystkich wydziałów, za wspólnem ich porozumieniem, nie doprowadziły jeszcze do stanowczych wyników. Zaprojektowane wydziały: higieny domowej i antialkoholiczny nie zostały jeszcze zorganizowane.

Zabiegi około *domu własnego Towarzystwa* stanowiły jeden ze stałych przedmiotów działalności Rady. Wyjednano po wyczerpującej korespondencji z magistratem uchwałę tegoż, mocą której plac przy ul. Karowej miał być oddany Towarzystwu pod budowę domu, z warunkiem płacenia czynszu rocznego rb. 150 i zwrócenia zarządowi miasta placu wraz z domem po upływie lat 99, wreszcie z warunkiem, aby władza duchowna, mająca zastrzeżenia w umowie z magistratem co do rzeczzonego placu, zgodziła się na oddanie go Towarzystwu. Gdy Rada warunki powyższe w zasadzie zaakceptowała i pozwolenie Arcybiskupa wy-

jednała, Magistrat odniósł się do władzy krajowej o upoważnienie do zawarcia umowy z Towarzystwem, lecz dotychczas upoważnienia tego wyjednać nie zdołał.

Pracowite zabiegi Rady o utworzenie *Nadzoru sanitarnego obywatelskiego*, po przeprowadzeniu porad delegacyi urzędu lekarskiego z prezesem Towarzystwa, oraz następnie Rady z inspektorem urzędu lekarskiego i po ponownem przeprowadzeniu korespondencyi, spotkały się z odmową p. Generał-Gubernatora, motywowaną brakiem odnośnego artykułu w ustawie Towarzystwa.

Odczyty ludowe odbyły się w liczbie 13, z których 7 wygłoszono w sali tanich mieszkań im. Wawelberga i Rotwanda na ul. Górczewskiej, 6 — w sali ochrony ks. Seroczyńskiego na ul. Tarczyńskiej. I tu i tam pierwsze odczyty ściągaly daleko więcej osób, niż późniejsze. Liczba słuchaczy wahała się między 30 a 306. Przeciętna liczba sprzedawanych na odczyt biletów wyniosła 129. Na ul. Górczewskiej dochód z 7-iu odczytów dał rb. 52 kop. 25, na Tarczyńskiej z 6-iu odczytów — rb. 31 kop. 55.

Sprawa *Muzeum higieny ludu* w Częstochowie znana jest czytelnikom *Biblioteki* z szczegółowego, zamieszczonego przed kilku miesiącami, sprawozdania w tym przedmiocie.

Z pozostałych czynności Towarzystwa najważniejszą było zorganizowanie porad z delegatami wszystkich oddziałów prowincjonalnych, w celu ujednostajnienia działalności całego Towarzystwa, nakreślenia programu działalności, porozumienia się w niektórych niedość wyraźnie sformułowanych sprawach organizacyi oddziałów, wreszcie w celu opracowania uchwał w ważnych sprawach, higieny kraju dotyczących.

Dalej, na prośbę p. Gubernatora radomskiego, wydelegowała Rada komisję, złożoną z d-ra Polaka, inżynierów Grotowskiego i Bielskiego, oraz magistra farmacyi Białobrzeskiego, celem zbadania warunków kanalizacyi i wodociągów dla miasta Radomia, oraz udzielenia uwag odnośnie do projektów, już w tym celu podanych. Komisya, zbadawszy sprawę na miejscu, wskazała na nowe, nie włączone w projekty dotychczasowe, *źródło wody* obfite w lasku miejskim i złożyła Radzie memoriał, który przesłany został prezydentowi miasta. W przedmiocie tym Rada uchwaliła jeszcze zarządzić posiedzenie specjalne, zgromadziwszy, o ile można, wszystkich specjalistów z Warszawy, oraz delegatów z Radomia.

Pomijamy tu inne, drobniejsze sprawy, będące przedmiotem bądź porad, bądź zabiegów Towarzystwa i jego oddziałów pro-

wincjonalnych, rozwijających się pomyślnie i z dużym pożytkiem dla kraju.

Przechodzimy natomiast do sprawozdania z działalności Ogrodów dziecięcych im. Rau'a.

Institucya ta rozszerza się coraz bardziej, a oto garść znamiennych cyfr, które to stwierdzają.

Liczba dzieci, uczęszczających do ogrodów, zwiększyła się w roku sprawozdawczym znacznie, kiedy bowiem w r. 1903 odwiedzin dzieci było we wszystkich ogrodach 217093, w r. 1904 odwiedziny te dosięgły liczby 353273, co stanowi zwiększenie się liczby odwiedzin o 63%. Największa liczba odwiedzin wynosiła dziennie 3800, średnio zaś bywało dziennie we wszystkich ogrodach 2444 dzieci. Liczba ta, porównana z liczbą dzieci zapisanych, daje dla każdego dziecka średnią liczbę 24 odwiedzin, zamiast 14, tyle bowiem było średnio dni zabaw w każdym ogrodzie. Liczba powyższa jest zresztą różna dla poszczególnych ogrodów, najwyższa w Tarczyńskim — 43, najniższa zaś w Saskim — 19.

W stosunku do poszczególnych miesięcy liczba odwiedzin ogrodów przez dzieci rozkłada się w sposób następujący:

w maju	było 54375 odwiedzin przez 22 dni
w czerwcu	„ 63446 „ „ cały miesiąc
w lipcu	„ 84836 „ „ „ „
w sierpniu	„ 76730 „ „ „ „
we wrześniu	„ 57647 „ „ „ „
w październiku	„ 16239 „ „ 9 dni.

Zaznaczyć należy, że Komitet dokładał wszelkich usiłowań, aby jaknajwiększa ilość dzieci, uczęszczających na zabawy, mogła korzystać z kąpeli bądź ciepłych, bądź zimnych wiśnianych. W maju i w czerwcu kąpały się dzieci w instytucie im. bar. Lenwala, tudzież w kąpielach ludowych na Pradze i przy ul. Stawki, nadto w domach robotniczych im. Wawelberga. Przez lipiec i sierpień chodziły do 4 omnibusów. Wogóle z kąpeli *zimnych* korzystało 33631 dzieci, z kąpeli zaś *ciepłych* 6256, razem więc tak z jednych, jak drugich, korzystało 39887 dzieci, co daje *niepełna trzy kąpiele* na jedno dziecko w sezonie.

W czasie zimy urządzone były dla dzieci ślizgawki, tudzież odbywały się zabawy w Hali przy ul. Marszałkowskiej.

Z kolei przechodzimy do sprawozdania z działalności Instytutu higieny dziecięcej im. bar. Lenwala,

Rok 1904 był pierwszym rokiem normalnego życia Instytutu, gdyż jakkolwiek zakład ten został otwarty już w połowie listopada 1903 roku, to jednak krótkość czasu nie pozwoliła Zarządowi nawet zorientować się w powodzeniu lub niepowodzeniu poszczególnych działów tej pierwszej w kraju naszym krzewicielki idei zdrowia i czystości wśród młodego pokolenia.

Szczególną troską Komitetu w roku ubiegłym było *uprzyśtępnienie* działu higienicznego. W tym celu Komitet, chcąc zachęcić dziatwę do kąpieli, postanowił rozdawać dzieciom po kąpieli po szklance mleka z bułką, a następnie obniżył cenę kąpieli z 5 kop. do 3 kop., a cenę na jednorazowe ćwiczenia gimnastyczne zmniejszył z 5 kop. do 1 kop., co znakomicie przyczyniło się do zwiększenia frekwencji w tych działach.

Od czerwca 1904 r. Zarząd Instytutu, oprócz wydawania lekarstw, tranu, proszku i szczoteczek do zębów, wprowadził rozdawnictwo mleka pasteryzowanego, odpowiednio przygotowanego dla niemowląt, czyli t. zw. popularnie „kropli mleka.“ Każde dziecko, badane w ambulatoryum Instytutu, w razie potrzeby otrzymywało mleko pasteryzowane bezpłatnie, a następnie za opłatą groszową.

Wielki nacisk w Instytucie położony jest na udzielanie rad i wskazówek matkom, w jaki sposób pielęgnować i odżywiać dzieci, jak unikać chorób zakaźnych i t. d.

W r. b. (1905) Instytut ma zamiar znacznie rozszerzyć dział „kropli mleka,“ otwierając filie w różnych okolicach miasta przy aptekach. Nadto Instytut, chcąc zapobiedz szerzeniu się chorób zakaźnych wśród dziatwy warszawskiej, nosi się z zamiarem kupna aparatów do dezynfekcyi formaliną i wysyłania swego sanitaryusza do mieszkań swych niezamożnych klientów dla dokonania odkażania.

Frekwencya Instytutu w cyfrach przedstawia się, jak następuje: a) *dział higieny*: kąpiele 14367, gimnastyka 947, strzyżenie dzieci 875, rozdawnictwo mleka pasteryzowanego — 37447 buteleczek, szczepienie ospy 2129, dentystryka 464; b) *ambulatoryum*: porady w cierpieniach zewnętrznych 4054, nerwowych — 59, chirurgicznych—634, oczu—132, gardła, nosa i uszu—198, skórnych—187, ambulans przeciwgruźliczy — 45.

Ostatnie miejsce w obszernem sprawozdaniu *Tow. Hygienicznego* zajmują wiadomości o *Sanatoryum w Rudce*.

W r. 1904, Komitet Sanatoryum zajęty był wyłącznie zbieraniem funduszków. W chwili obecnej Komitet posiada 53000 rb. rozporządzalnego kapitału. Robót w Rudce w r. ubiegłym, prócz

nieznacznych i koniecznych dla ubezpieczenia budynków, nie wykonywano wcale, Komitet bowiem był zdania, że lepiej zgromadzić cały potrzebny kapitał i odrazu dokończyć budowy, aniżeli prowadzić robotę częściowo.

Taki oto jest ogólny obraz czynności jednej z najpoważniejszych naszych instytucyj społecznych, jaką jest niewątpliwie W. Tow. Hygieniczne, działające pod hasłem odrodzenia fizycznego ludności kraju.

*

*

*

Niejednokrotnie już pisaliśmy na tem miejscu o krzywdach, jakie wyrządza u nas sztuce kościelnej brak wykształcenia artystycznego ze strony duchowieństwa, zwłaszcza prowincjonalnego. Nieumiejętność skazuje tam nieraz na zagładę nawet bardzo cenne pamiątki. Obrazy butwieją lub odnawiane są przez byle jakich malarzy, brzozy, pokryte patyną wieków, lakierowane bywają zapamiętałe, ażeby wyglądały, *jak nowe*, a pięknie rzeźbione konfesyonały idą do pieca, bo tu i tam zaczęły próchnieć ze starości. Na ich zaś miejsce zjawia się nowoczesna *tandeta*.

Rzeczy to znane.

Z tem większą radością witamy też obecnie głos fachowy ks. Wł. Górzyńskiego, który w 2 i 3 zeszytach wychodzących w Piotrkowie „Wiadomości pasterskich,” w artykule p. t. „Czy kapłanowi potrzebna jest znajomość sztuki?“, gorąco nawołuje duchowieństwo do uzupełnienia swego wykształcenia w tym kierunku.

„Weźmy tę sprawę do serca—pisze ks. Górzyński. Pomyślmy, że przyjdzie czas, gdy przed trybunałem przyszłości stanie współczesna nam sztuka. I cóż się wówczas okaże? Oto, że mimo wielkiego sztuki naszej rozwoju, sądzące nas pokolenie nie, albo prawie nie z współczesnych dzieł artystów w kościołach naszych nie znajdzie. A skoro się przytem pokaże, że ich arcydzieł szukać należy nie w kraju, ale za granicą po obcych muzeach i kościołach (Wiedeń, Fryburg i t. p.), skoro w dodatku skład rupieci kościelnych, po nas pozostały, a jakby na pośmiewisko skarbcem kościelnym zwany, wykaże bez żadnej wartości dla dziejów sztuki będącą tandetę, mimo jedynie możliwego współcześnie sposobu

popierania sztuki groszem, na tak licznie wznoszone kościoły składanym — pomyślmy, gdy trzeba będzie o kulturalnej naszej wartości i o poziomie estetycznego naszego smaku decydować — jakież w tym trybunale przyszłości zapadnie na nas wyrok?

„Narzekamy, że religijnego malarstwa nie mamy. Jakoż niedużo przeszłoroczny konkurs Salonu Artystycznego na obraz Niep. Pocz. N. M. Panny był tego najlepszym dowodem. Ale temu, że malarstwa religijnego nie posiadamy dotąd, czy choć w części sami nie jesteśmy winni? Jakże ma się ono u nas rozwinąć, jeżeli niema pola do rozwoju? Aby się bowiem malarstwo religijne rozwinąć mogło, konieczną jest rzeczą, by artyści nasi ową gałąź malarstwa studyować chcieli. Lecz trudno nawet żądać od nich studyów, gdy widzą, że owe studia chleba im nie dadzą, że bytu materyalnego im nie zapewnią, bo kościoły ze względów oszczędnościowych nie u nich, lecz u *malarzy pokojowych* obrazy zamawiać będą. A co mówię o malarstwie, to i o wszystkich gałęziach sztuki plastycznej: o rzeźbiarstwie, złotnictwie, brzoźnictwie i t. d. również powiedzieć należy.

„Sądzę — pisze ks. Górzyński — w innem miejscu, że nawet kapłan, któryby w trosce o kościół czysto ziemską tylko powodował się pobudką, np. chęcią utrwalenia się swoją o dom Boży gorliwością w pamięci parafian, stokroć prędzej mógłby ów cel osiągnąć, sprawiając za czasów swych rządów jedno tylko, jedyne dzieło do kościoła, ale dzieło będące prawdziwem *dziełem sztuki*, aniżeli ten kapłan, który, chociażby cały kościół nowy z gruntu wybudował, chociażby zakrystyę we wszystkie aparaty i sprzęty zaopatrzył, ale styl budowy sparodyował, a zakrystyę tandetą zapełnił.“

Mówiąc o konieczności sprawiania dzieł sztuki, autor ma tu na myśli przede wszystkim parafie zamożniejsze: Warszawę, Łódź, katedry, miasta gubernialne i fabryczne. Te w budowlach kościelnych i w sprawianiu sprzętów bezwarunkowo sztukę uwzględniać powinny, tu *szablon* w najdrobniejszych nawet szczegółach nie powinien być tolerowany. Wszakże i mniej zasobne parafie przy dobrej woli i smaku estetycznym księdza, niejedną rzecz piękną i cenną dla dziejów sztuki łatwo osiągnąć mogły.

Słowa te, pisane naprawdę bardzo gorąco, wymownie świadczą o budzącem się wśród duchowieństwa poczuciu sztuki i mogą uchodzić za wróżbę poprawienia się stosunków w tym względzie. Zapewne — nie nastąpi to odrazu, ale żaden głos w tej sprawie, zwłaszcza głos wychodzący z pośród duchowieństwa i do tego ostatniego skierowany, nie pozostanie bez echa.

Zwracamy jednak uwagę na to, że nietylko trzeba dbać o nowe dzieła sztuki, ale — przede wszystkim — o umiejętne konserwowanie i ocalenie od zagłady cennych zabytków przeszłości, których w kraju naszym jest niewiele, ale które przecież istnieją jeszcze. Te zabytki powinniśmy dalszym przekazać pokoleniom, bo świadczą one o wysokiej kulturze ubiegłych wieków.

*

*

*

Dr. Karol Estreicher ustąpił ze stanowiska dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej, wychodząc do emerytury po 37 latach wyteżonej i owocnej pracy. Wiadomość ta odbiła się szerokim echem w całym świecie naukowym polskim, Estreicher bowiem tak ściśle był związany z bogatą księżnicą krakowską, że trudno ją sobie wyobrazić nadal bez niego. A jednak stało się to.

Znakomity twórca *Bibliografii Polskiej*, której 20 grubych tomów już opuściło prasę, a dalszych dziesięć oczekuje wydania, wyjątkowy znawca starych druków, niezmordowany zbieracz i pomnożyciel bogactwa książkowego biblioteki, opuścił piękny gmach przy ul. Ś-tej Anny, aby odtąd w zaciszu domowym pracować nad wykończeniem swej pomnikowej pracy, będącej chlubą nauki polskiej wieku XIX-go. Następcą jego na ważnym stanowisku dyrektora biblioteki został dr. Józef Korzeniowski, wnuk głośnego powieściopisarza Józefa.

Dr. J. Korzeniowski urodził się w r. 1863. Wychowywał się początkowo w Dreźnie, gdzie ukończył szkoły średnie, poczem na studia uniwersyteckie przybył do Krakowa. Zapisawszy się na wydział filozoficzny, specjalnie pracował nad historią. Pierwszą jego poważną pracą naukową był „Żywot Piotra Kmity“ — rozprawa, drukowana w pamiętnikach Akademii Umiejętności.

W r. 1884 po uzyskaniu stopnia doktora filozofii wyjechał do Rzymu, jako kierownik *ekspedycji Watykańskiej*, zorganizowanej przez Akademię Umiejętności.

Po powrocie ztamtąd pracował przez lat kilka zrzędu w archiwach i bibliotekach w Wiedniu, Paryżu, Londynie, Petersburgu, Moskwie, Sztokholmie, Konstantynopolu, Simancas (w Hiszpanii) i wielu innych.

Do wybitniejszych zasług naukowych nowego dyrektora Bibl. Jagiellońskiej należy znalezienie w Konstantynopolu ważnego dla historii serbskiej dokumentu p. n. „Chrysowul,“ Stefana Urosza, oraz wydanie zbioru listów i pism Stanisława Orzechowskiego p. t. „Orichoviana.“ Nadto dr. Korzeniowski opisał kilkadziesiąt dokumentów, przechowywanych w Cesarskiej Bibliotece w Petersburgu, a dotyczących dziejów Polski.

Obecnie w pełni sił męskich stoi na progu nowej pracy zmuśnej i trudnej, tem trudniejszej, że obejmuje ją po Estreichrze, który jako człowiek pracy, badacz i uczonej, jest wzorem nieodścięłym, a przynajmniej do dorównania mu nie łatwym.

*

*

*

Dn. 22 marca r. b. zmarł w Krakowie ś. p. Walery Eliaz-Radzikowski, jeden z najpopularniejszych artystów polskich starożego pokolenia.

Urodzony w r. 1840 w Krakowie ś. p. Eliaz — tam spędził całe swoje życie, oddając się sztuce i badaniu przeszłości, którą głąboko i uczenie miłował. Na krótki tylko czas wydalil się z rodzinnego miasta, kiedy po ukończeniu szkoły Sztuk Pięknych przedsięwziął podróż artystyczną do Niemiec, Belgii, Francji i Włoch. Powróciwszy ztamtąd, jął się z zapałem pracy. Nie była to praca twórca o wysokim napięciu, talent bowiem Eliasza nie jaśniał nigdy blaskiem pierwszorzędny, ale była to działalność wysoce pożyteczna dla kraju i społeczeństwa.

Jako malarz obrazów historycznych, które doskonale popularyzowały pewne momenty dziejowe, zostawił po sobie Eliaz cały szereg płócien, które w reprodukcjach rozeszły się bardzo szeroko i imię artysty rozniosły po całej Galicji. Do obrazów tych należą: „Obrona Krakowa przeciw Szwedom,“ „Żółkiewski pod Cecorą,“ „Chodkiewicz pod Chocimem,“ „Sobieski pod Wiedniem,“ „Kordecki na murach Częstochowy,“ „Długosz z synami Jagiellończyka“ i t. d.

Ś. p. Eliaz malował także chętnie obrazy treści religijnej do kościołów w Galicji i w Poznańskim.

Malarstwo nie wyczerpywało jednak jego żywotnej i garnącej się do czynu natury.

Obok piędzla ś. p. Eliasz często brał także i pióro do ręki, oddając się z zamiłowaniem pracom historyczno-literackim. Puszczając po nim w tym kierunku jest wagi niepośledniej, że wymienimy tylko takie dzieło, jak „Wizerunki królów polskich, na podstawie materyałów archiwalnych skreślone“ i takie rozprawy, jak „O koronach królów polskich,“ „Ubiory w Polsce i u sąsiadów“ (wydawnictwo Komisji Historji Sztuki Akademii Umiejętności, której ś. p. Eliasz był członkiem), „Kraków dawny i dzisiejszy“ i „Szczerbiec Bolesławowski.“

Zmarły artysta i pisarz był nadto jednym z najzarliwszych wielbicieli i najlepszych znawców Tatr, które poznawał współcześnie z Chałubińskim, z nim razem przedsiębiorąc wycieczki na najnieodostępniejsze szczyty. Mało kto też mógł się pochlubić taką znajomością Zakopanego, gór i górali, jak autor „Przewodnika do Tatr i Pienin.“

Zmarł ś. p. Eliasz-Radzikowski, pozostawiając po sobie szczery żal wśród tych, którzy zasługi jego znali i potrafili je oceniać.

*

*

*

Dn. 5 kwietnia r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Edward Poznański, kandydat nauk fizyko-matematycznych, były nauczyciel tutejszych szkół rządowych i prywatnych.

Urodzony w Warszawie w r. 1854, tutaj uczęszczał do szkół i tutaj ukończył uniwersytet.

Jako nauczyciel matematyki w gimnazyum IV-em, a później przez szereg lat w gimnazyum V-em, wykształcił ś. p. Poznański liczny zastęp młodzieży, którą łączył z nim w szkole i po za szkołą wyjątkowy, w czasach dzisiejszych nadzwyczaj rzadko spotykany, stosunek.

Dzięki świetnemu i przejrzytemu wykładowi, dzięki zaletom umysłu, serca i charakteru, ś. p. Poznański umiał zjednać sobie powszechny szacunek i serdeczną miłość swoich wychowawców.

Zmarł, strawiony długą i ciężką chorobą, nie przekroczywszy 50 roku życia.

Śmierć ś. p. Edwarda Poznańskiego wywołała głęboki żal w kołach jego dawnych uczniów, a grono ich krząta się około zgromadzenia funduszu na stypendyum imienia zmarłego profesora.

*

*

*

W Krakowie zmarł dn. 14 kwietnia r. b. ś. p. d. Zbigniew Kniaziółcki, współredaktor *Czasu* i skryptor biblioteki Jagiellońskiej. Zmarły znany był, jako autor kilku cennych prac historyczno-literackich. Należy tu przedewszystkiem rzecz źródłowa o „Pierwszych latach panowania Jana Olbrachta.“ Obok tego wybitne miejsce w naszym dorobku naukowym zajmuje praca d-ra Kniaziółckiego, wydana w r. 1892 przez Akademię Umiejętności, jako obszernie dzieło p. t. „Materiały do biografii Mikołaja Reya.“ Nadto wspólnie ze ś. p. prof. Bojarskim wydał dr. Kniaziółcki IX tom *Volumina legum*.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego, odbytem 16 stycznia b. r. pod przewodnictwem prof. Fr. Zolla — *A. Prochaska* przedstawił własną pracę p. t. „KRÓL WŁADYSEAW JAGIEŁŁO.”

Autor na wstępie zaznacza, że dzieje Polski i Litwy za Jagiełły tak są ściśle z sobą związane, że niemożliwym byłoby traktowanie każdej z tych historyj oddzielnie. Całe panowanie Władysława Jagiełły dzieli on na dwa okresy i cztery podokresy. Okres pierwszy kończy się wyrokiem wrocławskim 1420 i obejmuje dwa podokresy: jeden, w którym wre walka nazwana i kończy się wielką wojną; drugi, w którym umacnia się znaczenie unii w Horodle i na soborze w Konstancyi. Okres drugi rozpada się także na dwa podokresy: w pierwszym rozwija się separatyzm litewski, który doprowadza Witolda do zamiaru koronaey i kończy się jego śmiercią, w drugim separatyzm ten nabiera odmiennego kierunku za Świdrygielły.

Co do szczegółowego umotywowania zasadniczych myśli w pierwszych rozdziałach (1—3) autor zaznacza, że prócz materialnych powodów do unii (wzajemna pomoc, odpór na zewnątrz i t. d.), był i powód moralnej natury, a mianowicie szerzenie wiary na drodze misyi i pokoju, przeciwko dotychczasowym środkom propagandy zapomocą miecza, używanej przez Zakon Niemiecki. — Ta dążność polityki polskiej spowodować musiała walkę z Zakonem, panującym nad ujściami Wisły, Niemna, Dźwiny, wywierającym wpływ na Psków i Nowogród i zagrażającym Litwie w taki sposób, że kwestya chryścyanizacyi jej przy pomocy jakiego innego państwa, była ratunkiem jej samoistności. Rozumiał to Zakon i próbował wszelkich sposobów, ażeby umożliwić związek polsko-litewski, dla czego wszelkie wojenne i dyplomatyczne czynił zabiegi. Praca *A. Prochaski*, znakomitego znawcy tych czasów, wyjaśnia dokładnie wszelkie szczegóły tej upornej walki Polski i Litwy z Zakonem i nadaje jej żywy koloryt wobec pewności źródeł, z jakich autor korzystał.

Obok walki z Zakonem o unię — Polska prowadzi w tym czasie drugą walkę skierowaną przeciwko imperyalizmowi, zaznaczonemu przez Zygmunta luxemburezyka już we Wrocławiu w 1420 r. Objawami tej walki był wpływ polsko-litewski na sprawę husycką z jednej strony, a podburzanie Zakonu przez Zygmunta przeciwko Polsce z drugiej strony.

Autor wyświetla nieznane dotąd motywy tej walki, wskazuje na wpływ Rzymu, którego stosunki z Zygmuntem silnie się zaostrzyły. Daje się to zauważyć w sprawie pacyfikacji Czech. Kurya wobec ociągania się Zygmunta w tej sprawie groziła, że wyda polecenie Jagielle i Witoldowi do uśmierzenia Husytów. W obawie, że Jagiello przy pacyfikacji Czech mógłby zająć kraje koronne, a nawet Czechy, wywołał Zygmunt walkę domową między Polską a Litwą, którą starał się podsycać ze strony Zakonu, Inflant i Moldawii. Pomimo tych trudności zdołał jednak Jagiello utrzymać bodaj w części dawny wpływ na Czechy, a Zakon krzyżacki złamany w walce z Polską musiał przyjąć warunki rozejmu łęczyckiego.

Na tem tle powszechnodziejowem zarysowuje się dokładniej zarówno wzrost unii, jakoteż i walka o unię, a i osobistości główne zyskują na plastyczności. Przy tem oświetleniu zyskuje też wielce postać Władysława Jagielly, traci zaś postać Witolda, okazuje się bowiem dowodnie, że ten ostatni był nie tylko mężem o drażliwej ambicji, ale nadto poddawał się wpływowi, o których dopiero przy końcu życia dowodnie się przekonywał, że były dla Litwy zgubnymi. Ze szczegółowego porównania tych dziejowych postaci, jakimi był Jagiello i Witold, okazuje się, że pierwszy wytykał w Litwie wypadkom kierunek, pobudzał Witolda do działania i kierował nim, Witold zaś był znakomitym wykonawcą planów, lecz gdzie odstępował od pierwotnego planu, schodził zawsze na manowce i zamiast być dobrodziejem Litwy, spowodował pod koniec swej działalności rozdział etnograficzny i spacyfikację unię. Jagiello musiał ustawicznie naprawiać błędy Witoldowe, począwszy od ucieczki księcia do Krzyżaków aż do zjazdu Salińskiego; od klęski nad Worskłą do zdrad księcia na Żmudzi; od stanowczego odrzucenia wyroku Wrocławskiego aż do seyssy na zjeździe Łuckim.

Pod względem stosunków wewnętrznych związek narodów, poczęty 1385 r., złamał w skutkach swych na Litwie feudalizm, a oparł siły państwowe na daleko potężniejszej podstawie, bo na instytucjach ziemskich. W Polsce ustrój ziemiański za Jagielly rozwinął się znacznie, wytwarzając z czasem parlamentaryzm. Religia nadawała nowym instytucjom trwałość i stanowiła związek z Zachodem, instytucje ziemskie nadawały swojskość i pozwalały na wykończenie budowy, stosownie do potrzeb i do ducha rozmaitych grup etnograficznych połączonych krajów. Główną podstawą parlamentaryzmu był przywilej 11 listopada 1404 r., na mocy którego obiecywał król, że bez zezwolenia szlachty nie będzie wyższych poborów pobierać ponad zwykłą królewską służbę. W taki sposób dokonało się dzieło sejmików ziemskich, które sam król zwoływał; przyczynił się on do ich rozwoju, kiedy zapragnął ustalić następstwo tronu dynastji i ku temu celowi przez zwoływanie sejmików po ziemiach uzyskiwał od szlachty obietnicę obioru jednego z synów na tron polski. Dodatnie strony ziemstwa występują w zwiększającej się obronie

i odporności państw związanych z nią, w rozwoju cywilizacyjnym, objawiającym się na wszystkich polach społecznej pracy i obejmującym i Litwę i Ruś, niemniej jak ustępowaniu koczowniczych plemion w czarnomorskie stepy. Przy rozwoju stanu ziemiańskiego inne stany nie ucierpiały. Stan mieszczański przez delegatów swych bierze czynny udział w zjazdach, szczególnie w sprawach ekonomicznych, także w zjazdach dotyczących pokoju lub traktatów handlowych. Stan włościański stosunkowo ze wszystkich innych największą cieszy się swobodą i wzrasta w liczbę i dobrobyt, ku czemu przyczynił się prąd kolonizacyjny w kierunku wschodnim. Duchowieństwo wybitne zajmuje miejsce w rządach centralnych i samorządzie prowincyi.

— Na temże posiedzeniu przedstawiono pracę *Augusta Sokołowskiego* p. t. „SKRZYNECKI W ŚWIETLE WŁASNEJ KORESPONDENCYI.”

Praca ta opartą jest na bogatym dotąd nieznanym materiale rękopiśmiennym po ś. p. Andrzeju Horodyskim i stanowi ważny przyczynek historyczny do dziejów 1831 r. Materiał teraz wydobyty z ukrycia objaśnia pobudki działania Skrzyneckiego i stosunek jego do Rządu.

Rozprawa wykazuje brak odpowiednich zdolności u Naczelnego Wodza, brak decyzyi nawet wtedy, kiedy błędy feldmarszałka rosyjskiego i genialne zdolności Prądzyńskiego dały niespodziewane zwycięstwa. Z tych Naczelnzy Wódz nie umiał skorzystać i rozpoczął na własną rękę wszechstronną akcyę dyplomatyczną, jak się okazało zupełnie bezskuteczną. Dziś, po 75-iu latach—kończy autor—można z dokumentami w rękę powtórzyć zdanie Prądzyńskiego o Skrzyneckim: „Nieszczęsny wybór! Zgubny dla naszej sprawy, dla samego gen. Skrzyneckiego fatalny.”

— W końcu przedstawiono pracę p. *Maryana Gumowskiego* p. t. „MONETA OBIEGOWA W POLSCE X i XI w.”

Autor położył tu za zadanie wysledzenie monety cudzoziemskiej, jaką się posługiwali Polacy w dobie pogańskiej i w pierwszym wieku po przyjęciu chrześcijaństwa. Bada on drogi, jakimi obcy pieniądź wchodził do kraju, a z drugiej strony, jakimi szlakami moneta polska rozszerzała się w państwach sąsiednich. Dowodzenia swoje opiera autor na licznym materiale wykopaliskowym.

— Na posiedzeniu Komisji literackiej z d. 17 marca b. r. prof. dr. Ludwik Birkenmajer i prof. dr. Stanisław Windakiewicz zdali sprawę z pracy *ks. Jana Warchała* zakonu OO. Franciszkanów ze Lwowa p. t. „MATERIAŁY DO HISTORJI NACYI POLSKIEJ W PADWIE.” Jest to owoc kilkunastoletnich mozolnych poszukiwań, dokonanych z wielką sumiennością. Praca obejmuje w. XIII—XVIII. Materiał znajdujący się w archiwach padewskich wyczerpano całkowicie, prócz kilkudziesięciu tomów, przeniesionych już dawniej do archiwum biskupiego w Padwie. Komisya uchwaliła pracę ks. Warchała, po uczynieniu koniecznych skróceń, przeznaczyć do druku w XII jubileuszowym tomie „Archiwum do dziejów oświaty i literatury w Polsce.”

— Dn. 20 marca odbyło się doroczne posiedzenie administracyjne komisji BIBLIOGRAFICZNEJ wydziału MATEMATYCZNO-PRZYRODNICZEGO AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Komisya ta zbiera ze wszystkich czasopism tytuły prac, tłumaczy je na francuskie i z odpowiednimi cytatami przesyła międzynarodowej komisji katalogowej, mającej siedzisko w Londynie, która ze współudziałem w kosztach państw lub akademij europejskich, ogłasza je corocznie. Akademia krakowska uzyskała prawo opracowywania wszystkich prac wychodzących po polsku, bez względu pod jakim wychodzą zaborem. Ze sprawozdania międzynarodowej komisji (z 24 maja 1904) wynika, że z 29-iu państw, względnie instytucyj, mających brać udział w jej pracach, było czynnych 25 biur regionalnych.

Komisya rozpoczęła prace w r. 1901, a nasza Akademia już w tym samym roku 22 lipca wysłała pierwszy zapas kartek z tytułami (Austria dopiero 10 lipca 1903). Co do ilości kartek (tytułów prac) na czele stoją Niemcy (147000 kartek), potem Francya (47000), Wielka Brytania (43000), Rosya ma pokazną liczbę 21000, Włochy 13000, Holandya 6700, Austria 6400, po której idzie zaraz Polska z 3492 kartkami, zajmując dziewiąte na świecie miejsce. Wobec trudnych warunków, w jakich się znajduje nauka polska, jest to niewątpliwie bardzo znaczny rezultat. Przewodniczącym komisji, która obecnie została rozszerzona i będzie się zajmować historią nauk matematyczno-przyrodniczych, był prof. W. Natanson, jej sekretarzem p. T. Estreicher. Obaj zostali wybrani ponownie na rok następny.

— TOWARZYSTWO FILOLOGICZNE LWOWSKIE odbyło 8 kwietnia walne zgromadzenie pod przewodnictwem prof. *d-ra Kruczkiewicza*. Po odczytaniu protokołu z ostatniego walnego zgromadzenia i udzieleniu wydziałowi absolutoryum z rachunków, dokonano wyboru nowego zarządu. Prezesem wybrano *d-ra Bronisława Kruczkiewicza*, jego zastępcą prof. Stanisława Schneidra. Do wydziału weszli pp.: dr. Gerson Blatt, dr. Wiktor Hahn, Franciszek Horszowski, dr. Michał Jezienicki, Jan Jędrzejowski, dr. Tadeusz Mandybur, dr. Stanisław Witkowski, dr. Walenty Wróbel. Redaktorem czasopisma *Eos* wybrano *d-ra Stanisława Witkowskiego*.

Po zgromadzeniu wygłosili odczyty: dr. Stanisław Witkowski „O nowej teorii mierzenia t. zw. logaedów” i dr. Jan Kopacz „O Platónskim Fedonie.”

Towarzystwo liczyło w r. z. wraz z Kołem krakowskiem 135 członków. Dochodu miało 1647 k. 53 h., rozchodu 1633 k. 39 h.

— SPRAWOZDANIE KOŁA C. K. KONSERWATORÓW I KORESPONDENTÓW GALICYI WSCHODNIEJ. Teka tom III, lipiec, 1904 — marzec, 1905. № 22 — 30. 4-to str. 9.

Niniejsze sprawozdanie daje dokładne pojęcie o rozwoju ze wszechmiar godnej poparcia instytucji galicyjskiej, mającej na celu zachowanie od zniszczenia zabytków budownictwa krajowego w pierwszym rzędzie, a następnie wszelkich innych zabytków przeszłości naszej, bogato rozsypanych na obszarach Galicyi Wschodniej. Ze sprawozdania dowiadujemy się, że na walnem

zgrupowaniu odbytem 2 listopada 1904 r., grono konserwatorów Galicji Wschodniej na trzecieletnie 1905—1907 wybrało na przewodniczącego prof. *Teodora M. Finkla*, zastępcą przewodniczącego prof. *Teodora M. Talanowskiego*, skarbnikiem d-ra *Wojciecha Kętrzyńskiego*, sekretarzem d-ra *Aleksandra Czołowskiego*.

Już z samego wyliczenia „spraw bieżących“ sekcji II (zabytki historyczne), podanych w sprawozdaniu, widzimy, jak energicznie prowadzone są sprawy Towarzystwa i z jaką zapobiegliwością konserwatorzy galicyjscy wyszukują zabytki chylące się ku upadkowi, lub zagrożone zniszczeniem przez ich niepowołanych właścicieli, częstokroć źle rozumiejących odnawianie zabytków. Niewchodząc w szczegóły wyliczymy tu najważniejsze sprawy, któremi się zajęło Koło konserwatorów w ciągu okresu sprawozdawczego.

1) Wobec projektu przebudowy 22 typowych cerkwi ruskich Koło kons. odniosło się do Namiestnictwa z prośbą o polecenie Starostwom, by nie zezwoliły na rozebranie żadnej cerkwi, dopóki komitety cerkiewne nie wykażą się pozwoleniem Koła c. k. konserwatorów. W ten sposób, jeśli się już nie uda uratować od zagłady tych zabytków, to przynajmniej będzie daną możność zbadania ich. 2) Kons. dr. Papée zbadał kościół obronny, renesansowy w Bóbrce. 3) Zbadano stan ruin zamku buczackiego, wypracowano projekt koniecznych poprawek i przedstawiono tę sprawę właścicielom: ks. Oskarowi i Emilowi Potockim. 4) Odbudowanie kościoła felsztyńskiego (fundacyi Herburtów 1511), jednego z najciekawszych zabytków galicyjskich, prowadzone jest pod kierunkiem Koła konserwatorów. 5) Dr. Czołowski podał wiadomość i rysunki słupów granicznych gruntów monasteru oo. Bazylianów w Krasnopuszczy. 6) Największy plon dla archeologii przyniosła restauracja monasteru bazylińskiego z XVI w. w Uniowie, pow. przemysłańskim, gdzie odnaleziono dwie trumny z ciekawymi szczątkami kultury XVI w. Najważniejsze są stroje pontyfikalne archimandryty i szlachcica polskiego. Na podstawie pewnych danych, dr. Czołowski uważa, że są groby archimandryty Jony Bałabana i prowizora Jerzego Ulanieckiego. 7) Po dłuższym sporze z oo. Bazylianami konwentu w Żółkwi udało się gronu konserwatorów ocalić mury z herbem króla Jana III.

Pozatem sprawozdanie pomieszcza referat hr. Leona Pinińskiego, wygłoszony na posiedzeniu sejmu d. 11 listopada 1904, który spowodował pomysły dla Koła uchwały rozszerzające ich atrybuta.

Widząc ten rozwój Kół konserwat. w Galicji, żalować należy, że Królestwo jest pozbawione tak ważnej instytucji.

NOWE KSIĄŻKI NADESLANE.

— DR. ALEKSANDER HIRSCHBERG: „Dla czego Polacy popierali drugiego Samozwańca.“ Odbitka ze „Sbornika dla Sławianowiedienija.“

Znany badacz stosunków polsko-rosyjskich, a w szczególności epoki Samozwańców, dr. Hirschberg, w treściwej rozprawie wyjaśnia przyczyny, dla których Polska popierała Samozwańców. Zdaniem jego zastępy Polaków, walczących w armii Samozwańca, można podzielić na trzy różne grupy. Naprzód

spieszyli pod jego chorągwie ludzie pragnący żoldu wysokiego i łupów wojennych, wogóle hojnej nagrody. Później udawali się do obozu Samozwańca w Tuszynie malkontenci polscy, przeważnie różnowiercy, którzy przy pomocy Dymitra zamierzali na nowo rozpocząć walkę z królem Zygmuntem, a nawet samozwańczego awanturnika na tronie polskim osadzić zamysłali. Wreszcie oddał mu usługi swe stronnik najpożądaniszy, starosta uświatski Jan Piotr Sapięha, działający w myśl polityki ówczesnej tej rodziny, a mającej tak wzrost jej potęgi na celu, jak wogóle dobro i pożytek Rzptej.

— POREBOWICZ EDWARD: „Studia do dziejów literatury średniowiecznej.“ Lwów, 1904. 8-o, str. 85.

Autor rozpatruje teorię średniowieczną „miłości dwornej“ t. j. sztukę dwornego kochania. Bada ogólne poglądy w wiekach średnich na miłość, podaje liczne ówczesne definicje: niektóre naiwne, inne nie pozbawione pewnej powagi dogmatycznej, właściwej tym wiekom. Szczegółowo rozpatruje teorie miłości u Prowensałów, Francuzów i Włochów. W końcu książki znajduje się rozprawa o beletryście XII w., Chretien de Troyos, o którym autor mówił na posiedzeniu Akademii Umiej. (ob. biuletyn grudnia. 1904).

— POTKAŃSKI KAROL: „Zajęcie Wielkopolski“ (rok 1313 i 1314). Studya nad XIV wiekiem, M VIII. Osobne odbicie z t. XLVII Rozpraw Wydz. histor.-filozof. Akad. Um. w Krakowie, 1905 r. 8-o, str. 16.

Znakomity znawca naszej historii średniowiecznej, zaznajamia nas w rozprawie niniejszej ze szczegółami zajęcia Wielkopolski przez Władysława Łokietka, które jak się okazuje miało miejsce w 1313. lub na początku 1314 r., a nie w 1310 r., jak utrzymywali dotąd: Długosz, Naruszewicz i Szujski. Niniejsza rozprawa należy do cyklu „Studyów nad wiekiem XIV“ stanowi d. c. pracy zatytułowanej „Walka o Poznań,“ w której prof. Potkański rozpatrywał okres od 1306 — 1312 r.

— ROCZNIK NAUKOWO-LITERACKO-ARTYSTYCZNY (encyklopedyczny) na rok 1905. Wydawnictwo *Władysława Okręta*. Warszawa, 1905. 8-o, str. 397 + XLVII.

W układzie alfabetycznym ugrupowano tutaj wiadomości biograficzne o naszych literatach, artystach — i wskazówki informacyjne o archiwach, bibliotekach, księgarniach, teatrach, jednym słowem o wszystkim, co ma styczność z nauką lub sztuką polską. Jest to, jeżeli tak rzec można, skorowidz ludzi zasłużonych, informator i drogowskaz w świecie nauki i sztuki. Rozesłane zostały kwestyonariusze do wszystkich wybitniejszych osób w społeczeństwie — nie wszyscy jednak odpowiedzi nadesłali: narzeka więc redakcyja na ten zawód i w następnych rocznikach luki uzupełniać obiecuje, odwołując się w słowie wstępnem do tych, którzy odpowiedzi dotąd nie nadesłali.

— Księgarnia antykwarska *Igla* we Lwowie (Pasaż Mikolasza) wydała świeżo „Katalog książek polskich, tudzież w obcych językach do rzeczy polskich się odnoszących.“ Jest to zeszyt III katalogów tej pomysłnie się rozwijającej antykwarni. 8-o, str. 84.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— BIBLIOTEKA NAUKOWA (dwutygodniowe wydawnictwo) pomieszcza w zeszyście № 7, z 1 kwietnia r. b. następujące artykuły: *Ignacego Radlińskiego*: Dwa dokumenty ludzkości (dokończenie); *prof. B. Dybowskiego*: O starożytności rodu ludzkiego; i *K. Kautskyego*: Zasady rozwoju demokratyczno-społeczno-go (dalszy ciąg).

— BONIECKIEGO A. HERBARZ POLSKI. Tomu VIII-go wyszedł zeszyt II. Obejmuje nazwiska od Ilnicki do Iwo. Obszerniej są traktowane następujące rodziny: Ilnicy, Iłowiccy h. Ostoja, Nałęcz i Prawdzice, Iskrzyccy h. Jelita, Iwaniccy h. własnego, Iwanowscy h. Łódzia, Iwaszkiewiczze h. Gozdawa, Trąby i Jastrzębiec.

— WIELKA ENCYKLOPEDIA Powszechna Ilustrowana. Zeszyty: 301 a i 301 b wyszły nie dawno (31 marca i 11 kwietnia) obejmuje wyrazy od Konstytucya ks. Warszawskiego — Kończyny u zwierząt (z 18 + 2 rysunkami w tekście).

W seryi II wydano zeszyt 35 a (6 kwietnia) obejmuje wyrazy od Olszewski Jan — Olimpium.

— KRYTYKA, r. VII, zesz. 3 za marzec 1905 r. str. 177 — 259. Treść: (f). Z wycieczki do Rosyi. Wrażenia i rozmowy. *Leopold Staff*: Modlitwa. I. O zbawienie zbrodniarzy. II, O sprzyjanie nieznaną cnoty. III, Jęk wyklętych zauków; — *Stan. Brzozowski*: Odbywa się osobliwy sąd...; — Przegląd miesięczny prasy polskiej i obcej; — Interim z całej Polski; — *I. Sten*: Teatr krakowski.

— KWARTALNIK HISTORYCZNY, organ Towarzystwa Historycznego, założony przez Ksawerego Liskego. Rocznik XVIII, zesz. 3 i 4, wydał *Fryderyk Papée*. Lwów, 1904.

Po dłuższym milczeniu Redakcyja wydała 3 i 4-ty zeszyt za r. 1904 w książce obejmującej 300 stron tekstu (str. 411 — 719 + XVI). Cenne to a jedyne, jak dotąd, czasopismo historyczne polskie przynosi w niniejszym zeszyście piękny dorobek naukowy. Żalować tylko należy, że „Kwartalnik“ wychodzi tak nieregularnie, a do Królestwa dostaje się z większym jeszcze opóźnieniem. Nieraz w parę miesięcy po wyjściu zeszytu, nie otrzymują go jeszcze ani abonenci, ani księgarnie. Główna przyczyna leży bezsprzecznie w formalizmie cenzuralnym, ale po za tem kryją się stale niedokładności administracyjne, gdyż nawet w księgarniach krakowskich najnowszych zeszytów częstokroć nabyć nie można, co nam się zdarzyło niedawno. Podajemy tu dokładną treść ostatniego zeszytu, gdyż publiczność warszawska nieprędko zapewne będzie mogła bliżej się zapoznać z tą rzadkością bibliograficzną.

Na czele zeszytu znajdujemy dokończenie studyum *Antoniego Maleckiego* p. t. W kwestyi fałszerstwa dokumentów. Następuje potem rozprawka *A. Prochaski*: Czy istniał Krywe na Litwie. W artykule tym świetny znawca przeszłości Litwy wypowiada swoje zdanie w tej sprawie, różniące się od przekonań prof. Mierzyńskiego i Brücknera, którzy usuwali Krywego z dawnej hi-

stori Litwy. Na trzecim miejscu znajdujemy polemiczny artykuł *Aleksandra Jabłonowskiego* z powodu pracy Włodzimierza Jarosza „Legenda Batoryńska” zatytułowany: Trechtymirów. Chodzi tu o nadanie, przez Stefana Batorego, kozakom na siedzibę Trechtymirowa, co przyczyniło się do utworzenia legendy t. zw. Batoryńskiej o założeniu przez króla Stefana stolicy kozackiej. A. Jabłonowski odpiera zbyt daleko idące zarzuty Jarosza.

W dziale „Miscellanea” *Józef Bieliński* pomieszcza dokończenie ważnej pracy z zakresu szkolnictwa, zatytułowanej „Związki Akademików w Warszawie” obejmującej sprawy studenckie z 1820 i 1821 r.

W najbogatszym dziale recenzyjnym znajdujemy oceny następujących książek: Kazimierza Mokłowskiego: Sztuka ludowa w Polsce, przez K. Hada-czka; — Ludwika Puszeta: Studya nadpolskiem budownictwem drewnianem, przez K. Mokłowskiego; — Sprawozdania Komisji do badania historii sztuki w Polsce, tom VII, zes. III, 1903, przez E. Świeżkowskiego; — Teod. Wierzbowskiego: Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVIII. Zeszyt XIX, 1903. Zeszyt XX, 1904, przez A. Brücknera; — Simoniego P.: Opyt sbornika swiedienij po istorii knigopereplotnaho chudożestwa na Rusi s XI—XVIII st., 1903, przez St. Ptaszyckiego; — Czarnika Bronisława: Ossoliński i katedra języka i literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim, 1902, przez Br. Gubrynowicza; — Krzyżanowskiego Stan.: Księgi ławnicze 1365—1376 i 1390—1397, przez W. Rolnego; — Dąbkowskiego Przemysława dr.: Rys urządzeń pocztowych w dawnej Polsce, przez Długopolskiego; — Kutrzeby Stan.: Handel Polski ze wschodem w wiekach średnich, przez A. Prochaskę; — Rehmana A.: Ziemie dawnej Polski i sąsiednich krajów słowiańskich. Cz. II, Polska Niżowa, przez E. Romera; — Voigt’a Alberta: Thorner Denkwürdigkeiten 1345—1547 i Joeppen’a Max.: Die älteste Thorner Stadtchronik, przez ks. St. Kujotą; — Wojciechowskiego Tadeusza: Szkice historyczne jedenstego wieku, 1904, przez Władysl. Abrahama; — Wojciecha Kętrzyńskiego: Der deutsche Orden und Kunraud von Masovien 1225—1234, przez A. Prochaskę; — Zakrzewskiego Stanisława: Nadania na rzecz Chrystyana, biskupa pruskiego, w latach 1217—1224, przez A. Prochaskę; — An. Prochaski: Charakterystyka Kazimierza Jagiellończyka, przez P. Papée’go; — Aleksandra Czuczynskiego: Dyaryusze sejmowe, 1585, przez dr. E. Barwińskiego; — K. Waliszewskiego: Les origines de la Russie moderne. Ivan la Terrible, przez A. Hirschberga; — W. Sobieskiego: Szkice historyczne, przez A. Szelałowskiego; — E. Hormuzaki’ego: Documente privitoare la istoria Romanilor 1517—1612, przez L. Finkla; — Iw. Kamanina: Oczerk hetmaństwa Sahajdacznaho oraz Materialy k oczerku, przez T. Korzona; — Gołowaczewa: Znaczenie Andrusowskaho pieremirija dla mieźdunarodnych odnoszenij wostocznoj Ewropy, przez T. Korzona; — E. Schmur-ło: Recueil de documents relatifs au regne de l’Empereur Pierre le Grand. T. I; 1693—1700, przez Józ. Korzeniowskiego; — Al. Kraushara: Bars palestnant warszawski, przez Br. Dembińskiego; — Ant. Bialkowskiego: Pamiętniki staro- go żołnierza, 1806—1814, przez dr. Kownackiego; — Józefa Krajewskiego: Tajne związki polityczne w Galicyi. 1833—1841, przez dr. B. Łozińskiego; — W czterdziestoletnią rocznicę powstania styczniowego 1863—1903, przez Si-

gmę; — Orlickiego S. S.: Ugólok wozstania 1863 goda, przez Z. L. S.; — Wojennoje położenje w Carstwie Polskom wo wremia miatieża 1863, przez S.

Po tym szeregu sprawozdań, przynoszących oprócz wiadomości informacyjnych o ruchu nauk historycznych, wiele cennych uwag krytycznych, znajdujemy dział specjalny poświęcony zinventaryzowaniu całej produkcji naukowej na polu historii żydów za rok 1903—1904. Dział ten nosi tytuł „Notatki bibliograficzne do historii żydów 1903 do 1904” i obejmuje nie tylko dzieła polskie, ale także najważniejsze dzieła z ogólnej historii żydowskiej.

Po za tem przegląd literatury historii powszechnej obejmuje liczne sprawozdania z najznakomitszych wydawnictw zagranicznych.

Kronika zawiera najważniejsze wiadomości z Akademii Krak., Towarzystw Naukowych, bibliotek, o nowych publikacjach, poszukiwaniach naukowych etc. Bibliografia historii polskiej zamyka zeszyt.

— *LUD*, tom X, zeszyt 4 za rok 1905, str. 369—472 z ilustracyami w tekście. Treść: *Jan Karłowicz*: Mycie nóg, przełożyła z francuskiego L. B.; — *Stanisław Zdziarski*: Ludowość w poezyi polskiej XIX w.; — *Udziała Seweryn*: Kilka słów o strojach, budowlach, sprzętach i naczyniach w Sądeczyźnie (dok.); *Stanisław Czaja*: Wiara u ludu; — *Nimfa Madłowna*: Topielec w Czeladzi, w powiecie będzińskim w gubernii piotrkowskijskiej; — *Udziała Seweryn*: Z aktów i rozpraw sądowych; — *Karol Potkański*: Materyały historyczne; — *Ks. Jan Bojar*: Św. Szymon z Lipnicy, legenda; — *Kazimierz Aurelly*: Powracanie umarłych; — *Ks. Jan Łaski*: Błądny ogień; — *Ks. Wincenty Niedojadło*: Zapadnięta karczma w Wierzechosławicach; — *Ks. Jan Babraj*: Konie w dzień św. Szczepana; — *Mieczysław Kownacki*: Łąka „Świńska krzywda”; — *Seweryn Udziału*: I. Cygani, II. Odmiany wilków, III. Sen i loterya; — *Feliiks Taroni*: W nowo zbudowanym domu; — Przegląd pism. *Udziała Seweryn*: Słowo Polskie; — *S. L. U.*: Ilustracya Polska; — Oceny i Sprawozdania przez *Władysława Kosinńskiego* i *Karola Potkańskiego*: Sprawy Towarzystwa; — Bibliografia.

— *PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI* r. XXXII. Zeszyt marecowy str. 193—288. Treść: *Pamiętniki Napoleona Sierawskiego*, oficera konnego pułku gwardyi za czasów ks. Konstantego; — *Kazimierz Pułaski*: Z dziejów Konfederacyi barskiej; — Teki Teodora Wessla, podskarbiego W. kor. (1769—1772); — *Aleksander Kraushar*: Sprzysiężenia studenckie, kartki dziejów Królestwa konst. polskiego 1820—1827 (dok.); — Z korespondencyi Wincentego Pola (dok.); — *Stanisław Kossowski*: Krzysztof Hegendorfin w Akademii Lubrańskiego w Poznaniu w latach 1530—1535 (e. d.); — *Dr. Oswald Balzer*: O Morskie Oko, wywód praw polskich przed sądem polubownym w Hradcu (e. d.); — *Dr. Karol Mátýás*: Rabszcie, dawniej pszczy sandomierskiej, studyum etnograficzne (dok.).

— *ŚWIAT SŁOWIAŃSKI*. Rocznik I, tom I, № 3 za marzec 1905, str. 169—260. Treść: *Aleksander Jabłonowski*: Książdz biskup Józef Jerzy Strossmayer, wspomnienie (dok.); — *Jan Leciejewski*: Odrodzenie literatury słowiańskiej w pierwszej połowie XIX wieku; — *Roman Zawiliński*: Nieco o Słowakach; — *Bohdan Lepki*: Z ruskich prac i zabiegów; — Korespondencye z Wielkopolski, przez Franciszka Morawskiego; — Z Petersburga, przez Stanisława Wronskie-

go; — Z Paryża, przez dra Zygmunta Stefańskiego; — Przegląd prasy słowiańskiej: ruskiej, rosyjskiej, czeskiej, słoweńskiej, chorwackiej i serbskiej; — Recenzye i sprawozdania.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — PEDAGOGIKA.

ALDER FELIKS: O kształceniu młodzieży w poczuciu obowiązku. Przełożył *Wojciech Szukiewicz*. („Książki dla wszystkich“ № 243). Warszawa, 1905. Nakł. M. Arcta. 16-o, str. 138.

BOGUSŁAW KS.: Droga odrodzenia na duchu czyli trzydniowe rekolekcyje. Wydanie nowe. Warszawa, 1905. Druk P. Laskauera i S-ki. 8-o, str. 382 + 2 nl.

BOUGAUD KS.: Chrystyanizm i czasy obecne, tłóm. z francuskiego *Bitnerowca*. II. Jezus Chrystus. Warszawa, 1905. Wydaw. księgarni M. Szczepkowskiego, druk. P. Laskauera i S-ki. 8-o, str. 432 + V.

KREMER H.: Wszelchświat i człowiek, dzieje rozwoju przyrody i człowieka, przekł. *St. Kramsztyka*. Zesz. 12. Warszawa. Jan Fiszer, str. 313—336.

LOMBROSO PAULINA: Życie dzieci, studyum psychologiczno-wychowawcze, przełożył z włoskiego *Kazimierz Król*. Wyd. 2-ie. Warszawa, 1905. Nakł. i druk. M. Arcta. 8-o, str. VIII, 185 + II.

QUEYRAT FRYDERYK PROF. FIL.: Gry i zabawy dziecięce, studyum nad wyobraźnią twórczą u dzieci, przekład *Maryi Rodysowej*. (Dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“). Warszawa, 1905. 8-o, str. 136 + VI.

WACHTEL KAROL H.: Szkolnictwo i wychowanie, referat wydziału wykonawczego na III kongres federacyi Polaków-katolików w Ameryce. Chicago III., W. Smulski publishing comp. 1904. 8-o, str. 190.

H I S T O R Y A.

ABRAHAM WŁADYSŁAW: Udział Polski w soborze Pizańskim (1409 r.). Odb. z t. XLVII, Rozpr. wydz. hist.-fil. Kraków, 1904. Nakł. Akademii, druk. Uniw. Jag. 8-o, str. 33.

BIELIŃSKI JÓZEF: Żywot ks. Adama Jerzego Czartoryskiego. (Dodatek bezpłatny do „Tygodnika Ilustrowanego“). Warszawa-Kraków, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa, druk. W. L. Anczyca i S-ki. 8-o, str. 134.

BU CZYŃSKI ROMAN: Czem byliśmy, czem jesteśmy a czem być możemy? Przyczynek do historyzofii polskiej, przez autora Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa. Część I, księga 2. Geograficzno-historyczne stosunki na ziemiach dawnej Polski i wpływ ich na charakter społeczeństwa. Kraków, 1905. G. Gebethner i S-ka, druk. Koziańskiego. 8-o, str. 159.

GUMOWSKI M.: Monety polskie w wiedeńskim gabinecie monet i medali. Odbitka z „Wiad. num.-archeol.“ № 3. Kraków, 1904. Nakł. Tow. numizm., druk. W. L. Anczyca i S-ki. 8-o, str. 14.

WESTRIN TH. Częstochowa klostera belägring af Karl X Gustafs trupper 1655. Stockholm, kungl. boktryckeriet P. A. Norstedt & Söner, 1905. 8-o, str. 24 z 2 rycin. w tekście i podobizną autografu A. Kordeckiego.

PRAWO. — EKONOMIA.

COHN A. J.: Stosunki ekonomiczne Żydów w Państwie Rosyjskiem. Warszawa, 1904. Druk Lepperta i S-ki, 8-o, str. 77.

JAROSŁAWSKI GRZEGORZ: O kompensacie uowej procedury cywilnej. Przedruk z „Reformy Sądowej.“ Lwów, 1905. Nakł. autora, księgarnia Polska, druk. Ludowa. 8-o, str. 31.

ŁAGIEWSKI CEZARY: Stowarzyszenia kredytowe w Królestwie Polskiem. (Przedruk z „Ekonomisty“). Warszawa, 1904. Stanisław Sadowski, druk. Gazety Handlowej. 8-o, str. 27.

SZPILEW S. A.: Oczerk torgowli i promyszlenosti kieleckoj gubernii po dannym 1899—1901 g. i otczasti 1902 g., sobrannyj i obrabotannyj pri uczastii czynownika osobych poruczenij A. A. Kremna i starszaho buchhaltiera B. F. Kozziarkiewicza. Kielce, 1903. Nakładem autora. 8-o, str. 88.

TENŻE: Usłowija ekonomiczeskaho byta krestijan gminy Łubnice, stopnickaho ujezda, kieleckoj guberniji. Kielce, 1903. 8-o, str. 45.

TENŻE: Usłowija ekonomiczeskaho byta krestijan gminy Pińczow, kieleckoj guberniji. Kielce 1902. 8-o, str. 39.

TENŻE: Usłowija ekonomiczeskaho byta krestijan gminy Zajonczkow, kieleckaho ujezda. Kielce, 1902. 8-o, str. 63.

HISTORYA LITERATURY.

FELDMAN WILHELM: O twórczości Stanisława Wyspiańskiego i Stefana Żeromskiego. Wykłady wygłoszone na wyższych kursach wakaacyjnych w Zakopanem w sierpniu 1904 r. Warszawa, 1905. 8-o, str. 161.

HECK KORNELI DR.: Kto jest autorem Roksolanek, wydanych pod imieniem Szymona Zimorowicza? Odb. z t. XL Rozpraw wydz. filolog. Akad. Umiej. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Spółka wyd. pols., druk. Uniwers. Jagiel. 8-o, str. 65.

MIASKOWSKI KAZIMIERZ KS. DR.: Cztery nieznanne druki krakowskie z lat 1523—1534. Odb. z Roczn. Tow. przyj. nauk pozn. Poznań, 1904. Druk. Dzień. Pozn. Spółka wyd. polska w Krakowie. 8-o, str. 7.

MISSONA KAZIMIERZ: Wyzwolenie, dramat St. Wyspiańskiego, omówił... (Odb. z „Gazety Kołomyjskiej”). Kołomyja, 1905. M. Żyboriski, druk. A. J. Miziewicz. 16-o, str. 42.

SPRAWOZDANIA z czynności i posiedzeń Akademii Umiejętności w Krakowie, wydawane pod redakcją sekretarza generalnego Bolesława Ulanowskiego ze współudziałem sekretarzy wydziałów. T. X, № 1 za styczeń 1905. Kraków, 1905. 8-o, str. 28.

ZDZIARSKI STANISŁAW: Ludowość w poezji polskiej XIX wieku. Okręszony badań. Odb. z „Ludu,” rocz. X. Lwów, 1904. Nakł. autora, druk. Uniw. Jagiel. w Krakowie. 8-o, str. 49.

S Z T U K A.

MATERIAŁY. Wyd. Tow. Polska sztuka stosowana, zesz. V. Kraków, 1904. G. Gebethner i S-ka. Fol. k. 2 tekstu i 8 tabl. z ryc.

MUZEUM NARODOWE w Krakowie. Dział etnograficzny. Kraków, 1905. Nakł. Muzeum, druk Uniw. Jagiel. 8-o, str. 6.

PINIŃSKI LEON: Zamek na Wawelu. Lwów, 1905. Nakł. autora, druk. Wł. Łozińskiego. 8-o, str. 48.

UDZIELA SEWERYN: O strojach, budowlach, sprzętach i naczyniach w Sąddeczyźnie. Kraków, 1905. G. Gebethner i S-ka, druk. Uniw. Jagiel. 8-o, str. 57 z 64 ryc. w tekście.

N A U K I Ś C I S Ł E.

DZIĘDZIELEWICZ JÓZEF: Sieciarki (Neuroptera gemina) i prasiatnice (Archiptera) zebrane w ciągu lat 1902 i 1903. Odb. z t. XXXVIII. Spraw. komisji fizyogr. Akad. Umiej. Kraków, 1904. Nakł. Akad. Umiej., druk. Uniw. Jagiel. 8-o, str. 24.

GRABOWSKI L.: Zjazd Towarzystwa astronomicznego w Lund (Szwecya) 5—9 września 1904 r. Odb. z „Wiadomości matem.” Tom VIII. Warszawa, 1905. Druk. Sikorskiego. 8-o, str. 11.

JAWORSKI W. PROF.: Choroby przewodu pokarmowego i otrzewnej. Leczenie wodami mineralnymi normalnymi. Kraków, 1905. Księgarnia H. Altenberga we Lwowie, druk. Uniw. Jagiel. 8-o, str. 263.

LEVILLAIN F. DR.: Hygiena ludzi nerwowych. Cz. III. Przyczyny chorób nerwowych. Z 2 wyd. przeł. dr. M. G. Warszawa, 1905. Nakł. i druk. M. Areta. 16-o, str. 102.

ŁOMNICKI A. M.: Fauna Lwowa i okolicy. I. Chrząszcze. (Coleoptera. Tegoskrzydło). Część III. Odb. z t. XXXVIII Spraw. komisji fizyogr. Akad. Umiej. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiej., druk. Uniw. Jagiel. 8-o, str. 33.

MARCHLEWSKI LEON PROF. DR.: Teorye i metody badania współczesnej chemii organicznej. Lwów, 1905. Wyd. z zasiłkiem Akademii Umiejętności, nakł. Tow. wydawniczego, druk. Uniw. Jagiel. w Krakowie. 8-o, str. 573.

NIEZABITOWSKI EDWARD L. DR.: Materyaly do zoocecidologii Galicyi. Odb. z tomu XXXVIII Spraw. komisji fizyograficznej Akad. Umiej. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiej., druk. Uniw. Jagiel. 8-o, str. 16.

SŁOWNIK lekarski polski. Opracowali: *Tadeusz Browicz, Stanisław Ciechanowski, Stanisław Domański, Leon Krysiński* przy współudziale Tow. lek. warsz., wydziału lek. Tow. przyj. nauk w Poznaniu, oraz wielu lekarzy i przyrodników polskich. Kraków, 1905. Nakł. Tow. lek. krakowskiego, druk. Uniw. Jag. 8-o, form. duży, k. nl. 6, str. 766.

TECHNIK. Podręcznik opracowany według niemieckiego pierwowzoru, wydawanego przez stowarzyszenie „Hütte.” T. I. Wyd. staraniem komitetu redakcyjnego. Warszawa-Kraków, 1905. Gebethner i Wolff, druk. Rubieszewski i Wrotnowski. 8-o, str. XXV + 1213 i ogł. nn.

P O W I E Ś Ć — P O E Z Y A.

FLAUBERT GUSTAW: Salambo, przekład z francuskiego M. G. z przedmową Wł. Jabłonowskiego, tom I—II. („Bibl. dzieł wybor.” № 366, 367). Str. 153 + 173 i 2 nl.

GORKIJ MAKSYM: Wybór pism III. Tomasz Gordiejew, przeł. *Edward Chwałewik*. Warszawa, 1905. Księgarnia S. Bukowieckiego, druk. Braci Thiell. 8-o, str. 398.

JASIŃSKI STANISŁAW. Drogami, poezye II. Lwów, 1905. Księgarnia Powszechna, druk. Józefa Chęcińskiego. 8-o, str. 87.

KALLAS A: Wśród swoich, sztuka ludowa w 4-ch aktach. Kraków, 1905. Nakł. D. E. Friedleina, E. Wende i S-ka w Warszawie. 8-o, str. 60.

KELLER HELENA: Historia mego życia, tłóm. *M. Pankiewiczówna*. („Bibl. dzieł wybor.” № 365). Str. 133.

LILJANA: Płomienie. Warszawa-Kraków, 1905. G. Gebethner i S-ka, druk. Uniw. Jagiel. 8-o, str. 43 + 2 nl.

Rysunki i inicjały wykonał Jan Bukowski.

LOZIŃSKA KONSTANCYA: Życie, powieść. Warszawa, 1905. Jan Fiszer, druk. Estetyczna. 8-o, str. 212.

MICKIEWICZ ADAM: Dzieła. Wyd. Tow. lit. im. A. Mickiewicza. T. IV. Dziady. Lwów, 1905. Nakł. Tow., Gubrynowicz i Schmidt, druk. Winiarza. 8-o, str. 411 + 1 nl. z 4-a podobiznami autografu i 2-a portretami autora.

TENŻE: Pisma poetyczne. Ballady i romanse. Grażyna. Konrad Wal-lenrod. Wiersze wybrane 1817—1832 r. Wyd. Macierzy Polsk. Lwów, 1905. Nakł. Macierzy, druk. W. L. Anczyca i S-ki. 8-o, str. 7 i 243.

Jestto wydanie storeotypowe, którego wybito świeżo egz. od 20001 — 25000; dlatego na właściwej karcie tytułowej zachowano r. 1898, a na okładce wydrukowano r. 1905.

OSTROWSKA BRONISŁAWA: Poezye. Lwów, 1905. Polskie Towarz. nakładowe, księg. Narodowa, druk. Narodowa w Krakowie. 8-o, str. 125 i 3 nl.

ŻABA BORYS: Poezye. II. Lwów, 1905. Księg. H. Altenberga, druk. W. L. Anczyca i S-ki w Krakowie. 8-o, str. 152 i 3 nl.

(ŻEROMSKI STEFAN) ZYCH MAURZYCY: Echa leśne. Kraków, 1905. Nakł. Uniw. ludowego im. Ad. Mickiewicza, G. Gebethner i S-ka, druk. Narodowa. 8-o, str. 39.

Książkę zdołił Jan Bukowski, chromotypia Jacka Malczewskiego.

ŻULAWSKI JERZY: Ijola, dramat w 4-eh aktach z czasów średniowiecza. Lwów, 1905. Księg. Narodowa, E. Wende i S-ka w Warszawie, druk. Narodowa w Krakowie. 8-o, str. 234.

PUBLICYSTYKA. — BROSZURY POLITYCZNE.

BAUDOIN DE COURTEXAY JAN: Krzewiciele zdziczenia. Kraków, 1905. G. Gebethner i S-ka, druk. Narodowa. 8-o, str. 72.

BEZSTRONNY: Rosya. Odb. z „Przeł. Pol.“ Kraków, 1905. Spółka wyd. polska, druk. Czasu. 8-o, str. 46.

BILCZEWSKI JÓZEF Ks.: Młodości! ty nad poziomy wylatuj! list paster-ski do młodzieży szkół średnich. Lwów, 1905. Gubrynowicz i Schmidt, druk. Katolicka. 8-o, str. 56.

CHWILL. Z bieżącej gorącej... przez * * * Broszury społeczne Spółki wydaw. „Polonia“ III. Lwów, 1905. Druk. „Polonia.“ 8-o, str. 13.

Z DOBY STRAJKÓW w Królestwie Polskiem. Posiedzenie klubu konser-watywnego dnia 24 lutego 1905 r. Zesz. XV. Wydawnictwo klubu konser-watywnego. Kraków, Spółka wydaw. polska. 8-o, str. 40.

GŁOS polski do wszystkich humanitarnych rządów i klubów politycz-nych, mężów stanu, pism peryodycznych, stowarzyszeń i t. p. Paryż, 1905. Druk. G. Maurin, „Książka“ w Krakowie. 8-o, str. 15.

HERBACZEWSKI JÓZEF ALBIN: Odrodzenie Litwy wobec idei polskiej. Kraków, 1905. G. Gebethner i S-ka, druk. Uniw. Jagiel. 8-o, str. 79.

TENŻE: O Rosyi (Wrażenia z wycieczki). Kraków, 1905. Spółka nakła-dowa „Książka,” druk. Narodowa. 8-o, str. 51.

O SZKOŁĘ POLSKĄ w Królestwie. Fakty i materiały z chwili obecnej. Kraków, 1905. Nakł. „Nowin polskich.” S. A. Krzyżanowski, druk. W. L. Anezyca i S-ki. 8-o, str. 54.

WADA. Jaka jest nasza... narodowa główna. Praca konkursowa przez autora „Kilku myśli o pesymizmie.” Wyd. 3-cie poprawione i pomnożone. Kraków, 1905. Spółka wydawn. polska, druk. W. Korneckiego w Krakowie. 8-o, str. 144.

ZBIGNIEW z PRZEDBORZA: Wczorajsze hasła a jutrzejszy czyn. List otwarty do redakcyi „Przeglądu Wszelkpolskiego.” Kraków, 1905. G. Gebethner i S-ka, druk. Związkowa. 8-o, str. 34.

